

Terry Pratchett

Dywan

* * *

Na początku była jedynie nie kończąca się płaskość, która stała się Dywanem...

Teraz Dywan zamieszkują rozmaite rasy i szczepy. Dywan ma już historie i opowieści. Ta opowieść jest o tapnieciu szerzącym zniszczenie na Dywanie, o zadnych władzy moulach i o dwóch braciach, którzy po zniszczeniu rodzinnej wioski wyruszyli na przygodę. Jest też o tym, że nastąpi koniec, jeśli ktoś czegoś w tej sprawie nie zrobi.

* * *

Dla Lyn - wtedy i teraz

Od autora

Książka ta ma dwóch autorów, choć stanowią oni jedną osobę. Pierwszy raz została opublikowana w 1971 r. i zawierała całą masę błędów, z których największym był ten, że napisał ją siedemnastolatek. Sprzedawała się jako tako, ani źle, ani dobrze, i w końcu wyprzedala się do zera. No i prawidłowo.

Jakieś dziesięć lat temu powieści z cyklu „Discworld” zaczęły się sprzedawać jak hot dogi i ludzie skojarzyli, że ten sam facet napisał wcześniej „Dywan”. Wynikiem tego było dojscie wydawców do wniosku, że czas wznowić te książki. Decyzja ta z mojego punktu widzenia była jak najbardziej

rozsadna, ale jakos tak wyszlo, ze liczac sobie czterdziesti trzy wiosny, ponownie przeczytalem swój mlodziencyz debiut i włosy stanely mi deba, totez czym predzej zabralem sie do robienia w nim porzadków.

Otóz w wieku lat siedemnastu bylem najwyrazniej wielce przekonany, ze fantasy sklada sie glównie z bitew i królów. W miare przybywania lat i doswiadczen doszedlem do etapu obecnego, to jest sklonny jestem uwazac, ze tak naprawde fantasy powinna byc o tym, jak unikac bitew i jak sie obywat bez królów. Wiec tu cos dodalem, tam cos zmienilem, a ówdzie dolozylem nieco zdrowego rozsadku...

Wiecie, jak to jest, kiedy zaczyna sie obcinac wystrzepiona nitke, a potem druga...

W koncu udalo mi sie zapanowac nad entuzjazmem i w efekcie powstala ciekawostka - nie jest to bowiem dokladnie to, co napisalem wtedy, i niedokladnie to, co napisalbym teraz od nowa. Jest to efekt pracy zespolowej (na szczescie nie musze sie dzielic honorarium, zreszta smarkacz i tak by je przepuscil).

Chcieliscie - macie.

Tak na marginesie: miasto Ware ma wielkosc mniej wiecej taka .

Terry Pratchett

15 wrzesnia 1991 r.

Prolog

Sami siebie nazywali Munrungami, czyli Ludzmi albo Prawdziwymi Istotami Ludzkimi. Nic oryginalnego - tak mówi o sobie wiekszosc ludzi, przynajmniej z poczatku. Kiedy pewnego dnia plemie napotkalo inne plemie, moglo co prawda nazwac je Innymi Ludzmi, gdyby bylo w humorze, a poniewaz nie bylo, nazwalo je Wrogami. Gdyby jednak w tym momencie nazwalo ich Innymi Prawdziwymi Istotami Ludzkimi albo jakos podobnie, to później oszczedziloby sobie wielu klopotów. Cóz, gdyby szafa miala sznurek, bylaby winda.

Nie znaczy to, ze Munrungowie byli zupełnie prymitywni - Pismire twierdzil zawsze, ze maja bogate ludowe dziedzictwo kulturowe. Mial na mysli legendy. Sam znal wszystkie stare opowiesci plemienia i wiele nowych, nieplemiennych. Opowiadal je przy ognisku, a wszyscy sluchali jak zaczarowani. Czasami wydawalo sie, ze nawet masywne włosy rosnace za otaczajaca wioske palisada pochylaja sie nad nia, tez sluchajac.

Najstarsza legenda byla takze najkrótsza i choc rzadko opowiadana, znana ze szczególami kazdemu, powtarzano ja bowiem, w różnych jezykach, jak Dywan dlugi i szeroki. Tak oto brzmiala w wykonaniu

Pismire' a:

„Na początku nie było nic, jeno nieskonczona płaskość. Potem stał się Dywan, który przykrył płaskość. Był wtedy młody: między włosami nie znaleźlibyście szczypty pyłu, a same włosy były proste i smukłe, nie zaś pogięte i splątane jak dziś. No i Dywan był pusty.

Potem zjawili się kurz i pył, które spadły z góry i powoli osiadały między włosami, aż pokryły Dywan grubą warstwą. Z kurzu Dywan utkał nas wszystkich - najpierw małe pelzające, które zamieszkały w rowach i na szczytach włosów, potem sorathy, dziki, trompy, kozy i snargi, a następnie cała reszta talatajstwa, które znacie.

Dywan tetnił życiem, ale nie wiedział, że jest żywy. Nie potrafił myśleć i nawet nie wiedział, czym jest. Było w nim życie i ma się rozumieć śmierć, ale brakowało nici w splocie życia. I tak powstał Lud Dywanu. Nadaliśmy Dywanowi imię, podobnie jak ponazywaliśmy zwierzęta, i splót stał się kompletny. Dywan zyskał świadomość.

Może nam grozić Tapniecie, które nienawidzi życia w Dywanie, może nas ogarnąć mrok, ale nadal będziemy stanowili dusze Dywanu, bo to my pierwsi go nazwaliśmy. I to jest najważniejsze. Naturalnie to wszystko jest wielce metaforyczne, ale myślę, że ważne, nieprawdaz?”

Rozdział pierwszy

Prawo stanowiło, że każdego dziesiątego roku wszystkie plemiona Imperium Dumii mają się stawić do przeliczenia. No, ma się rozumieć, nie wszystkie w wielkiej stolicy Ware, każde w najbliższym dużym mieście. W wypadku Munrungów było to Tregon Marus.

Liczenie zawsze było wielkim świętem - wokół miasta wyrastały osady namiotów, po ulicach przewały tłumy, no i co najważniejsze: odbywał się tu pięciodniowy jarmark oraz konski targ. Przy okazji odwiedzano dawno nie widzianych znajomych i trwała, naturalnie, taka wymiana plotek, że aż się włosy w okolicy trzęsły.

Część oficjalna polegała na tym, że wszyscy, łącznie z niemowlakami, stawali przed urzędnikiem w specjalnym liczydome i tam, na pozólkłych zwojach, zapisywano imiona nowo urodzonych, skreślano zmarłych i wpisywano, ile kto ma swin, kóz i trompów. Przy okazji powstawało wiele nowych, choć niekoniecznie mądrych imion, jako że gryzipiórki od niepamiętnych czasów miały kłopoty jak nie z ortografią, to z pisownią, a notorycznie ze słuchem. Tak zresztą było zawsze, jak historia długa i głęboka. Po zapisaniu delikwent przechodził do następnego stołu, gdzie w futrach i skórkach płacił podatek wyznaczony przez innego urzędnika. Nie trzeba dodawać, że wszyscy uważali to za zdecydowanie niemila część takiej dobrej imprezy, zwłaszcza że musieli odstąpić swoje w kolejce wijącej się wokół murów miasta, potem przebiegającej przez stajnie, rynek i wokół magazynów aż do liczydomu.

Piątego dnia gubernator zwoływał na rynku naradę wodzów wszystkich plemion i wysłuchiwał skarg i

zazalen. Narada odbywała się na świeżym powietrzu, gubernator potakiwał z godnością i przyznawał z zasady racje przemawiającemu. Z zasady również nie robił nic więcej, ale wszystkim i tak poprawiało się samopoczucie: zostali wysłuchani. Co prawda po powrocie do domu dobre samopoczucie mijało jak reka odjął, ale na kilka dni pomagało. To się nazywa polityka. I tak się działo od niepamiętnych czasów, czyli od zawsze.

Szóstego dnia uczestnicy zbiegowiska rozchodzili się do domów drogami zbudowanymi przez Dumii. Do domów, czyli generalnie na wschód. Na zachód prowadził szlak ku stolicy, a potem, już jako zwykły trakt nazywany Droga Zachodnia, docierał do najdalej na zachód położonej miejscowości Imperium - do Kilimaty. Imperium Dumii zajmowało bowiem większość Dywanu od Drewnogóry aż po pustkowia na północy, położone w pobliżu Stolonogi. Na zachodzie docierało do samych kranców Dywanu i do Pustkowi, na południu do Ziemi Ognistej. Tak pomalowancy spod Drewnosciany, jak i wojowniczy Hibbolowcy, a nawet czciciele ognia z Kilimaty płacili Imperium trybut. Przypadało im, iż nie wszyscy lubili Dumii, ponieważ Imperium robiło, co mogło, by zniechęcić kogoś się do lokalnych wojen czy rabunków bydła, co generalnie było uznawane za świetną rozrywkę i doskonały sposób na nudy. Imperium lubiło pokój, bo ludzie mieli wtedy wystarczająco dużo czasu i spokoju, by zarabiać i mieć z czego zapłacić podatki. I generalnie rzecz biorąc, pokój nie dosc, że się pod tym względem sprawdzał, to jeszcze dawał się utrzymać.

Tak więc Munrungowie powędrowali na wschód i na kolejne dziesięć lat zniknęli z annałów Imperium. Czasami przez ten czas wadzili się, czasami nie (prawdę mówiąc, częściej nie) i jak mogli, unikali kontaktów z Historia, która ma ten niemiły zwyczaj, że kto z nią przestaje, z zasady ginie.

No i pewnego roku przestały napływać wieści - a co dziwniejsze, także plotki - z Tregon Marus...

* * *

Stary Grimm Orkson, wódz Munrungów, miał dwóch synów i kiedy zmarł, wodzem został starszy - Glurk. Z punktu widzenia członków szczepu, którzy myśleli wolno, acz dokładnie, wybór był wręcz idealny - nie dosc, że z szerokimi barkami i byczym karkiem wyglądał jak drugie wydanie rodziciela, to jeszcze rzucił włócznia dalej niż ktokolwiek i snargi kładł goła reka (na dowód nosił naszyjnik z ich klów). Do jego zalet zaliczano także: podnoszenie konia jednorecz, całodzienne bieganie bez zmeczenia i umiejętność podkradania się do zwierzyny tak blisko, że często umierała ona na zawał wywołany szokiem, zanim zdążył użyć broni albo chociażby przyłożyć pięścią. Poza tym poruszał ustami, gdy myślał - co łatwo pozwalało sprawdzić, ile czasu spędza w pracy, to jest przy wodzowaniu - no i był mało mówny. Co do myślenia, to zajmowało mu sporo czasu, gdyż choć nie był głupi, nie stanowiło ono jego najsilniejszej strony i dojście do właściwych wniosków trwało u niego, powiedzmy, nieco dłużej, niż wynosiła średnia. W końcu jednak do nich dochodził, i to samodzielnie. Powiadano też, że używa niewiele słów, a rozumie jeszcze mniej, ale nikomu to nie przeszkadzało.

Pewnego popołudnia Glurk wracał do domu, trzymając na jednym ramieniu włócznię z koscianym grotem, a na drugim długi drag. Na środku tegoż dragi wisiał sobie za związane lapy snarg, a jego drugi koniec podpierał Snibril - młodszy brat Glurka.

Stary Orkson ożenił się wczesnie i żył długo - ta kombinacja spowodowała, że narodziny jego synów dzielił szmat czasu wypełniony przez córki, które starannie, i szybko, zostały wydane za szanowanych i, co ważniejsze, daleko mieszkających członków plemienia.

Snibril nie powalał, zwłaszcza w porównaniu z bratem, postura i krzepa. Grimm wysłał go więc do

szkoly w Tregon Marus, by kształcił się na urzędnika. Miał nadzieję, że skoro pociecha nie wybija się z włócznie, to może z piórem pójdzie jej lepiej, a poza tym jeden kształcony w rodzinie zawsze może się przydać.

Gdy Snibril trzeci raz uciekł ze szkoły, Pismire postanowił poważnie porozmawiać z wodzem. Pismire był szczerpowym szamanem, czyli rozsądniejszą odmianą kapłana. Prawie każdy szczerp miał swojego, choć Pismire zdecydowanie się wśród nich wyróżniał. Po pierwsze: mył się - a także wszystko, co miał - przynajmniej raz w miesiącu, co jak na normalnego człowieka było dziwne, a na szamana wręcz nienormalne, ponieważ uważali oni, że im coś brudniejsze, tym bardziej magiczne.

Po drugie: nie nosił piórek, kosców, kamyczków ani innych takich cudaczków i nie mówił jak pozostali szamani z sąsiedztwa. Pozostali pasjami spożywali żółtawe grzybki rosnące w gestwinach włosów i mówili mniej więcej tak: „Hiiiijahjahheja! Hejahejahjah! Hngh!”, co było totalnym belkotem, ale brzmiało magicznie. Pismire zaś mawiał mniej więcej tak: „Prawidłowe obserwacje i staranna dedukcja przy jasno określonych celach są niezbędne dla powodzenia każdego przedsięwzięcia. Zauważyliście, że trompy zawsze przemieszczają się o dwa dni przed stadami sorathów? A tak na marginesie: jak mi który zółtego grzybka, to obiecuje, że długo to popamięta!”, co zdecydowanie nie brzmiało magicznie - i nikt nie nazwałby tego belkotem - ale było całkiem użyteczne, zwłaszcza w wypadku polowań. Co prawda niektórzy malkontenci twierdzili, że ta skuteczność Pismire bardziej zawdzięcza myśliwskim zdolnościom niż gadaniu, czemu szaman bynajmniej nie zaprzeczał, twierdząc, że optymistyczne myślenie także jest bardzo ważne.

Po trzecie: jako szaman był też znachorem, i to znacznie lepszym niż okoliczni (nie wspominając poprzednika). Co do tego zgadzali się wszyscy, choć niektórzy niechętnie, gdyż każdy Munrung jest w mniejszym lub większym stopniu zwolennikiem poszanowania tradycji. Poprzednik leczył ciekawą, i ogólnie przyjętą, metodą przez wygrzewanie w powietrzu kosców i wycie „Hjahjahja!” itd., itp., etc. Pismire natomiast mieszał ze sobą różne sproszkowane zioła i inne składniki, robił z nich pigułki i mówił coś w tym stylu: „Wez jedną wieczorem, jak się będziesz kładł, a rano, jeżeli się obudzisz, wez drugą”.

Poza tym od czasu do czasu służył radą w innych wypadkach, na przykład takich jak dokształcił Snibrila. Grimm akurat rąbał drwa koło domu, gdy jak zwykle cicho zjawił się tuż za nim Pismire. Wymiana poglądów, która nastąpiła, była tyleż zwiezła co treściwa. Pismire oznajmił, że edukacja w mieście skazana jest na fiasko, bo Munrung i urzędnik wykluczają się wzajemnie. Można natomiast spróbować kształcić pociechę na miejscu, to znaczy on, Pismire, może spróbować nauczyć go czytać i pisać. W odpowiedzi i po namyśle - acz krótszym niż u Glurka - Grimm wyraził zgodę, przyznając, że dzieciak wrodził się w matkę, która do małżeństwa też miała zwyczaj lazić z głową w chmurach, a on, jako jej mąż, zrobił wszystko, by ją sprowadzić na ziemię. Grimm nigdy nie opanował sztuki pisania i czytania, ale urzędnicy w Tregon Marus zawsze robili na nim duże wrażenie. Stawiali na pergaminie znaczki, dzięki którym po wielu latach nadal pamiętali różne dziwne sprawy. To była moc (w pewnym sensie, ma się rozumieć) i Grimm chciał, by ktoś z rodu posiadał choćby małą jej część.

I tak Snibril zaczął uczęszczać do wioskowej szkoły, gdzie Pismire uczył dzieciaki czytać, pisać, liczyć i wyjaśniał prawa Imperium. Podobało mu się to (Snibrilowi, rzecz jasna) i uczył się szybko, chłonąc wiedzę, jakby od tego zależało jego życie, a jak twierdził Pismire, często zależało.

Co dziwniejsze, Snibril stawał się także całkiem dobrym myśliwym. Prawie tak dobrym jak brat, choć w inny sposób. Glurk zwykł ganiać zwierzynę, Snibril natomiast obserwował i zasadzał się na nią zgodnie z jedną z mądrości Pismire'a. Szaman twierdził bowiem, że nie trzeba ścigać zwierzyny, by ją złowić - wystarczy starannie ją obserwować, znaleźć się odpowiednio miejsce, w którym można poczekać i zwierzyna sama przyjdzie. Była to jedna z zasad życiowych Pismire'a i Snibril przyznawał, że na polowaniu sprawdza się doskonale. Jak działała w innych wypadkach, trudno mu było orzec z braku

okazji...

Gdy stary Grimm zmarł, złożono go w dole wykopanym w kurzu, razem z włócznia. Munrungowie nie mieli pojęcia, gdzie się udaje zmarły, ale nie widzieli najmniejszego powodu, by gdy już się tam znajdzie, miał być głodny.

Wodzem został Glurk i miał poprowadzić plemię na następne liczenie, tyle że choć dawno minal właściwy czas, posłaniec z Tregon Marus, zwykle oznajmiający, kiedy odbędzie się święto, jakos się nie zjawiał. Martwiło to Glurka - i to bynajmniej nie z powodu niezapłaconych podatków - gdyż brak wieści był nienaturalny, jako że na Dumii zawsze można było polegać, szczególnie jeśli chodzi o terminowe zbieranie należności.

Na wszelki wypadek nie podzielił się z nikim swymi obawami, toteż z polowania jak zwykle wracali w milczeniu. Jak zwykle też Snibril jako niższy przekładał drag z ramienia na ramię, mając nieodparte wrażenie, że jeśli nie zrobią przerwy, to będzie jeszcze niższy.

- Słuchaj no, nogi mi w tyłek właza i robie się coraz niższy - poinformował brata. - Stanmy na piec minut... poza tym strasznie mnie boli głowa...

- Niech będzie piec minut - zgodził się po chwili Glurk. - Dłużej nie: robi się ciemno.

Dotarli tymczasem do drogi. Niedaleko na północ była Drewnogóra, a bliżej, i to znacznie, dom i kolacja. Siedli na równej powierzchni traktu. Glurk, który nie miał zwyczaju marnować czasu, zabrał się do ostrzenia grota włóczni, spoglądając od czasu do czasu na zachód, gdzie znikala droga. W zapadającym mroku lśniła lekko, tym mocniej podkreślając cienie zbierające się pomiędzy włosami po obu jej stronach, co zdawało się fascynować Snibrila. Drogi pociągały go od dawna, to jest od chwili, gdy ojciec powiedział mu, że wszystkie prowadzi do Ware, czyli do stolicy. Już samo siedzenie przy którejś pozwalało zobaczyć wiele ciekawych rzeczy i osób, a co dopiero, jakby tak ruszyć którąś z nich...

Teskne rozmyślenia przerwało mu solidne lupniecie pod czaszka. Poczul, jakby ktoś mu ją wsadził między dwa kamienie i zaczął sciskać.

Dywan tego dnia też był jakiś nienormalny - większość zwierząt zniknęła, a kurzu między włosami nie maćil najsłabszy nawet podmuch.

- Coś tu nie gra. Na drodze od wielu dni nikt się nie pojawił - mruknął Glurk, po czym wstał i sięgnął po drag.

Snibril jeknął, obiecując sobie, że ledwie wróca, pójdzie do Pismire'a po jakąś pigułkę...

Wysoko wśród włosów przemknął jakiś cien kierujący się na południe.

Coś grzmotnęło tak głośno, że bardziej poczuli, niż usłyszeli potężny odgłos tego, co niespodziewanie uderzyło w Dywan, powalając ich obu na ziemię. Włosy wokół nich jeknęły i zafalowały targane wichurą. Glurk złapał się pnia włosa i zdołał się doprowadzić do pionu przygięty przez nagłą zawieję. W górze czubki włosów trzeszczały i skrzypiały, a wszędzie wokół falowały niby szary ocean. Przez drogę przetoczyły się glazy, na wół lecąc, na wół się turlając, Glurk jedną ręką uczepony włos, drugą sięgnął za kark odlatującego brata. Obaj przykucnęli za grubym pniem, czekając, aż kataklizm się skończy, co nastąpiło równie nagle, jak się zaczęło. Wichura skierowała się na południe, podobnie jak ciemność, która jej towarzyszyła.

Cisza zadzwiezczała glucho jak dzwon. Snibril zamrugał nieco oglupiały - ból głowy zniknął, a po chwili coś mu pyknęło w uszach i wrócił słuch, dzięki czemu usłyszał odległy wprawdzie, acz szybko zbliżający się tetent. Brzmiało to, jakby jakiś kon gnał po drodze na oslep, czyli albo bez jeźdźcy, albo z nieprzytomnym pasażerem na grzbiecie.

Wierzchowiec pojawił się szybko - bez jeźdźcy, ze stulonymi uszami i błędnym wzrokiem. Biała sierść lśniła od potu, a wodze klaskaly o siodło w takt uderzeń kopyt. Snibril wyskoczył na drogę, a gdy kon go mijal, złapał wodze, przez parę sekund biegł obok i wskoczył płynnie na siodło. Dlaczego się na coś takiego odważył, nigdy nie zrozumiał; być może był to wynik uważnej obserwacji i dokładnego określenia celów. Mówiąc po ludzku, po prostu nie wyobrażał sobie, że mógłby tego nie zrobić.

* * *

Do wioski bracia dojechali wierzchem na uspokojonym już rumaku, który posłużył im też za zwierze pociągowe, wlokąc drag z dyndającym posrodku snargiem. Palisada była w kilku miejscach powalona, a kilka chat zniszczyły glazy, których sporo leżało na terenie wioski. Glurk nerwowo spojrzał w stronę chaty wodza i jęknął, po czym zsiadł z konia i powoli ruszył ku domowi.

A raczej miejscu, gdzie ostatnio był dom.

Reszta mieszkańców czym prędzej umilkła i na wszelki wypadek nieco się odsunęła, robiąc mu szerokie przejście. Włos, i to gruby włos, padając, rozwalil kawał palisady, a jego czubek znalazł się dokładnie tam, gdzie stała chata Orksonów.

Z budynku na dobrą sprawę zostały jedynie drzwi z framugą, reszta nadawała się wyłącznie na opał.

Z tłumu wybiegła Bertha z dziećmiakami i padła mezowi w objęcia.

- Pismire kazał nam wyjść, zanim upadł włos - chlupała. - Co teraz zrobimy?

Glurk, wpatrzony w ruiny, odruchowo ją pogłaskał, po czym wdrapał się na rumowisko i zaczął w nim grzebać. Wszyscy przyglądali się temu w absolutnym milczeniu, toteż każdy dźwięk dobiegający od strony tej sterty drewna było doskonale słychać. Glurk w pewnym momencie znalazł dziwnym trafem zupełnie nie uszkodzony garnek, spojrzał nań z miną świadcząca, że widzi go pierwszy raz w życiu, i z rozmachem cisnął nim o ziemię.

Ledwie przebrzmiał huk pekającego naczynia, Glurk uniósł piasek i zaczął kląć. Trzeba przyznać, że robił to wyjątkowo kunsztownie, wzbudzając podziw tak pomysłowością, jak i wprawą w tworzeniu tej wielopietrowej wiązanki. Nie licząc zwrotów powszechnie uważanych za obraźliwe, składał kolejno: włosy, mroczne jaskinie Podspodzia, demony Podłogi, Watek i Osnowe. A potem zaklął się rzadko używaną przysięgą na Retwatshud Frugal, czyli Peknieta Kosć (choć Pismire od dawna twierdził, że to jeno przesada i zabobon).

Po tym wszystkim siadł. Złapał się za głowę i głęboko odetchnął. Jakos nikt nie miał wielkiej ochoty do podejścia. Ludzie spoglądali po sobie, a kilkoro czym prędzej się oddalilo. Snibril zsiadł z konia i podszedł do owiniętego w kozia skórę Pismire'a.

- Nie powinien być tego mówić - mruzczał szaman - To naturalnie zabobon, ale to wcale nie znaczy, że

nieprawdziwy... O, witaj, widze, ze przezyles.

- Co tu sie stalo? I co bylo powodem?

- Co sie stalo, to widac, nieprawdaz? A powód zwykle nosi nazwe Tapniecie.

- Myslałem, ze to bajka.

- A kto ci powiedzial, ze bajki nie sa prawdziwe?! - zdziwil sie Pismire. - Jestem pewien, ze to bylo Tapniecie. Zmiany cisnienia, brak zwierzat... dokladnie tak, jak o tym czytalem w... czytalem, znaczy sie. Koncówka wypowiedzi niezbyt pasowala do reszty, totez Pismire pospiesznie zmienil temat: - Widze, ze dorobiles sie wierzchowca.

- Chyba jest ranny...

Obaj podeszli do zwierzecia i Pismire zabral sie do ogladzin.

- Kon Dumii - mruknal szaman. - Skocz no który po moja skrzynke z ziolami! Widzisz? Cos go zaatakowalo... rany nie sa glebokie, ale lepiej je opatrzyc. Wspaniale zwierzce. I, powiadasz, bez jezdzca?

- Pojechalismy kawalek w strone, z której przybiegl, ale nikogo nie znalezlismy.

- Gdybys sprzedal cala wioske i wszystkich jej mieszkanców w niewole, byc moze starczyloby ci na takiego konia. - Pismire pogladzil wierzchowca po szyi. - Od wlasciciela uciekl dawno temu: co najmniej przez piec dni zyl dziko.

- W Imperium nie ma niewolników - zauwazyl Snibril.

- Próbuje ci uzmyslowic, ze ten kon jest wiele wart! - warknal Pismire, spogladajac w gestwiny wlosów. - Cos go przestraszylo, i to kilka dni temu, a wiec nie bylo to Tapniecie. Bandyci tez nie, bo nie wypusciliby takiej zdobyczy. Poza tym nie maja pazurów. Te rany mógł zadac snarg, ale tak ze trzy razy wiekszy od normalnego... A najgorsze jest to, ze takie istnieja...

Cos zawylo.

Brzmialo to mniej wiecej tak, jakby noc nabrala ochoty wydac z siebie dzwiek. I to zrobila. Wycie dobiegalo sprosód wlosów przy przewróconej palisadzie i robilo sie od niego jakos tak zimno. Kon zarzal, stajac lekko deba, a wszyscy odruchowo spojrzeli w strone ogniska, na wszelki wypadek rozpalonego w wyrwie w palisadzie. Kilku myśliwych zlapalo włócznie i pobieglo ku niemu.

Staneli w polowie drogi.

Po przeciwnej stronie ognia widac bylo jakis ksztalt, jakby jezdzca na wierzchowcu, i dwie pary slepi. Jedne ogniscie zielone, drugie matowoczerwone. Zadne nie mrugalo, a obie pary wpatrywaly sie w zaskoczonych mieszkanców. Glurk ocknal sie - wstal, podszedl do ogniska, zabral najblizszemu oniemialemu włócznie i warknal:

- Toz to tylko snarg!

Wzial zamach i rzucil. Włócznia odbila sie od czegos z dziwnym stukotem, a zielone slepia mocniej

rozgorzaly. Rozlegl sie gleboki, grozny pomruk.

- Poszedl won! - zakomenderowal Glurk - Do nory czy w inna cholere!

Pismire podbiegl do ogniska i nie tracac czasu na gadanie, zlupal plonacy kawal deski i cisnal za palisade.

Obie pary slepi mrugnely i znikly. Wraz z nimi zniknelo oslupienie Munrungów, a zawstydzeni myśliwi czym predzej chcieli ruszyc w poscig. Zatrzymal ich glos Pismire'a:

- Gdzie?! Wiecie, durnie, co to bylo?!... Nie?! To gdzie wam tak spieszno?! To byl czarny snarg, trzy razy wiekszy i grozniejszy od brazowych, które znacie! Ganiac za nim po nocy z włócznia to szukac smierci! Nie pamietacie opowiesci?! One zyja w najdalszych Katakach, a pochodza z Nie Zamiatanych Obszarów!

Z północy, od strony bialych zboczy Drewnogóry, rozleglo sie kolejne wycie, tyle ze w odróżnieniu od poprzedniego nagle umilklo. Pismire przez chwile spogladal w tamtym kierunku, po czym rzekl juz ciszej do Glurka i Snibrila:

- Znalazly was. Konia przygnal tu strach przed snargami. A strach przed czarnymi snargami jest oznaka dobrze rozwiniętego zdrowego rozsadku, ze nie wspomne o instynkcie samozachowawczym. Skoro odkryly wioske, nie mozemy tu pozostac: beda przychodzily noc po nocy, az w koncu dostana sie do srodka. Ruszajmy jutro i miejmy nadzieje, ze to nie bedzie za późno!

- Nie mozemy ot tak... - zaczal Glurk.

- Mozecie i musicie - przerwal mu Pismire. - Tapniecie wrócilo, a wraz z nim wszystko, co nastepuje później. Rozumiecie?

- Nie - przyznal Glurk.

- Nie szkodzi. Wystarczy, ze mi zaufacie. Byc moze nie bedziecie musieli zrozumiec. Czy kiedys sie pomylilem?

Glurk zastanowil sie powaznie.

- No cóz, powiedziales kiedys, ze...

- Czy sie pomylilem w waznych sprawach! - zastrzegł Pismire.

- A co to, to nie - przyznal Glurk. - Ale snargów nie ma sie co bac. Od dawna dajemy sobie z nimi rade. Co jest takiego specjalnego w tych, poza tym, ze sa wieksze?

- Ci, którzy ich dosiadaja.

- Byly dwie pary slepi - mruknal niepewnie Glurk.

- Byly. A jezdzy dysponuja znacznie grozniejsza bronia niz kly i pazury - zamknal temat Pismire. - Maja rozum!

Rozdział drugi

- To by było na tyle - stwierdził Glurk, spoglądając na ruiny chaty. - Ruszamy.

- Momencik. - Snibril miał cały dobytek w jednej torbie, ale na wszelki wypadek wolął sprawdzić, czy czegoś nie zapomniał, toteż gorączkowo ją przegrzebał.

Kościany nóż z rzezbioną, drewnianą rekojescią sztuk jeden - był; buty sztuk dwie, to jest para - były; zapasowe cieciewy sztuk trzy - były; woreczek zapasowych grotów do strzał - był (ile grotów jest w środku, nie chciało mu się liczyć); kawałek kurzu na szczęście, sztuk jeden - był; woreczek sztuk jeden - też był, tyle że na samym spodzie. Ostrożnie go wyjął i wysypał zawartość - dziewięć lśniących lakierem monet z podobizną cesarza.

- Pojęcia nie mam, po co ci to - mruknął Glurk. - Bardziej by ci się przydał drugi worek z grotami.

Snibril przecząco potrząsnął głową i ostrożnie schował drewniane pieniądze do woreczka, a woreczek do torby. Sporządzono je z czerwonego drewna, nie z żadnej tam sekwoi, wydobytego w kopalniach Stolonogi i pokrytego lakierem. Na jednej stronie wyrzeźbiono głowę cesarza, na drugiej cyfrę (na monetach Snibrila była to cyfra jeden). Były to tarterii, monety Imperium Dumii, i każda kosztowała w Tregon Marus wiele skór. Zgodnie z tym, co mówił Pismire, każda była skórą albo garnkami, albo nożami, ale to chyba kwestia punktu widzenia - Snibril, niezależnie od tego, ile się im przypatrywał, nie był w stanie zobaczyć zamiast drewnianego krawca choćby jednego glinianego gara. Prawde mówiąc, nie rozumiał tego wszystkiego, ale doświadczenie nabyte w Tregon Marus dowodziło, że Pismire ma rację, twierdząc, że Dumii tak kochają swojego cesarza, iż za jego drewnianą podobiznę dają wiele skór (albo biorą, w zależności od sytuacji). Snibril po prawdzie nie był jednak pewien, czy Pismire choć trochę bardziej rozumie zawiłości finansów niż on sam.

Wraz z Glurkiem wrócił do wozu. Od Tapniecia minął mniej niż dzień. Ale co to był za dzień...

Od rana trwała dyskusja, której nie było daleko do pyskówki. Bogatsi nie palili się do wyjazdu, zwłaszcza że nikt nie miał sprecyzowanego zdania dokąd się udać, a Pismire dokądś poszedł z sobie jedynie znanych powodów. Gdzieś tak w połowie dnia z południa rozległy się wycia snargów. Ktoś zobaczył cienie przemykające we włosach. Ktoś inny mówił, że widział ślepią nad palisadą...

I jakos tak dyskusja zmarła śmiercią naturalną, a porozumienie osiągnięto w milczeniu - wszyscy zgodnie wzięli się do pakowania, nie zadając więcej głupich pytań. Ktoś rozsądny przypomniał, że wędrowka to dla nich nie pierwszorzędna i prawdę mówiąc, miał rację. Plemię przemieszczało się średnio raz na rok w poszukiwaniu lepszych łowisk. O kolejnej przeprowadzce mowa była od paru miesięcy - problem polegał na tym, że nagłość decyzji sugerowała ucieczkę. Dopiero ktoś rozgarnięty dowiódł logicznie, że ucieka się biec, co nie wchodzi w rachubę, jako że nawet gdyby nie chcieli, to z całym dobytkiem poruszać się mogą wyłącznie wolnym krokiem.

W ciągu kilku godzin załadowano co się dało, zgoniono bydło i ustawiono kolumny. Teraz w milczeniu

czekali na Glurka, który miał jechać na czele. Jego wóz był najstaranniej wykonany, jako że stanowił rodowe dziedzictwo - miał nawet półkolisty dach przykryty futrami. Potrzebował czterech kuców do zaprzęgu i naprawdę był solidny. Chaty budowano na mniej więcej rok, a wozy przekazywano z dziada na wnuka, więc było po co się starać i budować solidnie.

Za wozem stał sznur jucznych kuców załadowany rodzimym majątkiem w futrach. A dalej wozy i kuce innych rodów. Żaden pojazd nie był tak ozdobny i wypieszczony jak Glurka, acz niektóre nie ustępowały mu wielkością. Następne w kolejności były wózki ręczne, a na końcu rodziny mogące sobie pozwolić ledwie na jednego kuca i jedną trzecią udziału w krowie.

Ci, którzy dobytek nosili na plecach, wędrowali obok wozów i jakos tak dziwnie wyglądało na to, że perspektywa podróży raczej ich cieszy, w przeciwieństwie do tych, którzy część własności musieli zostawić z braku miejsca na wozach.

- Gdzie Pismire? - zainteresował się Glurk, wsiadając na wóz. - A co tam, wie gdzie jedziemy, to dołącz. Bo chyba nie myśli, że będziemy na niego czekać do zmroku.

- Pojadę przodem: znajdzie go - zaproponował Snibril.

- To mu powiedz, że jedziemy do Spalonego Konca starym szlakiem. Jakby do czego przyszło, to łatwo się tam bronić nawet po nocy.

Glurk ruszył pierwszy, ale oddał lejce żonie i zeskoczył na ziemię. Poczekał, aż wszyscy wyjadą, i zamknął brame. Przez dziury w palisadzie (zwłaszcza te, gdzie leżał włos) mógł dostać się do wioski tabun nieproszonych gości, ale brama powinna być zamknięta. Tak było właściwie - sugerowało, że kiedyś mogą tu wrócić.

* * *

Snibril jechał niespiesznie przed kolumną, siedząc na białym koniu. Brakowało mu nieco wprawy, co nadrabiał determinacją. Po swoim stryju dał koniowi na imię Roland i nikt nie kwestionował jego prawa własności. Murrungowie generalnie przestrzegali praw Imperium, ale prawo znaleźnego (co kto znalazł, to jego) było jednym z najstarszych obowiązujących na całym Dywanie.

Po krótkiej jeździe droga skręciła na szlak i wkrótce ponad włosami dostrzegł oslepiająco białą i pionową ścianę Drewnogóry. Rolanda w ogóle nie było słychać, gdyż pokład kurzu skutecznie tłumił stukot kopyt, a jeździec zapadł w głęboki namysł na temat: gdzie też ten stary szlak może prowadzić. Niejeden dzień, a zwłaszcza noc spędził na jego obserwacji, gdyż choć plemię sporo podróżowało, to w tej samej okolicy i szlak zawsze był pod ręką.

Pismire mówił o wielu dziwnych miejscach o obco brzmiących nazwach: Róg czy Skraj. Pismire był wszędzie i widział dziwne, których on nigdy nie zobaczył. No i umiał opowiadać jak nikt.

Roland trzymał się środka szlaku, wystrzegając się ewentualnego ataku z lewa czy z prawa, ale wokół panowała cisza. Między włosy nawiało tyle kurzu, że utworzyły się pagórki, na których gęsto rosły rozmaite ziola i zielska tak intensywnie woniejące, że aż się spać chciało. Szlak wiał się między nimi bez specjalnego sensu, po czym wychodził na otwartą przestrzeń przy południowej ścianie Drewnogóry, która pewnego dnia, dawno temu, spadła z nieba. Miała długość dobrego dziennego marszu, a szerokość godzinnej i do połowy była nadpalona. Pismire twierdził, że w oddalonych zakątkach

Dywanu były jeszcze dwie inne, a Dumii nazywali ją po swojemu: „zapalka”.

Pismire mieszkał w chacie stojącej w pobliżu starej kopalni drewna i tam też skierował się Snibril. Przy drzwiach stało kilka naczyń, w okolicy pasło się parę na wpół zagłodzonych kóz, a w pobliżu suszyła się świeżo zdjeta skóra snarga. Tylko coś duża była... Nim Snibril zdążył się głębiej zastanowić nad tą kwestią, zobaczył coś, co go znacznie bardziej zaintrygowało. Otóż Pismire wraz z kucem byli nieobecni, za to przy niewielkim ognisku spał sobie ktoś obcy z twarzą przykrytą stożkowatym kapeluszem. A raczej czymś, co kiedyś było blekitnym, stożkowatym kapeluszem, obecnie zaś bezkształtnym kawalkiem filcu o barwie dymu. Ubranie wyglądało podobnie i sprawiało nieodparte wrażenie, że owineło się wokół obcego, by się ogrzać. Postrzępiony budy płaszcz służył mu za poduszkę i był najelegantszą częścią jego garderoby.

Snibril zostawił wierzchowca w cieniu włosów, dobył noża i cicho podkrał się do śpiącego, chcąc sprawdzić, kto zaczął. Akurat miał ostrzem odsunąć rondo kapelusza, by zerknąć na jego twarz, gdy śpiący nagle stał się niesamowicie wręcz aktywny.

W efekcie tej aktywności Snibril wylądował na plecach z ostrzem własnego noża przy gardle, a obcy, pochylając się nad nim, otworzył oczy, najwyraźniej dopiero się budząc.

- Hm... i co my tu mamy? - mruknął do siebie. - Aha, Munrung... niegroźny.

I wstał.

- Co znaczy „niegroźny”?! - zapytał niezyczliwie Snibril, zrywając się na równe nogi.

- W porównaniu z tym tam - nieznajomy wskazał na rozpiętą skórę czarnego snarga, co dopiero w tym momencie dotarło do Snibrila - jesteś całkowicie niegroźny. Pismire mówił, że ktoś się tu pokaze.

- A gdzie on jest?

- Pojechał zobaczyć, co się stało w Tregon Marus. Niedługo powinien wrócić.

- A ty jesteś kto?

- Możesz mnie nazywać Bane.

Bane był starannie ogolony, zgodnie ze zwyczajem młodzieży Cesarstwa, a kasztanowate włosy miał zaplecione w krótki warkocz. Choć nie wydawał się stary, opalona twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w twardym drewnie i gdyby nie uśmiech, byłaby niesamowicie poważna. U pasa miał miecz, a obok legowiska stała oparta o torbę włócznia z lakierowanym grotem.

- Jechałem za moulami - wyjaśnił, a widząc, że wyjaśnienie niewiele rozmówcy wyjaśniło, dodał: - Za kreaturami dosiadającymi tych tam... snargów. Pochodzą z Nie Zamiatanych Obszarów i są nadzwyczaj wredne.

- Nie boisz się ich ślepi?

Zamiast odpowiedzi Bane chwycił za włócznię.

W tym momencie spod włosów wyłonił się Pismire, wierzchem na kucu, co wyglądało dość dziwnie, gdyż długie nogi jeźdźcy prawie wlokły się po ziemi. Na widok Snibrila nie okazał

najmniejszego zdziwienia.

- Tregon Marus padło - oznajmił bez wstępów.

Bane jeknął.

- Mówię, że padło, i to dosłownie. Jest kompletnie zniszczone: domy, magazyny, mury, wszystko. Tapniecie musiało mieć centrum właśnie tam. A po ruinach kreci się masa tego czarnego cholerstwa. To był długi i paskudny dzień... No dobrze, gdzie reszta? Pojechali do Spalonego Konca?... Doskonale, łatwo się tam bronić. Zbieramy się!

Bane też miał kuca, pasącego się wśród włośów, toteż wszyscy trzej dosiedli czworonogów i ruszyli wzdłuż białej ściany.

- A tak właściwie co to jest Tapniecie? - zagadnął Snibril Pismire'a. - Pamiętam, opowiadałeś o tym, ale to było tak dawno temu... To jakiś potwór, prawda? Tyle że nie całkiem z krwi i kości?

- Moule to czcza - wtracił się Bane. - Jestem, że tak powiem, ekspertem w sprawach mouli.

Snibril spojrzał na zdziwiony - Munrungowie jako ludzie wybitnie praktyczni a trzeźwo myślący nie mieli bogów. Życie i bez nich było wystarczająco skomplikowane i dziwne.

- Mam parę teorii - rzekł Pismire. - Czytałem w starych księgach... W każdym razie nie zwracaj uwagi na opowieści, bo to jedynie metafory.

- Me co?

- Ciekawe kłamstwa - przetłumaczył Bane.

- Można tak powiedzieć, choć to raczej sposób na mówienie o czymś obcym bez potrzeby tłumaczenia. Tapniecie to pewna naturalna siła, kleska żywiołowa, jak wichura, dajmy na to. Żyli niegdyś ludzie, którzy wiedzieli o tym więcej... Czytałem stare zapisy o miastach, które nagle zniknęły... a teraz są legendami. Jasny gwint, tyle zostało zapomniane... zapisane i potem przez głupotę utracone!

* * *

Stare szlaki, które w przeciwieństwie do dróg imperialnych ciągnęły się praktycznie po całym Dywanie, nie biegły prosto, lecz wily się wśród włośów na podobieństwo węży. Mimo że ruch na nich panował spory, z rzadka jedynie można było na nich kogoś napotkać, a jednak szlaki nigdy nie były zarosnięte. Dumii uważali, że są dziełem Pelloona - boga podróży. Rozsądniejsi Munrungowie prywatnie byli przekonani, że szlaki zrobił Dywan w jakiś tajemniczy sposób i w sobie tylko znanym celu. Nie mówili tego w towarzystwie Dumii, bo sami nie wierząc w bogów i inne gusła, z zasady byli wyrozumiali wobec przekonanych innych. Nazywali to tolerancją.

Szlak, którym posuwał się tabor z wioski, rozdzielał się na północ i zachód po osiągnięciu poszarpanego Spalonego Konca (faktycznie był spalony i czarny). Glurk zatrzymał wóz, spojrzał podejrzliwie na osmalone zbocze i pociągnął nosem.

- Mam przecucie - oświecił zaskoczona jego zachowaniem połowice. - Poczekamy na Snibrila.

Zeskoczył i przespacerował się wzdłuż stojącej kolumny. Ponownie wydało mu się, że w górze przemyka jakiś cien... pociągnął nerwowo nosem i wziął się w garść. Wódz powinien przewodzić, a nie podskakiwać na każde przywidzenie.

- Zatoczyc kolo! - ryknal. - Nocujemy tu!

Miejsce było bezpieczne, jeśli potrafiło się zignorować popiół i ponura atmosfera. Gdy Drewnogóra spadła na Dywan, połamała włosy, dzięki czemu niespodziewane podejście do obozu było niemożliwe, a co najmniej jedna flankę zabezpieczało białe urwisko, uniemożliwiające skutecznie tak zejście, jak i wejście komukolwiek i czemukolwiek. Glurk poganiał wszystkich niemilosiernie, dopóki nie utworzono z wozów półokregu dochodzącego do drewnianej ściany i nie uwiązano wewnątrz niego kuców i bydła. Poleciał, by na każdym wozie siadł jeden zbrojny w charakterze wartownika, a reszta zajęła się ogniskami i przygotowaniami do noclegu.

„Znaleźć ludziom zajęcie” - to była jedna z trzech zasad wodzowania, które wbili mu do głowy ojciec. Druga było: „Zachowywać się pewnie”. Trzecia: „Nigdy nie mówić: nie wiem”. Jeśli niczego innego nie dało się wymyślić, należało stosować zasadę numer jeden, nawet gdyby miała polegać na maszerowaniu w kółko z włóczniami na ramionach i piosenka na ustach. Glurk polował w tych stronach i wiedział, że nawet w normalny dzień mogą one wywołać ponure wrażenie. Dzień zdecydowanie nie był normalny, a jak ludzie nie mają nic do roboty, to strach z każdego wyjdzie prędzej, niż można by się spodziewać.

Tym razem maszerowanie w kółko z piosenką na ustach nie było potrzebne, bo wszyscy wzięli się do przyrządzania posiłku, a wiadomo, że nic tak nie poprawia morale jak pełny brzuch.

Glurk wlaź na wóz, aby być przez chwilę sam. Coś tu się nie zgadzało: snargi zawsze były tchórzliwe, a rozumu wystarczało im jedynie na to, by wiedzieć, że wioska się nie atakuje, za to pojedynczego wędrowca i owszem, tyle że kupa. To, że sytuacja uległa zmianie, w najmniejszym stopniu mu się nie podobano. No, ale snargi dotąd nie pozwalały, żeby ktoś - lub coś - jeździł na nich wierzchem.

Gdy doszedł do wniosku, że namyślał się i tak za dużo, zlaź na ziemię, wyjął spod kozła długi myśliwski nóż i wsunął go za pas. Nóż sporządzono z kości snarga i był w razie potrzeby równie skuteczny jak miecz. Następnie wziął od żony miskę zupy i zajął się jej zawartością, co było znacznie przyjemniejsze niż myślenie.

Zapadła noc i wartownicy zaczęli przysypiać. Na zewnątrz kregu światła rzucanego przez ognisko przemknął wśród włosów cien... Jeden, drugi... Po pewnym czasie wokół wspartego o białe zbocze rozświetlonego półkola wozów utworzyło się drugie, złożone z czegoś ciemniejszego niż nocny mrok. No i zdecydowanie bardziej namacalnego.

Atak nastąpił od południa. Najpierw zawył snarg, potem zatrzęsł się jeden z wozów. Siedzący na nim wartownik - a był nim Gurth, najstarszy syn Glurka - czym prędzej zeskoczył, wrzeszcząc:

- Chłopy! Atakują!

- Nie daj przerwać kregu! - ryknął Glurk, przeskakując ognisko z włócznią w każdej dłoni.

Wóz z loskotem runął na bok, a Glurk cisnął jedną z włóczni, nie przerywając biegu. Jeki i charkot dobitnie świadczyły, że trafił.

To zdecydowanie nie były normalne snargi - nie dość, że większe, to w dodatku niosły na grzbietach

ludzi, a raczej stwory z grubsza ludzi przypominajace, o zielonych slepiach i dlugich klach. Widok jezdzców na moment zaskoczył Glurka, tak że znieruchomiał i o jego ramie otarła się strzala. To go skutecznie otrzewiło. Z boku rwały konie rwace paliki, do których je przywiązano, z tyłu wrzeszczeli współplemięcy, a z przodu wywrócono kolejny wóz. Glurk przelozył druga włócznię do prawej ręki, gdy nagle wyrósł przed nim szczerzacy kły snarg w lśniacej obroży. Cos ryknęło, lupnęło i lewa reka dziwnie mu zdrewniała. Odretwienie błyskawicznie objęło go całego i reszta świadomości pchnął włócznia. Poczul, że napotyka opór, a potem ogarnęła go ciemność...

* * *

Ogniska dokładnie wyznaczały cel, toteż Snibril i pozostali nie mieli kłopotów z wyborem drogi. Z uwagi na mrok zsiadli jednak z koni i prowadzili je za wodze, co było wolniejszym, aczkolwiek zdecydowanie bezpieczniejszym sposobem podróżowania.

- Powinnismy udać się w kierunku stolicy - oświadczył Pismire. - Tam nie powinno być... - Urwał, widząc, że Bane dobywa miecza i powoli rusza w bok, po czym podjął watek, widząc jego stanowczy gest, nakazujący, by nie przerywał. - Co to ja...? Aha. Warte może nie jest zbyt atrakcyjne o tej porze roku, ale zawsze jest tam co oglądać i gdzie posiedzieć...

- Długo go znasz? - przerwał mu bezceremonialnie Snibril, obserwując skradającego się brzegiem szlaku Bane'a.

- To stary przyjaciel.

- Nie o to mi chodzi. Pytam, kto... - Snibril urwał, gdyż Bane zrobił szybki krok do przodu, odwrócił się i ciał z półobrotu. Cos charknęło i na szlak zwałiło się ciało, wypuszczając toporny czarny miecz. Owo ciało ubrane było w czarny skórzany pancerz, na który ponaszywano kosciane kółka, i na pierwszy rzut oka wyglądało na ludzkie. Na drugi przestawało - czarne futro, zakończone pazurami dłonie i pełna kłów podłużna mordą wykluczały możliwość pomyłki nawet w półmroku.

- Moul - oznajmił z satysfakcją Bane. - Nos mnie nie zawiódł!

- Musimy się pospieszyć - rzekł Pismire. - Oni nigdy nie szwendają się pojedynczo.

- Alez... on wygląda jak człowiek! - Snibril był pod wrażeniem. - Zawsze myślałem, że Nie Zamiatane Obszary zamieszkuje jedynie potwory i zwierzęta...

- Albo krzyżówki jednych i drugich - dodał pouczająco Bane.

W pobliżu ognisk zawył snarg, a potem zaczęło się zamieszanie i wrzaski.

Nim snarg skończył wyc, Snibril był już w siodle i w drodze. Pozostali gnali jego śladem. Gdy wypadli na otwartą przestrzeń, ukazało im się pole zartej bitwy, Snibril jednak nie miał okazji podziwiać widoków, gdyż Roland zebrał się w sobie i skoczył.

Starczyło mu refleksu, by się złapać leku, gdy kon przesadził najbliższy wóz i zgrabnie wylądował w samym środku przelamanego obronnego półkola. Dwa przewrócone wozy plonęły, co wstrzymywało większość napastników, kilku jednak wdarło się do środka i ze zmiennym szczęściem odcinało się obroncom. W pobliżu ogniska leżał martwy snarg z raną w boku, nieopodał moul z trzema dzidami w

plecach, a obok snarga Glurk przycisniety do ziemi lapa innego snarga. Był to największy snarg, jakiego Snibril w życiu widział, i do tego żywy. Na domiar złego zauważył pojawienie się konia i jeźdźca. Po chwili zauważył je także dosiadający go moul i wyszczerzył się paskudnie.

Snibril miał ochotę wziąć nogi za pas, ale Roland ani drgnął. Rad nierad zsunął się więc z siodła i podniósł najbliższą leżącą włócznię. Sądząc po wadze, należała do brata - Glurk miał dziwaczne upodobanie do broni, którą inni ledwie zdolni byli podnieść - o tym, by nią rzucać, nie było nawet co marzyć. Strach jednak dodaje siły, toteż Snibril bez trudu trzymał ją w dłoniach zwrócona ostrzem ku snargowi, powoli zachodząc go z boku.

Snarg obracał się równie wolno, gotując się do skoku. Ponieważ tak wierzchowiec, jak i jeździec poświęcali całą swą uwagę Snibrilowi, nie tracili jej na Rolanda. W przeciwieństwie do Snibrila, nieco zaskoczonym postępowaniem konia. Roland bowiem spokojnie obszedł snarga, aż znalazł się za nim, stanął, obejrzał się i machnął ogonem.

A potem wierzgnął obiema tylnymi nogami.

Cios był wymierzony idealnie - moul przeleciał prawie doskonałym łukiem nad Snibrilem i rabnął o ziemię. Już lecać, był martwy - nic, co tak wygląda, po prostu nie może być żywe.

Najbardziej zaskoczony rozwojem wypadków był snarg. Co jednak nie wpłynęło na zmianę jego pierwotnego zamiaru - skoczenia na przeciwnika. Snibril zadziałał odruchowo: wsparł drzewce o ziemię i złapał je mocno, kierując ostrze ku lecącemu napastnikowi. Do snarga w końcu dotarło, że zrobił coś głupiego, ale w powietrzu nic już nie mógł na to poradzić. Zamiast wylądować na miękkiej ofierze, nadział się na twarde grot włóczni...

To była pierwsza bitwa.

Rozdział trzeci

Gdy Snibril się ocknął, noc była stanem przeszłym dokonanym. Leżał koło dogorywającego ogniska przykryty futrem. Było mu ciepło, lecz że cały był oboląły, pośpiesznie zamknął oczy.

- A, obudziłeś się - rozległ się głos Bane'a, który siedział oparty o beczkę, z kapeluszem nasuniętym na oczy.

Roland pisał się uwiązany do najbliższego włosa.

Nie mając wyjścia, Snibril siadł i przeciągnął się.

- Co się stało? - spytał ciekawie. - Wszyscy cali?

- Mniej wiecej. Strasznie trudno was zakatrupic, ale rannych jest naprawde duzo. Obawiam sie, ze najgorzej oberwal twój brat. Moule, zeby sobie ulatwic robote, zatruwaja swoje miecze. Trucziny wywoluja odretwienie i sen, z którego juz sie nie budzisz. Gdzie?! Siedz, jak ci dobrze: Pismire jest przy nim, wiec lepiej, zebyś mu sie nie paletal pod nogami. Jezeli ktos go dobudzi, to wlasnie on. - Bane szybko zmienil temat: - A co z toba? Musielismy cie wyciagac spod calkiem sporego snarga. Caly jestes?

- Caly - mruknal Snibril i rozejrzal sie dookola.

Obóz byl spokojny (jak na obóz, ma sie rozumiec) - kobiety krzataly sie, przygotowujac sniadanie, dzieciarnia zaczynala sie ganiac, a krowy domagac wydojenia, ale wszystko to byly codzienne i radosne odglosy. Nie bylo slychac sarkan, westchnien i przeklenstw. Odparli pierwszy atak i chwilowo gotowi byli (zwlaszcza ze zrobilo sie juz jasno) poprzetracac gnaty dowolnej liczbie snargów z jezdcami czy bez. Bane bez slowa przyciagnal do siebie spore cos lezace w popiele. Owo cos pachnialo dziwnie, lecz apetycznie.

- Udziec snarga pieczony - wyjasnil, odcinajac spalona warstwe zewnetrzna. - Wlasciciela ubilem wlasnorecznie, co sprawilo mi spora satysfakcje.

- Zródło protein jest malo istotne; wazne, ze sa - rozlegl sie glos Pismire'a. - Dla mnie kawalek bez tluszczu i zyl.

Pismire zszedl z wozu Glurka i widac bylo, ze jest zmordowany. Siadl obok nich bez slowa i zabral sie do jedzenia. Dopiero wtedy Snibril zauwazyl, ze torba z ziolami jest prawie pusta.

- Ma zdrowie jak kon - oswiadczył, ocierajac usta rekawem. - O uporze nie wspomne, bo szkoda słów. Slaby jest, ale trucizna zesla w calosci. Przez dwa dni musi lezec, wiec powiedzialem Bercie, ze musi lezec szesc. Jak pojutrze wstanie, a wstanie na pewno, bedzie zadowolony, ze postawil na swoim, co mu nie zaszkodzi. Ty byś sie tak latwo nie wywinal, Snibril. Zreszta po co ja sie wysilam?! I tak nikt nie zapamieta... Cóż, wolalbym, zeby ci durnie pod niebiosa wychwalajacy bohaterów i zwycieskie boje choc przez chwile pomysleli o tych, którzy musza sprzatic pobojowiska!

Bane usmiechnal sie ze zrozumieniem - najwyrazniej slyszal to juz nie raz, a Snibril byl zbyt zaskoczony, aby sie odezwac.

- Marnosc nad marnosciami. - Pismire zajrzal do wychudlej torby. - Ziola i kurz to nie lekarstwa! To sposób na zabawianie chorego i uluda, psia mac. Tak wiele stracilismy...

- To juz mówiles - ocknal sie Snibril. - A tak konkretnie to co stracilismy?

- Wiedze! Konkretnie zas: lekarstwa, ksiazki, dywanografie i wiele innych umiejetnosci. Ludzie stali sie leniwi, cesarstwa tez. Jesli nie pielegnuje sie wiedzy, jesli sie jej nie strzeze, to ona sobie idzie w cholere. Obejrzyj to! - Rzucil Snibrilowi pas zrobiony z siedmiu różnych prostokatów, kazdy innej barwy. Prostokaty polaczone byly ze soba rzemieniami. - To robota Wightów... - dodal, niczego nie wyjasniajac.

- Chyba juz kiedys o nich wspominales... to jakies plemie, nie?

- Zgadza sie. Bardzo stare plemie: pierwsi mieszkancy Dywanu. To oni przemierzyli Parkiet i przyniesli ogien. Oni zaczeli wydobywac drewno z Drewnogóry, oni wynalezli sposób wytapiania lakieru ze Stolonogi. Dzis rzadko sie ich spotyka, ale niegdys duzo ich sie widywalo z kotlami do topienia lakieru.

Wedrowali od wioski do wioski, a co potrafili odlac z tego lakieru, to ludzkie pojecie przechodzi... No i robili te pasy. Z siedmiu różnych substancji: z wlosów, lakieru, brazu z Wysoczyzny, drewna, kurzu, cukru i piasku. Kazdy musial zrobic taki pas, by stac sie pelnoprawnym czlonkiem wspólnoty.

- Dlaczego?

- Zeby udowodnic, ze potrafi. Mistyka i jeszcze pare drobiazgów. Naturalnie bylo to dawno temu: nie widzialem zadnego od lat. A teraz ich pasy sa obrozami czarnych snargów. Za wiele stracilismy... za wiele spisano i zapomniano... Dobra, teraz sie zdrzemne. Jak bedziemy ruszac, to mnie obudziecie - zazadal i odszedl w strone wozów.

- Co on mial na mysli? - zastanowil sie Snibril.

- Drzemka to taki krótki sen - wyjasnil uprzejmie Bane.

- Nie o to mi chodzi. Kto co spisal i dlaczego za wiele spisal?

Po raz pierwszy Bane nie spieszył sie z odpowiedzią.

- To musi ci sam wyjasnic - powiedzial w koncu. - Kazdy ma swoje tajemnice... i swoje wspomnienia.

Obaj umilkli. Snibril spogladal spod oka na towarzysza, zastanawiajac sie, kim on wlasciwie jest. Jakos tak trudno mu bylo spytac go o to wprost i nie wiadomo czemu tak bylo. Sprawial wrazenie, jakby rozsadzala go energia, a jednoczesnie ruchy mial celowe i precyzyjne, jakby wczesniej przecwiczone i tak pomyslane, by trafic na nie jak najmniej energii. Na dobra sprawe trudno bylo powiedziec, czy jest przyjacielem, ale lepiej, zeby tak bylo, bo wrogiem bylby naprawde groznym.

W koncu Snibril zasnal, zmeczony umyslowym wysilkiem, z siedmiobarwnym pasem w dloniach. A przynajmniej mial wrazenie, ze zasnal.

Widzial bowiem nadal - i slyszal - zarówno krzatanine, jak i obóz tyle ze z góry. Obraz byl lekko zamglony, a potem zaczal sie oddalac - Snibril lecial miedzy wlosami. Byla noc, widzial jednak calkiem wyraznie: pasace sie stada, uspiona wies, zakapturzone sylwetki pchajace ciezki wóz. Po chwili olsnilo go, ze to Wightowie... A potem znizyl lot, celujac w miejsce, w którym stala postac od stóp do głów ubrana na bialo. Postac odwróciła sie ku niemu - byla to pierwsza osoba, która zdala sobie sprawe z jego istnienia. Poczul, ze tonie w przepastnych oczach... i obudzil sie, wciaz sciskajac w rekach pas.

* * *

Zwineli obóz, wyruszyli w droge. Pismire prowadzil wóz Glurka, a blydy i slaby jak dziecko wlaszciel lezal wewnatrz. Sil mu starczalo jedynie na to, by klac, gdy pojazd trzasl na wybojach. Snibril, w siedmiobarwnym pasie, i Bane jechali przodem.

Dywan zmienil kolor (co samo w sobie nie bylo niczym specjalnie dziwnym). Wokól Drewnogóry wlosy mialy barwe ciemnozielona i szara, na zachód od Tregon Marus jasnoblekitna, tutaj zas zielen stopniowo przeszla w zólc, a wlosy byly grubsze i bardziej pokrecone. Niektóre nawet mialy owoce - duze zólte kule, które wyrastaly z pnia. Bane przecial jedna, pokazujac Snibrilowi zawartosc: gesty i slodki syrop.

Krótko potem przejechali pod dziwna konstrukcja zawieszona wysoko we wlosach. Przygladalo im sie

z niej pasiaste stworzenie, brzezcac zlowrogo.

- To hymetory! - wyjasnil Pismire, przekrzykujac brzezczenie. - Jesli sie nie rusza ich miodu, czyli tych zółtych kul, to sa spokojne i nie ma co sobie nimi glowy zawracac. Jak sie jednak ruszy, to zakluja na smierc.

- Sa inteligentne? - zainteresowal sie Snibril.

- W kupie tak, indywidualnie nie. Odwrotnie niz my. Czlowiek zawsze glupiej w gromadzie. Maja zatrute zadla, wiec amatorom slodyczy radze uwazac!

Po tym ostrzezeniu jakos wszystkim przeszla ochota na slodkie, a Bane wiekszosc czasu spogladal w góre, z reka na rekojesci miecza.

Brzezczenie zostalo z tyłu i nie niepokojeni dotarli do skrzyzowania dwóch szlaków oznaczonych kopcem kamieni. Na kopcu siedzieli kobieta i mezczyzna z niewielkimi zawiniatkami i posilali sie serem. W porównaniu z ich lachmanami lachy Bane'a wygladaly zgola dostojnie. Bo i byly czyste. Parka na widok jezdných chciala w pierwszej chwili wziac nogi za pas, ale sie rozmyslila. Chlop miał widoczna ochote pogadac. Ochote te zreszta prawie natychmiast zaspokoil:

- Camus Cadmes jezdem. Zajmywalem sie wycinkom wlosów dla tartaku w Marus, nie? Jakby kto chcial, to dalej moge je cionc, no nie? I pewnie dlatego, ze bylem na robocie, a kobita mi obiad przyniesla, to zyjemy, no nie? Bo jak sie tak cinzko zrobilo, a potem, no tego... - tu mu zabraklo słów, wiec rozlozyl rece - ...no duplo, to potem zesma wrócili i miasta nie bylo. Mury, chalupy, wszystko w drebiezgi. I wszyscy wiali, no to my tyz, nie? Tego nijak sie nie da odbudowac, nie da... A potem zaczeno wyc, no to sma szybcij wiali, nie?

- Ilu jeszcze przezylo? - spytal Snibril, podajac mu kawal pieczystego.

- Z Marus, znaczy sie? Ino ci, co byli za murami, reszte zgnetlo z miastem. Do wczora byl z nami Barlen Corronson, ale go ponieslo po syrop i go te zólte cholery zazgli, nie? Tera idymy na wschód, tam mom rodzine... znaczy chyba jeszcze mom, nie...?

Dali im nowy przyodziewek i jedzenie i para czym predzej sie oddalila, najwyrazniej bojac sie Munrungów tylko troche mniej od reszty nocnych straszidel Dywanu.

- Wszyscy gdzies uciekamy... - mruknal Snibril ponuro.

- Owszem - przyznal Bane, spogladajac na zachód. - Nawet oni.

Szlakiem powoli zbliзал sie wóz z kotlem do topienia lakieru, ciagniety i pchany przez zakapturzone postacie w habitach.

Rozdzial czwarty

- Wightowie - mruknął Bane. - Nie zagaduj ich, chyba ze pierwsi zaczną rozmowę.

- Kto?

- Wightowie.

- Aaa! Widziałem ich w ostatnim śnie...

- Masz ich pas - odezwał się Pismire z kozła. - Jak nad czymś naprawdę się trudzisz, to podobno zostaje w tym czymś cząstka ciebie. Oni w każdym razie tak uważają.

Snibril bez słowa, za to szybko, zdjął pas i wepchnął go do torby, nie bardzo zresztą wiedząc dlaczego. Za nimi reszta kolumny zjechała na bok i stanęła, a wóz z kotłem doturlał się do kamiennego kopca i też stanął. Obie grupy podróżnych przyglądały się sobie, przy czym Munrungowie ze zdecydowaną większą ciekawością. Po chwili niewysoki Wight podszedł do wozu Glurka. Z bliska widac było, że habit i kaptur nie są całkiem czarne - krzyżowały się na nich delikatne, szare linie. Kaptur dokładnie osłaniał twarz.

- Cześć - powiedział Wight.

- Cześć - odpowiedział Bane.

- Cześć - powtórzył Wight i zamilkł.

- Rozumieją ludzki język? - upewnił się Snibril.

- Powinni, skoro go wynaleźli - mruknął cicho Pismire.

Przybysz tymczasem obejrzał sobie dokładnie Snibrila i zwrócił się do Bane'a:

- Dzisiaj wieczór jest Uczta Brazu. Jesteście zaproszeni. Przyjmiecie. Tylko siedmiu. Gdy zapłoną ogniska.

- Przyjmujemy - odparł poważnie Bane.

Wight odwrócił się i odszedł bez słowa.

- Uczta Brazu... - w głosie Pismire'a słychać było zdumienie. - Myślałem, że nie zapraszają obcych na ucztę...

- Kto kogo zaprosił? - spytał rzeczowo, a raczej warknął rzeczowo Glurk, wystawiając potarganą głowę z wozu.

- Słyszałeś, co mówiłem o twoim wstawaniu? - warknął dla odmiany Pismire. - A zresztą, jak już wstałeś, to niech ci będzie...

- Wightowie? - zdziwił się Glurk po wysłuchaniu zwiezłej relacji. - A co tam: darmowe zarcie to darmowe zarcie. Prawde mówiąc, niewiele o nich wiem, ale nigdy nie słyszałem o złym Wighcie.

- Ja do wczoraj w ogóle ledwie o nich słyszałem... - wtracił Snibril.

- Bo jak dziadek zyl, to jeszcze cie nie bylo - wyjasnil Glurk. - Opowiadal mi, ze raz spotkal takiego i pozyczyl mu siekiere.

- I co? - zainteresowal sie Pismire. - Dostal ja z powrotem?

- Nie.

- A, to na pewno byl Wight. Zazwyczaj sa zbyt zajeci, zeby pamietac o drobiazgach.

- To nie byl drobiazg, tylko calkiem dobra siekiera!

- Czyli drobiazg. Zreszta i tak nie ma sie co zastanawiac: takie zaproszenie po prostu musi zostac przyjete - stwierdzil Pismire.

- I zostalo - przypomnial Bane.

- Tyle ze u nich strasznie latwo strzelic gafe... a wiesz, jacy sa wzraliwi. Maja mase dziwnych przesadow i lepiej by bylo, zebyscie wszyscy je choc pobieznie poznali. Generale, powiedz im, co wiesz! - polecil szaman.

- No cöz - zaczal Bane - bardzo istotna jest dla nich siódemka. Dywan sklada sie z siedmiu skladników, siedmiu barw...

- Powiedz im o erach - wtracil Pismire.

- Wlasnie mialem zamiar... Siedem er. Ery to okresy, ale niejednakowej dlugosci. Tylko Wightowie wiedza, kiedy sie zaczyna i kiedy konczy kazda z nich. Kazdy element pasa oznacza jedna ere. Z kolei Era Piasku to budowanie miast i królestw. Nie zgubiliscie sie?

Snibril bardziej niz nad tym, co mowil Bane, zastanawial sie nad tym, co palnal Pismire, najwyrazniej nie zdajac sobie z tego sprawy. General! Sadzac po reakcjach, zaden z pozostalych takze tego nie zauwazyl. W tym momencie dotarło don, ze cala trójka przypatruje mu sie z oczekiwaniem.

- Tego... - mruknal, wysilajac pamiec. - Aha, wiec dzisiejsza uczta oznacza, ze zaczyna sie Era Brazu, tak?

- A Era Brazu to czas wojen i zniszczen - dodal Pismire.

- A dluga ona? - zainteresowal sie Glurk.

- To wiedza tylko Wightowie, ale nie pytaj mnie, skad wiedza. Dzisiaj jak Dywan dlugi i szeroki odbeda sie Uczty Brazu. To ma cos wspólnego z ich pamiecia.

- Do mnie to nie przemawia - mruknal Glurk. - Nic z tego nie rozumiem.

- Co nie znaczy, ze to nie jest prawda.

- Duzo wiesz na ich temat - wtracil Snibril.

- Gdy o nich chodzi, to niczego nie mozna byc pewnym i na dobra sprawe czesto sie okazuje, ze nic sie

nie wie. Pamięta się różne historie, składa okruchy informacji, ale pewnym nie można być nigdy.

- No, dobra. - Glurk wstał. - I tak pójdziemy. Nas czterech, Bertha i Gurth szescioro... niech będzie Damian Kulas na siódmego. Jak prosza na darmowe zarcie, nie należy odmawiać, bo proszacy może się obrazić, nie?

* * *

Do niewielkiego obozowiska Wightów weszli skromnie i trzymając się blisko siebie. Wightowie zawsze podróżowali w grupach stanowiących wielokrotność siódemki (21, 49 itd.). Nikt nie wiedział, co się dzieje z nadliczbowymi. Glurk, który najwyraźniej odziedziczył po przodkach niechęć do kradzieży siekier, uważał, że reszta ich zjada. Nie rozgłaszał jednak swych poglądów, gdyż Pismire kazał mu się zamknąć.

Najstarszy Wight w grupie był Mistrzem. W tej było dwudziestu jeden osobników, którzy jak wszyscy Wightowie zajmowali się odlewaniem różności z lakieru wydobywanego ze stojącego na północy gigantycznego słupa czerwonego drewna, który Dumii nazywali Stolonoga. Przemieszczali się od wioski do wioski, sprzedając swoje wyroby, czyli praktycznie wszystko, bo z lakieru można było odlać każdy przedmiot użytkowy, łącznie z bronią.

W obozie płonęło siedem ognisk, przy każdym krzątały się po trzy zakapturzone i wyglądające zgola identycznie postacie. Snibril zastanawiał się właśnie, jak sami się rozróżniają, gdy odezwał się Pismire:

- Zapomniałem wam powiedzieć o jednym: oni mają doskonałą pamięć. Pamiętają dosłownie wszystko, dlatego trudno jest im rozmawiać ze zwykłymi ludźmi.

- Nie rozumiem - przyznał ucziwie Snibril.

- Nie bądźcie zaskoczeni, jeśli udziela wam odpowiedzi, zanim zadacie pytanie. Czasami nawet oni sami są wyglupieni przez własne talenty.

- Pies tracił ich: ja jestem wyglupiony!

- Pamiętają wszystko. Wszystko, co im się przytrafiło i co się przytrafi. Ich umysły pracują nieco tego... inaczej niż nasze i przyszłość oraz przeszłość są dla nich tym samym. Spróbujcie się skupić i zrozumieć, co mówią. Oni pamiętają wydarzenia, do których jeszcze nie doszło!

Snibrilowi opadła szczeka.

- To możemy ich zapytać... - odezwał się, gdy zebrał uzbicie do kupy.

- Nie! - przerwał mu stanowczo Pismire. - Nie możemy! O... serdecznie dziękuję... wygląda pysznie...

Zmiana tonu spowodowała pojawienie się tacy z jedzeniem. W obozie zapadła cisza - skoncentrowano się na tym, co najważniejsze. Snibril próbował się przegryźć przez dopiero co usłyszane rewelacje, ale okazało się to wysiłkiem zdecydowanie przekraczającym jego możliwości.

- Jestem Noral, starszy suszarkowy - przerwał mu bezowocne wysiłki siedzący z lewej Wight.

- A ja jestem...

- Wiem.

- My...

- Wiem.

- Było...

- Wiem.

- Jak?!

- Bo mi opowiesz po obiedzie.

- Aha...

Z lekka wstrzasniety Snibril był zmuszony przyznać, że Pismire miał rację - praktycznie niemożliwością było prowadzić rozmowę z kims, kto już ją znał. Postanowił jednak spróbować jeszcze raz.

- Naprawdę wiesz wszystko o tym, co nastąpi?

- Wszystko to nie - w głosie Wighta slychac bylo ślad uśmiechu. - Nikt nie może wiedzieć wszystkiego. Ale faktycznie wiem sporo.

Snibril rozejrział się nieco spanikowany: Bane i Pismire gadali sobie w najlepsze z kilkoma Wightami naraz, toteż zdany był wyłącznie na własne siły.

- Ale... no... przypuścmy, że ma cie zaatakować jakiś drapieżnik...

- Tak? - spytał Noral uprzejmie.

- No to możesz tak zrobić, żeby się nie znaleźć na miejscu tego ataku?

- Nie być tam, gdy się umiera? To byłaby przednia sztuczka!

- Nie tak. Chodzi mi o to, że możesz uniknąć...

- Wiem, o co ci chodzi, ale nie mogę. To dość trudno wyjaśnić... musimy podać za jedną Nitkę... Jedyną Nicia. Nie wolno nam jej opuścić ani zerwać.

- Nic cię nigdy nie zaskoczyło? - Snibril spróbował z innej beczki.

- Nie wiem. Co to znaczy „zaskoczyło”?

- To beznadziejne! Słuchaj: a możesz mi powiedzieć, co się stanie ze mną? Z nami? Wiesz, co już się wydarzyło w przyszłości, a gdybyśmy i my wiedzieli, to by nam dość ułatwiło życie.

- Nie ułatwiłoby. Taka wiedza bardzo utrudnia życie.

- Potrzebujemy pomocy - szepnal rozpaczliwie Snibril. - Co to takiego Tapniecie? Dokad mamy sie udac, aby byc bezpieczni? Co powinniśmy zrobic? Nie mozesz mi odpowiedziec na tak proste pytania?

- Potrafisz dochowac tajemnicy? - Wight pochylił sie konspiracyjnie.

- Pewnie!

- Naprawde potrafisz? Nawet gdybys nie mógł sie nia podzielic z nikim innym?

- Tego... tak.

- No widzisz! - Wight siadł prosto. - My tez.

- Ale...

- Smacznego.

- A bedzie smaczne?

- Bedzie - zapewnil Wight i dodal: - I mozesz zatrzymac pas.

- Skad wiesz, ze go mam?

- Wiem.

- Poczekaj! - Snibril zastanawial sie przez chwile. - Pytalem cie tylko dlatego, ze...

- Najlepiej bedzie, jesli nie bedziesz próbował tego zrozumiec - powiedzial Noral miekko.

Snibril poslusznie umilkł i zajął sie jedzeniem. Faktycznie: bylo smaczne.

- Posluchaj - odezwal sie niespodziewanie Noral. - Wszystko ma swoje miejsce i czas, swój porzadek, jak Splot Nici w Dywanie. Zmiany sa juz czescia przyszlosci, i to jest wszystko, co tak naprawde musisz wiedziec.

I tak, raczej w ponurym nastroju, minela reszta posilku. Jedynym optymistycznym akcentem bylo oddanie Glurkowi siekiery dziadka. Co prawda tak stylisko, jak i zelezce kilka razy zdazono wymienic, niemniej jednak byla to calkiem dobra siekiera.

Gdy opuscili wreszcie obóz Wightów, Pismire i Bane byli dziwnie malomówni.

- Powiedzieli wam cokolwiek? - zainteresowal sie Snibril.

- Nie - odparł Pismire. - Oni nigdy nie mówia. Ale...

- Chodzi o to, jak sie zachowywali - przerwal mu Bane. - Rozumiesz, jak sie cos wie, ale nie chce powiedziec, nad zachowaniem trudno jest zapanowac.

- A im zdecydowanie nie podobalo sie to, czego nam nie powiedzieli!

Rozdział piaty

Minal tydzień.

Jechali na północny zachód, a Dywan się zmieniał: szlak stał się wezszy, włosy wyższe i głęboko czerwone. Reszta roślinności także przybrała rozmaite odcienie czerwieni. Razem wyglądało to jak zamrozone pożar i choć nie było gorąco, działało na nerwy. Tej nocy po raz pierwszy od opuszczenia wioski nie słyszeli wycia snargów. Naturalnie natychmiast wywołało to niechec do dalszej podróży.

- Zatrzymajmy się na kilka tygodni - domagał się Cadmic Hargolder, gadający w imieniu malkontentów.
- Snargi mają krótką pamięć: zapomna i będziemy mogli wrócić do domu.

Pismire zdenerwował się, słysząc, o co chodzi.

- Snargi mają krótką pamięć, ale moule wręcz przeciwnie! - zawołał. - A poza tym musimy dotrzeć do Ware.

- Możecie sobie docierać: we dwóch z Bane'em - poinformował go Cadmic. - Ja tam...

- My tam się trzymamy kupy, Cadmic, przynajmniej tak długo, jak ja tu rządze - przerwał mu Głurk. - Będziemy bezpieczni dopiero wtedy, kiedy zostawimy moule daleko za sobą. Ware, nie mówiąc już o murach, jest dostatecznie daleko. To najodpowiedniejsze miejsce. Chyba że któryś uważa inaczej, co?

W tym „co?” było coś, co w zarodku ucielo dyskusję. Było to nader wymowne i jednoznaczne „co?”.

Następnego dnia Snibril i Bane jak zwykle poprzedzali kolumnę. Znajdowali się poza zasięgiem wzroku, jednak w odległości, z której doskonale słyszeli skrzypienie wozów. Tym razem panowało między nimi milczenie, gdyż Snibril ciężko się zastanawiał nad „generalem”. Oficerów Imperium widywał z rzadka w Tregon Marus, które metropolia raczej nie było. Nie ulegało kwestii, że Bane poruszał się jak żołnierz, ale generalowie nie powinni lazić w samopas i wyglądać jak obszarpance. Czyste, prawda, ale jednak obszarpance. To, że jada do Ware, to dobrze - gdzie jak gdzie, ale w stolicy są legiony wojska i tam na pewno będzie bezpiecznie. Rozmyślania przerwało mu nagle chrzankiecie towarzysza, który natychmiast dobył miecza.

O parę kroków przed nimi, na środku szlaku, siedział na snargu moul z na wpeł wyciągniętym mieczem i przerazeniem na zwróconej wprost ku nim twarzy (o ile to, co miał z przodu głowy, zasługiwało na taką nazwę). Snibril zdążył złapać Bane'a za ramie, nim tamten ciał.

- Co ty wyprawiasz, idioto? - zaprotestował złapany.

- Patrz i pomyśl - warknął młodzian.

Moul nie poruszył się, co samo w sobie było dziwne. Co dziwniejsze, był już nieco przykurzony. Snibril

nie bardzo się znał na moulach, ale stan bezruchu i zaniedbania jakos nie wydał mu się dla nich specjalnie typowy. Ostrożnie podszedł do snarga i pstryknął go w nos. Żadnej reakcji. Bane chrząknął i schował miecz, czując się nieco głupio.

- Jakim cudem... - zaczął Snibril.

- Nie wiem. Pismire musi wiedzieć. Bierz go za lebę, a ja wezmę za nogi!

Ostrożnie zdjęli jeźdźcę z wierzchowca i zastygłego w siedzącej pozycji, poniesli w stronę kolumny, która tymczasem stanęła. Moul wyglądał jak żywy, ale w dotyku sprawiał wrażenie kamiennej rzeźby.

Gdy dotarli do wozów, okazało się, że Pismire jest już zajęty oględzinami czegoś podobnego. Mianowicie Glurk wrócił z polowania z posagiem dzika.

- Jest ich tam całe stado - oświadczył, pokazując na włosy w bok od szlaku.

Po chwili ciszy Glurk dzielił dziką swinię drzewcem włóczni w nos. Dzik zrobił głośne „banggg”.

- Powinno być: „kwik” - stwierdził Glurk. - Żadne tam „bang”.

Pismire stuknął moulą trzonkiem noża w piers. Moul zrobił „ping”.

- Powinien ryknąć „Grrryh!” - zauważył Glurk - albo coś równie milego.

- Sa martwi? - spytał Snibril.

- Nie jestem pewien... - rzekł Pismire, na co bardziej znerwicowani gapie uznali za celowe pospieszenie się oddalić. - Popatrz mu w oczy.

Snibril wykonał polecenie i spojrzał w otwarte, czarne w dziennym świetle oczy moula. Gdzieś w glebi, na samym ich dnie, tliła się zielonkawa iskierka świadomości... Wstrząsnął się odruchowo i odwrócił, napotykał spokojny wzrok szamana.

- Ciekawostka: przedwczesne skamienienie. Myślałem, że w tych rejonach już dawno nie ma termagantów - powiedział Pismire. - Na tę noc lepiej wybrać dobrze słyszających wartowników.

- Dlaczego? - zdziwił się Glurk.

- Bo będa pełnić wartę z zawiązanymi oczyma!

- A to po kiego grzyba?

Gdzieś niedaleko ktoś wrzasnął i po chwili przybiegł Yuno Beries, trzymając w objęciach jednego ze swych psów. A raczej jego rzeźbę.

- Słyszałem, jak warknął, i poszedłem go poszukać - wysapał. - Oto co znalazłem!

Pismire przyjrzał się sprezonemu do skoku zwierzęciu z wyszczerzonymi kłami i ogonem podkulonym pod tylne łapy.

- Szczęściarz - zawyrokował.

- Jakos mi na to nie wyglada, biedak - sprzeciwil sie Yuno.

- Nie on, tylko ty! - uscislil Pismire.

- Co to jest termagant? - Snibril w koncu dopchal sie do glosu.

- Moge ci dosc dokladnie opisac, jak wyglada od tyłu. Jak dotad nikt, kto go obejrzał od przodu, nie był w stanie nic na ten temat powiedziec, gdyz natychmiast zamienial sie w kamien, zupełnie jak ta tu galeria sztuki. Nikt nie ma pojecia dlaczego. Od lat nie slyszalem o zadnym nowym osobniku i byłem przekonany, ze wszystkie dawno juz nie zyja...

* * *

Tego wieczoru Pismire omal nie dolaczyl do owej galerii sztuki rzebiarskiej. Od dawna uwazal, ze kozie mleko jest esencjonalnym pokarmem szanujacego sie filozofa, totez za zgoda Glurka codziennie korzystal z uslug jednej z jego kóz - wyłacznie spozywcznych, rzecz jasna. Najczesciej padalo na kozę imieniem Chrystobella, która miała najwiecej mleka i która nienawidzila Pismire'a gleboko i serdecznie, jak to zwierzeta potrafią. Kiedy nie miała ochoty byc dojona - a dzarżalo sie to regularnie dwa razy dziennie - wiekszość obozowiska miała darmowa rozrywke, obserwujac jej ucieczke z unikami i pogon klnacego i zasapanego szamana. Pismire co prawda nie klal tak pieknie jak Glurk, ale robil to z prawdziwym uczuciem. Zaprawde był to widok, jaki pamietą sie do konca zycia, totez matki zachecaly swe pociechy do ogladania tego widowiska.

Tego wieczoru Chrystobella skonczyla gonitwe klasycznym unikiem, przemknela miedzy dwoma wozami i z tryumfalnym bekiem zniknela wsród wlosów. Pismire pognal za nia i po paru sekundach potkнал sie w ciemnościach o lezace zwierzę...

Cos cofnelo sie pospiesznie w mrok, podzwaniajac delikatnie.

Pismire wrócił do obozu z posagiem kozy, postawil ja i puknal w nos. Koza zrobila „pong”.

- Powinno byc „beee” albo cos w tym rodzaju - skomentowal. - Nikt dzis w nocy nie ma sie oddalac z obozu, chyba ze chce tak wygladac!

Warte pelnilo dziesieciu chlopa rozstawionych wokól utworzonego z wozów kregu. Wszyscy mieli starannie zawiazane oczy. Wsród nich zalal sie Snibril z Rolandem.

* * *

Nastepnej nocy sytuacja sie powtórzyła, z ta różnica, ze nalezaca do wdowy Mulluck krowa, zamiast rano zrobic „mmuuuu”, zrobila „ping”. Nikt nie chcial ryzykowac podróży w takich warunkach, za to wszyscy spontanicznie zaciesnili krag, dotaczajac wozy bliżej siebie.

* * *

Trzeciej nocy Snibril, który trzymał warte przy jednym z wozów, prawie zasypiał, gdy usłyszał za sobą powolne szuranie. Coś dużego lazło przez zarośla i sapalo. Snibril już miał się odwrócić, gdy dobiegło go podzwanie metalu. Zamarł. Miał wybór: jeśli się odwróci, stanie się kamieniem, jeśli się nie odwróci, może się stać kolacją.

Nie odwrócił się.

Po chwili, dla Snibrila trwającej co najmniej ze sto lat, szuranie się oddaliło i młody człowiek zaryzykował rzut oka przez ramię, mając nadzieję, że oko wróci. W słabym świetle poranka, niezdeterminowanego, czy już się zaczął, czy może trochę poczekać, dostrzegł coś dużego, przynajmniej dwa razy wyższego od siebie, co zniknęło wśród włosów.

W pierwszej chwili chciał wszcząć alarm, ale gdy sobie uświadomił, jakie to może wywołać straty w ludziach i sprzeczności oraz że na pewno wywoła zamieszanie i zniweczy szanse na skuteczny pościg - zrezygnował. Miał jednakże nieodpartą ochotę coś zrobić. W przeciwnym razie ktoś z tych, kogo znał, zamiast powitać go zwykłym „cześć”, z kamienną twarzą mógłby zrobić „ping”.

Odszukał więc Rolanda, założył mu uzdę - na siodło brakowało już czasu - i cichutko, ale i szybko, wyprowadził go z obozu.

I ruszył w ślad za cichnym pobrzekiwaniem.

Rozdział szósty

Termagant był stary.

Tak stary, że nie pamiętał czasów, gdy jeszcze był młody, a ledwie ledwie co czasy, gdy w okolicy były inne termaganty. Wtedy był silny i wygnał wszystkie. Potem byli ludzie, którzy czcili go jak boga i wybudowali mu świątynię. Oddawali mu cześć, bo był niszczycielski, co w wielu religiach jest często spotykanym powodem, ale nigdy na dłuższą metę nie skutkuje. Tym razem też nie poskutkowało: gdy zamienił w kamień gdzieś tak z jedną czwartą wyznawców, reszta uciekła.

Od tej pory był sam - nawet zwierzęta trzymały się z dala od świątyni i na próżno chodził po okolicy, nawołując. Nie odpowiedział mu żaden termagant. Może zresztą innych już nie było. Pewnie był ostatnim termagantem na całym Dywanie. Czasami jednak, jak go samotność sparała, i tak szukał towarzystwa. Nie chodziło mu o innego termaganta - wystarczyłby ktokolwiek. Nawet by go nie zjadł. Ale to się nigdy nie powiodło - wystarczyło, że zbliżył się do kogoś, a zaraz ów ktoś sztywniał i robił się niemiły i zimny z jakichś niewyjaśnionych powodów. Pewnie go nie lubili.

Zmartwiony kolejną nieudaną wycieczką, wrócił do zrujnowanej świątyni, ciągnąc za sobą ogon. Prawie doszedł do drzwi, gdy poczuł dawno zapomniany zapach - tak pachniało towarzystwo!

Snibril dotarł do zrujnowanej świątyni tuż przed jej mieszkancem.

Wpierw usłyszał, jak kopyta Rolanda stukają po drewnie, potem w słabym świetle poranka dostrzegł niezbyt intensywną poswiatę, zrujnowany budynek i galerie sztuki dynamicznej. Zarówno dziedzińiec, jak i ruiny pełne były skamieniałych, głównie ludzkich, postaci w rozmaitych pozach. Część klaniała się i coś tam wreczała - a to szkatułkę, a to jakiś naszyjnik - część zaś zasłaniała w przerażeniu oczy (ale niedokładnie). Było też sporo zwierząt, głównie dzikich i całkiem nieruchomych.

W centrum ruiny stały wspomnienia po ołtarzu i to one stanowiły źródło poswiaty. Leżał na nich bowiem skarb, czyli zwałone na kupę błyszczące różności. Na pierwszy plan wysuwały się: bogato zdobiona brona, szkatułki tak z lakieru, jak i czerwonego drewna, kosciane, misternie rzeźbione pierścienie, naszyjniki z soli i korona z brazu. Obok skarbów stała jeszcze jedna rzeźba, a raczej skamieniała postać. Był to wojownik niskiego wzrostu, za to ze wspaniałymi wąsami. W jednym ręku trzymał miecz i błyszcząca tarcza, a w drugiej naszyjnik z kryształów soli, mieniących się wszystkimi kolorami tarczy, aż w oczach cmiło. Głowa miała uniesioną (ma się rozumieć wojownika, a nie naszyjnika), a na jego twarzy zastygł wyraz zupełnego zaskoczenia. Jakis pan krzew skorzystał z okazji i po krótkiej wędrówce po posadzce owinał się wokół jego szyi niczym jeszcze jeden, tym razem żywy, naszyjnik.

Snibril przywiązał wodzę Rolanda do kolumny i zsiadł. Wcześniej też już ktoś uwiązał do tejże kolumny swego wierzchowca. Jego skamieniała podobizna wciąż tam stała. Wyglądał jak kuc, tyle że miał sześć nóg i wzrostem dorównywał średnio normalnemu psu.

W dodatku był solidnie przykurzony.

Roland obwachał go podejrzliwie, parsknął i zignorował. Snibril podszedł tymczasem do ołtarza i z zainteresowaniem przyjrzał się kupie skarbów. Z bliska widac było, że są w niej także monety. Nie tarnerii, ale także drewniane, nieco większe i z jakimiś dziwnymi znakami.

Choć pograżony w kontemplacji drogocennych ciekawostek, Snibril kątem oka obserwował kamiennego wojownika. A raczej jego wypolerowaną, okrągłą tarczę.

Z tyłu rozległo się znajome dzwonienie, a w tarczy pojawiło się odbicie czegoś dużego, prawie bezkształtnego i luskowatego. Owo luskowate coś stało w drzwiach czyli bezpośrednio za nim. Powstrzymując naturalny odruch, by się odwrócić, Snibril błyskawicznym ruchem złapał tarczę niskiego wojownika i uniósł ją w ten sposób, by nie odwracając się, móc dojrzec, co się dzieje z tyłu.

Termagant dał krok do przodu i zabrzczał, w czym nie było nic dziwnego, ponieważ wokół chudej szyi miał kilkanaście naszyjników z rozmaitych surowców. Na każdym, zakończonym pazurem palucha znajdowała się kolekcja pierścieni, a na ogonie interesujący zbiór bransolet. Za każdym razem, gdy się ruszył, któreś z jubilerskich cacek albo brzczało samo, albo objając się o mur.

Stwór spojrzał na ołtarz i pociągnął nosem. Jego ślepią nawet odbite w tarczy były groźne. Nie były przerażające, lecz błękitne, nieco zamglone i tak głębokie, że można się było w nich zagubić ze szcetem lub - co gorsza - zamienić w kamień.

Roland zarzał i urwał w pół dźwięku. Do filara uwiązane były dwa posagi.

Snibril stał nieruchomo, choć nogi zaczynały mu się trząść. Termagant, pobrzekując, ruszył w jego stronę. Młody odwrócił się, wciąż z tarczą przed nosem, tyle że zwrócona w stronę termaganta. Pod jej dolnym brzegiem widział jego dolne, kosciste łapy. Wciąż się zbliżały...

A powinien sie, gadzina jedna, zamienic w kamien, pomyslal Snibril, przeciez widzial swoje odbicie w tarczy! I to by bylo na tyle w kwestii genialnych pomyslow. Jedyny, jaki mu wpadl do glowy, nie wypalil. O tym, ze termagant moze byc krótkowidzem, Snibril nie pomyslal.

Zaczal sie cofac, tyle ze szedl wolniej niz zblizajacy sie don potwór, bo tylem. A potem termagant stanal. W okraglej tarczy zobaczyl bowiem innego termaganta. Ten inny przygladal mu sie i mial taki sam zielonkawy, luskowaty pysk. I tez mial naszyjniki. Na chwile stworzenie znalazlo upragnione towarzystwo. Na chwile, gdyz pod Snibrilem zatrzesyly sie podenerwowane kolana i nieco zmienil ustawienie tarczy, w wyniku czego pysk zniknal.

Po chwili zaskoczenia termagant zawyl z zalu, az echo poszlo od resztek scian, i tupnal. A zaraz potem padl na posadzke, az z ruin swiatyni sypnelo gruzem, zakryl lapami slepia i zaszlochal. Lkania zaczynaly sie gdzies u konca ogona i szly w strone lba, potezniejac na podobienstwo fali i wstrzasajac calym masywnym cielskiem oraz wszystkimi klejnotami.

To bylo nie tylko przerazajace. To bylo przede wszystkim zawstydzajace - nic nie powinno miec w sobie tylu lez.

A termagant plakal i plakal, tworzac na posadzce prawdziwa kaluze, która z kazda chwila powiekszala sie coraz bardziej. W koncu dotarla do sredniej wielkoscii warchlaka stojacego przy scianie. Warchlak ruszyl uchem, kwiknal i nagle co dzik wyskoczy pomknal ku wyjsciui. Czesc posagów, do których doplynely lzy, zachowala sie podobnie, czesc pokryta gruba warstwa kurzu, czyli juz wiekowa, rozsypala sie w pyl. Pomniejsze stworki musialy plynac, by odzyskac wolnosc, gdyz w takim tempie termagantowi cieklo z oczu.

Korzystajac z okazji, Snibril nabral termagancich lez na tarcze i zlal najpierw Rolanda, potem szescionogiego kuca, który odwdzieczyl mu sie zaskoczonym spojrzaniem. Nastepny w kolejce byl mikry wojownik, na którego, na wszelki wypadek, poszly dwie pelne tarcze.

Przez chwile nic sie nie dzialo. Potem wasatemu drgnela powieka. Potem reka trzymajaca naszyjnik. A potem naszyjnik wyladowal na ziemi, a wojownik spojrzal zaskoczony na Snibrila.

- Na Gnaty Kona, skadzes sie tu wzial? - spytal wcale sympatycznym barytonem. Rozejrzal sie, dostrzegl zaryczanego termaganta w kaluzie lez i odruchowo siegnal ku szyi. - A to co?! - zdziwil sie, trafijac na kwiatki. - Sluchaj, przybyszu, ile czasu tu zmarnowalem?

- A skad mam wiedziec? Teraz jest trzeci rok po drugim liczeniu za panowania imperatora Targona, wladcy na Ware.

- Jestes Dumii? - zdziwil sie eks-posag, uwalniajac sie z girlandy.

- Mniej wiecej.

- Ja nie - w glosie mikrusa zabrzmiala duma. - My nie pozwalamy sie liczyc. A o Targonie slyszalem... Zanim tu trafilam, byl dwudziesty drugi rok jego panowania.

- W takim razie musiales tu byc gdzies z rok.

- Caly rok! Zdecydowanie za dlugo! - Wasaty sapnal i sklonil sie gleboko a ceremonialnie. - Tysiackrotnie przepraszam za bezceremonialnosc; jestem Brocando syn Broca, pan na Karkolomie i król

Zwinnów. Przrzekam ci, że za swój czyn zostaniesz sownie wynagrodzony. Tak, wynagrodzony.

- Nie zrobiłem tego dla nagrody. Nie jestem miłośnikiem sztuki, a ten tam zdecydowanie zbyt wielu już obrócił w rzeźby.

- W takim razie co cię tu sprowadziło? - zdziwił się Brocando. - Skarb?

- Nic o nim nie wiedziałem, dopóki tu nie wszedłem. Słuchaj, może byśmy tak sobie stąd poszli, zanim mu przejdzie histeria?

- Rok życia! - sapnął wasaty, wyciągając miecz. - Już ja ci odpłacę, potworo!

Termagant przestał zawodzić i leżał nieruchomo w kałuży własnej roboty.

- Wygląda żalosnie - stwierdził krytycznie Snibril.

- Racja. - Brocando po namyśle schował miecz. - Ubij coś takiego to wstyd. A jeśli chodzi o te błyskotki na ołtarzu, to... hmm, są raczej w guscie termaganta.

Snibrilowi parę drobiazgów się spodobało, a brak zainteresowania Brocanda tym dobrem kładł na karb jego bogactwa, ale jakos niezrecznie było sięgać po cokolwiek po takim oświadczeniu. Problem rozwiązał termagant, unosząc łeb (z brzekaniem) i otwierając oczy (bezglósnie). Snibril czym prędzej uniósł tarczę, ale mokry metal wysliznął mu się ze spoconych nagle palców i z brzekiem poturlał się prosto ku termagantowi. Ten zatrzymał tarczę łapą i przejrzał się w niej.

A potem coś zamruczał i ponownie się położył, przytulając do siebie tarczę. A potem jeszcze coś dzwieknęło, termagant jakby podskoczył i znieruchomiał. I tak zmarł ostatni z rasy termagantów zamieszkujących Dywan, i to jest jedyna zgodna z prawdą wersja. Potem minstrele i inni piosenkarze starym zwyczajem wszystko poprzekreśli i w Dywan poszła wersja, że termagant zginał, gdy zobaczył własne odbicie. To kolejny dowód, że nie należy wierzyć w bajki opowiadane wierszem przez różnych takich, co to się zwa artystami. Zawsze nalgają, jeśli uznają, że przez to utwór lepiej się sprzedaje.

Radzi nie radzi, wspólnym wysiłkiem zaciągnęli zezwłok do wygrzebanego pod ołtarzem dołu i zakopali. Snibril z myślą o skamieniałym inwentarzu w obozie napelnił łożami poręczną, wysadzaną klejnotami szkatułkę i obaj ruszyli w drogę.

- Wiśc niesie, że dawniej czczono tu termaganty, więc niech cię durnie zostana tu jako przestroga dla przyszłych pokoleń - zdecydował Brocando. - Co prawda głupota nie ma granic, ale sprawiedliwość sprawiedliwoscia.

W milczeniu ujechali kawałek drogi, lecz Snibril nawiązał do tego co najważniejsze.

- Słuchaj, mówiles coś o nagrodzie - zaczął. - Prawdę mówiac, to taka nie za duża by mi się przydała... Jakbys, ma się rozumieć, jej nie potrzebował i mógłbys się z nią rozstać bez zalu...

- Oczywiście, mówże jednak jasniej!

- Widzisz, moje plemię potrzebuje jakiegoś miejsca na kilkutygodniowy postój. Trzeba naprawić wozy, podkarmić inwentarz i inne takie. To miejsce powinno być bezpieczne, bo jak się człowiek ciągle ogląda i podskakuje z nerwów, to mu robota nie idzie.

- Moje miasto jest do waszej dyspozycji. Moi poddani powitają was z radością.

- Wszyscy są tacy mali jak ty?

- My jesteśmy właściwego wzrostu! - oznajmił dobitnie Brocando. - Nie nasza wina i nie nasza sprawa, że wszyscy wokół wyrosli ponad miarę!

- Wiesz, tak sobie myślę, że ty nie straciłeś roku - powiedział po chwili wymownej ciszy Snibril. - Ty go zyskałeś: wszyscy poza tobą postarzeliby się o rok.

Waszacz zamyslił się głęboko.

- Ale nagroda i tak ci się należy, nieprawdaz? - spytał w końcu.

- Pewnie, że się należy.

Rozdział siódmy

Do obozu dotarli akurat na czas, by powstrzymać wymarsz grupy poszukiwawczej. Naturalnie Brocando stał się natychmiast ośrodkiem uwagi, co najwyraźniej sprawiało mu sporo przyjemności i do czego, sędząc po zachowaniu, był przyzwyczajony. Snibril w powstałym zamieszaniu został mniej lub bardziej zapomniany. Przez Pismire'a jednak raczej mniej...

- Gdzie ty był?! - naskoczył nań szaman. - Co cię napadło, żeby się paletac w samopas? Zapomniałeś o moulach?

- Prawde mówiąc, tak. No, a reszta to się po prostu stała.

- Cóż, robiłeś wrażenie bardziej rozgarniętego. A to całe zamieszanie to skąd? Żaden z twoich ziomków nie widział nigdy króla? Jaki on jest?

- Nie sędzę - odpowiedział Snibril po namyśle na przedostatnie pytanie. A po chwili na ostatnie: - Jest całkiem odważny, nieco narwany i tak naprawdę to nie bardzo słucha, co się do niego mówi...

- Znaczący król - skonstatował Pismire. - Objawy pasują.

Brocando tymczasem, uśmiechając się łaskawie, perorował:

- ...i tylko krok dzielił mnie od skarbu, gdy nagle jak coś z tyłu nie zabrzeczy...! Obejrzałem się i...

Przerwał, gdyż Pismire przepchnął się przez tłum, zdjął kapelusz i złamał się w ukłon, dotykając brodą ziemi. I tak zamarł, przez co Brocando mógł podziwiać jedynie szopy siwych włosów, wyglądających,

jakby piorun grzmotnal w miotle.

- Witaj, wasza królewska moc - oznajmil nieco zduszonym glosem. - Zaszczyceni jestesmy, ze tak wielki syn szlachtetnego i starozytnego rodu uznal nas za wartych... tego... za wartych i juz. Jestesmy do twej dyspozycji, o dzielny panie. Jam jest Pismire, skromny filozof, a to... - Pociagnal za pole Glurka, który stal obok i z otwarta geba przygladal sie poskladaniem szamanowi, wciaz nieruchomo tkwiacemu przed konusowatym monarcha. - Chodzze no tu! - warknelo spod siwej szopy. - Protokól jest szalenie wazny! Uklon no sie przed królem.

- A co to „król”? - zainteresowal sie Glurk.

- Okaz choc troche szacunku! - jeknal Pismire.

- A niby czemu? Przeciez to Snibril go uratowal, nie na odwrót! Chyba ze cos zle zrozumialem...

Bane stal z boku tlumu cisnacego sie do goscia. Mial skrzyzowane na piersi ramiona i dosc ponura mine. Snibril szkól co prawda nie skonczyl, ale czegos w zyciu sie nauczyl i obserwujac go, przypomnial sobie, ze Dumii nie lubia królów. Preferowali imperatorów, bylo ich bowiem mniej, latwiej zatem sie bylo ich w razie potrzeby pozbyc. Gdy szli do obozu, Brocando wyjasnil mu, ze jego ludzie nie maja nic wspólnego z Dumii z dosc dokladnie sprecyzowanych powodów: „Walczymy z nimi, bo prostuja drogi, numeruja rzeczy i robia mapy miejsc, które nie powinny byc opisywane. Wszystko chca liczyc i spisywac! Gdyby mogli, to wlosy na Dywanie by rosly w rzadkach. A najgorsze jest to, ze sluchaja rozkazów. Ten, kto slucha rozkazów, nie myśli, bo to sie wzajemnie wyklucza! I tak dziala to ich Imperium. Bic sie umieja, nie przecze, ale nie maja pojecia, jak sie smiac, i gdyby mogli, to wszystko by uporządkowali po swojemu, policzyli i spisali, a wówczas w zyciu nie byloby miejsca na jakakolwiek radosc!”

Dlatego tez Snibril z ciekawoscia oczekiwal spotkania tych dwóch.

Tymczasem Brocando go zaskoczyl. Podszedl mianowicie do Glurka, uscinal mu dlon i do tego potrzasnal nia serdecznie, a gdy sie odezwal, to w zupełnie innym tonie niz dotad. Byl to taki ton, który caly czas poklepywal rozmówce po plecach.

- A wiec to ty jestes wodzem! Twój brat wiele mi o tobie opowiadal. To musi byc niezmiernie trudna praca. Do której trzeba niewatpliwie miec nadzwyczajne zdolnosci, nieprawdaz?

- No wiesz... czlowiek sie uczy, chcac nie chcac... - Widac bylo, ze Glurkowi zabraklo konceptu.

- Naturalnie! To fascynujace zajecie. I odpowiedzialne, jestem pewien. Przygotowywano cie specjalnie do tej funkcji?

- Tego... no, nie bardzo... tata umarl, to mi dali włócznie i powiedzieli, ze teraz to ja jestem wodzem...

- Doprawdy?! Musimy o tym powaznie porozmawiac przy pierwszej okazji - postanowil Brocando. - A oto czcigodny Pismire, czyz nie?... Alez prosze wstac, jestem pewien, ze filozofowie nie musza sie klaniac, zwlaszcza tak nisko... O, tak znacznie lepiej!... A to jest... general Baneus Catrrix, jesli mnie oczy nie myla!

General! - wstrzasnelo Snibrilem. A jednak!

Bane bez slowa skinal glowa.

- Ile lat sie nie widzielismy? - spytal Brocando.

- Mysle, ze z piec, wasza królewska mosc. Moze szesc.

- To wy sie znacie? - Snibril odzyskal mowe.

- A, tak. - Brocando usmiechnal sie szeroko. - Dumii co jakis czas przysylaja do nas armie i uprzejmie sugeruja, zebysmy stali sie czescia Imperium. Regularnie odpowiadamy, ze nie mamy na to zadnej ochoty, bo nie chcemy byc liczeni...

- Wydawalo mi sie, ze najbardziej zwykle kwestionowaliscie podatki - wtracil spokojnie Bane.

- Bo nie sposób zrozumiec, co moglibysmy od was zyskac za nasze pieniadze.

- Ochrone.

- Aha! Tylko tak sie sklada, ze w bronieniu sie od dawna jestesmy calkiem niezli! - W glosie Brocanda pojawily sie grozne nutki. - I to przed kazdym. Pewnego razu general Baneus zostal wyslany z wieksza niz zwykle armia, by wyrazniej nam zasugerowac koniecznosc przemyslenia naszego stanowiska w tej kwestii. Zdaje sie, ze koronnym argumentem, jakiego uzyl, przekonujac nas, ze najwyzszy czas dolaczyc do Imperium, bylo, iz w przeciwnym wypadku moze nie zostac nikt do policzenia.

- I uslyszalem, ze moze sie okazac, iz nie bedzie komu liczyc - uzupelnil Bane.

- A potem co bylo? - Snibril zorientowal sie na czas, ze moze sie udusic, gdyz zbyt dlugo wstrzymywal oddech, sluchajac tej wymiany poglądów.

- Nie zaatakowalem. - Bane wzruszyl ramionami. - Jakos nie widzialem powodu, dla którego po obu stronach mieliby ginac zupełnie dobrzy zolnierze. Wróciłem i powiedzialem cesarzowi, ze bylby z nich znacznie lepsi dobrowolni sojusznicy niz przymusowi poddani. Poza tym tylko calkowity kretyn atakowalby to miasto.

- Zawsze sie zastanawialem, co ci odpowiedzial.

- Cóż... ma calkiem donosny glos... - rzekl dyplomatycznie Bane.

Zapadla chwila ciszy, która przerwal Brocando.

- Wiesz, oni zaatakowali... po tym, jak zostales, hm... odwolany?

- Wygrali?

- Nie mieli szans.

- A nie mówilem? Glupcy!

- Przykro mi, ze...

- Nie musi ci byc - przerwal mu Bane. - To byla tylko jedna z calej listy różnic, które dzielily mnie i cesarza.

- No dobrze. - Snibril ujal obu pod ramiona. - To, ze oficjalnie byliscie przeciwnikami, nie musi oznaczac, ze nie mozecie sie zaprzyjaznic. Prawda?

* * *

Przy kolacji Glurk dzielil sie z zona wrazeniami:

- Sympatyczny jegomosc ten król. I wazny. Pytal mnie o wiele spraw. Chyba nazywa sie Protokól.

- Dobre imie: brzmi królewsko.

- A Pismire to filozof.

- Popatrz, a nigdy nie mówil. Kto to taki „filozof”?

- Podobno ktos, kto myśli.

- To ty tez jestes filozof! Czesto widze, jak siedzisz i myslisz!

- Nie zawsze mysle - przyznal uczciwie Glurk. - Czasami po prostu siedze. - Po chwili milczenia dodal z westchnieniem: - Tu nie chodzi tylko o myslenie. Trzeba jeszcze umiec potem ciekawie opowiadac o tym, co sie wymyslilo...

Rozdzial ósmy

Ruszyli na zachód w wysmienitych nastrojach. Brocando jechal przy wozie Glurka, a udawali sie do Karkolomu, na który tylko glupiec odwazylyby sie napasc, totez morale znacznie wzroslo. Wielu szczerze podziwialo mikrego wladce, a Glurk blyskawicznie stal sie bezkrytycznym rojalista, dystansujac wszystkich. Brocando wyczul pelnego szacunku interlokutora, totez rozmawial z nim w ten specjalny sposob, jaki wladcy rezerwuja dla plebsu, dzieki czemu czuje sie on doceniony, choc nie bardzo pamieta, co sie do niego mówilo.

Snibril przewaznie jechal z drugiej strony wozu, slyszac (ale niespecjalnie sluchajac) pogawedke, a raczej monolog Brocanda:

- A w północnym skrzydle mój przodek Broc zbudowal swiatynie Kane'a Zalozyciela. Wightom zajelo to siedem lat. Wiesz, filary z lakieru, mozaika chyba najwieksza na calym Dywanie... Wciaz ich zreszta splacamy. Sciany zbudowano z soli i wegla, oltarz z drewna wykladanego brazem... Stala sie ona centrum palacu zbudowanego przez mojego pradziada Broca VII, który zafundowal miastu Drewniana Brame. No i naturalnie nie nalezy zapominac o skarbcach: jesli mnie pamiec nie myli, jest ich z dziewiec,

a wstęp do nich ma jedynie panujący, czyli teraz ja. Korony wykonał własnoręcznie Tarma Rzeźbiarz. Ma siedem palek, każda wysadzana kryształami soli.

- W chacie mieliśmy chodniczek - pochwalił się Glurk, gdy zapadła cisza.

I w ten sposób Glurk odbył darmową wycieczkę po skarbcu, zbrojowni, sali biesiadnej i reszcie zamku. Teoretycznie co prawda, ale fizycznie również coraz bardziej zbliżali się do Karkolomu. Dywan zmienił stopniowo barwę na ciemnoniebieską, toteż Snibril przestał mieć wrażenie, że jedzie przez zamrozone pozary, które towarzyszyło mu przez ostatnie dni. Słuchając opowieści Brocanda, nawet zakładając, że są prawdziwe w jednej czwartej, uznał, że właściwie należałoby zacząć głodówkę, żeby mieć miejsce na to, czym mieli zostać ogoszczeni, gdy dotrą na miejsce.

* * *

Następnego dnia szlak zmienił się w drogę - nie szeroką, białą drogę Dumii, ale starannie ułożoną, choć węższą nawierzchnię z grubych pni, leżącą na nasypie z kurzu. Po obu jego stronach przerzedzono włosy, o czym świadczyły nadal sterzące pnie, a sam Dywan wokół miasta zmieniono w ogród. Były tu włosy, jakich nawet Pismire nie widział, i to nie grube a wysokie, jak gdzie indziej, ale niskie i delikatne, o włosach pełnych owoców. Pomiedzy nimi starannie wyrównano kurz i pył, tworząc podłoże dla rozmaitych krzewów i innych roślin.

Munrungowie nigdy nie zajmowali się rolnictwem, choć przeciwko ziarnu czy warzywom nie mieli absolutnie nic. Jeśli nie liczyć przyzagrodowego ogródka z ziołami, który założył Pismire, upraw nie było, a to z prostego powodu: jak się coś posadzi, to trzeba koło tego czegoś chodzić i pilnować, żeby wyrosło, przeganiać zwierzęta i sąsiadów, którzy chcą to wyzrec, gdy znajdzie się w pobliżu głodni, i generalnie marnować czas w jednym miejscu. Dlatego owoce i warzywa traktowano bardziej jako przyprawy niż stały dodatek do posiłków.

Tu po raz pierwszy zobaczyli nie tyle obfitość, ile wręcz nadmiar owoców, warzyw i wielkich grzybów, które po wysuszeniu można przechowywać latami, a mimo to nie tracią delikatnego smaku. Drogę w dodatku obsadzono niziutkimi włoskami stanowiącymi coś w rodzaju skrzyżowania plotu z dekoracją.

- Pierwszy raz widzę, że tu jest naprawdę ładnie - wyznał niespodziewanie Bane.

- Krajobraz znacznie zyskuje, gdy nie obozuje na nim wojsko - zauważył Brocando.

- Zawsze kazałem podwładnym szanować okolice.

- Inni mieli mniej szacunku.

- Gdzie ludzie? - wtoczył się bezceremonialnie Glurk. - Warzywa są dobre, ale nie w mówisz mi, że same się pieką. Trzeba zawsze koło nich chodzić i grzebać. To się nazywa rolnictwo. Więc gdzie są ci, co grzebią?

Niezaprzeczalnie miał rację - nie licząc dzieciaków, które starannie oskubywały przydrożne drzewa z owoców, na polach nie było żywej duszy. A dzieciaki należały do kolumny Munrungów, a nie do tubylców. Snibril bez słowa złapał za włócznię - gdy się dużo poluje, człowiek uczy się słuchać instynktu. I rozróżniać rodzaje ciszy.

Istnieje kilka podstawowych rodzajów ciszy:

Cisza czegoś, co się boi o życie, na którą składa się bezruch niewielkich z zasady stworzeń.

Cisza oczekiwania, gdy coś dużego czeka na mniejsze z zamiarem zjedzenia go.

Cisza spowodowana brakiem czegośkolwiek, co mogłoby ją zakłócić.

A także cisza wywołana przez coś złośliwego i nieglupiego, co obserwuje i czeka.

Od tej ostatniej przechodzą dreszcze i zaczynają człowiekowi stawać włosy na głowie.

Bane bez słowa wyciągnął miecz - najwyraźniej żołnierze też znali ten rodzaj ciszy. Obaj ze Snibrilem spojrzeli po sobie.

- Nie lepiej będzie zostawić wozy? - spytał młodzian.

- W kupie bezpieczniej. Pierwsza zasada taktyki: nie rozdzielać sił bez wyraźnej konieczności! - odpalił Bane.

Więc wozy powoli turlały się do przodu, tyle że znacznie ciszej, bo umilkł radosny gwar, a wszyscy rozglądali się podejrzliwie.

- Kepa po prawej z przodu - powiedział nagle Bane, nie patrzac w tym kierunku.

- Też tak myślę - zgodził się Snibril.

- Ilu?

- Jeden.

- Mogę go stąd dostać jednym rzutem - zaofiarował się Glurk.

- Trudno przesłuchać kogoś z dzida w sercu - sprzeciwił się Bane. - Otoczmy go i bierzmy żywcem!

Jak uradzili, tak zrobili - Snibril z lewej, Bane z prawej, a Glurk od tyłu. Wszyscy wyrosli przy podejrzanej kępie równocześnie, wymienili spojrzenia i Bane sięgnął w gestwinę. Złapał coś, potrzaskał i wyciągnął.

Nieco przestraszony, łagodnie mówiąc, niedorostek popatrzył na trzy ostrza, potem na trzymających je obcych i z trudem przelknął sline.

* * *

Kwadrans później Snibril, rozplaszczony za kępa zarosli, obserwował niewielką grupę Zwinnów pracujących pomiędzy grzadkami warzyw. Nie wyglądali na uszczesliwionych tym zajęciem. Prawde mówiąc, wyglądali na wielce nieszczęśliwych. I zdecydowanie niedożywionych. Za to pilnujący ich strażnicy wyglądali zarówno na zadowolonych, jak i nazartych. Nawet z odległości, w jakiej znajdował się Snibril, dało się to zauważyć. Identyfikacja sprawiała jeszcze mniej trudności - wartownikami były

moule.

A w oddali widac bylo Karkolom w calej krasie i rozciaglosci.

Miasto zbudowano na olbrzymim skalnym zlomie, a prowadzila do niego wijaca sie wokól skaly droga rozpoczynajaca sie brama na poziomie Dywanu. Brama na dobra sprawe byla atrapa, gdyz najmniejszego sensu nie miala jej obrona, której zreszta nigdy nie próbowano. Wystarczylo w zupelnosci bronic drogi, by nikt nie byl w stanie dotrzec do murów.

Obok Snibrila cos sie poruszylo: to Glurk doczolgal sie do brata.

- Brzdac ma racje: od mouli az gesto - stwierdzil ponuro.

- W miescie tez - dodal Snibril.

- Tak to sie konczy, gdy sie lata za skarbem, zamiast siedziec w domu i królowac.

- Wracamy do obozu - zdecydowal Snibril. - Wiecej i tak nie zobaczymy.

* * *

Wozy sciagnieto miedzy wlosy i wystawiono warty.

Pismire, Bane i Brocando w milczeniu obserwowali malca palaszujacego zupe. Dzieciak mial widac nieograniczona pojemnosc, ale w krótkich przerwach miedzy obrotami lyzka odpowiadal na pytania Brocanda. Tyle ze dziwnie cicho i niesmialo.

- Mój wlasny brat! - warczal Brocando, gdy bracia zjawili sie obok. - Wystarczy wyjechac na pare dni...

- Rok - poprawil spokojnie Bane.

- ...a rodzony brat ogłasza sie królem! Nigdy go nie lubilem: zawsze cos mamrotal ponuro i nie lubil wypic.

- Z rodzina przewaznie tak sie wychodzi - mruknal Bane.

- Ale jak moule dostaly sie do miasta? - wtracil Snibril.

- Wpuscil ich Antiroc, uzurpator jeden! Opowiedz, Strephon!

Strephon mial na oko siedem lat i byl przerazony co sie zowie.

- Ja... oni... walczyliśmy... wszyscy walczyli... - wydukal.

- No, chlopcze, przestan sie jakac!

- Tak sobie mysle, ze powinienes sprawdzic, czy cie nie ma na warcie, Brocando - zaproponowal niespodziewanie Bane. - Chyba mu sie wymowa poprawi.

- Przecież jestem jego królem!

- Własnie. Bezpośrednie sąsiedztwo władcy jakos tak dziwnie działa na organy głosowe i zdolności myślowe poddanych. Doskonale lekarstwo na gadulstwo, wiesz? Jeśli nie chcesz sprawdzić, mówi się trudno, ale byłoby to mile.

Brocando pomruczał pod wasem, lecz posłusznie oddalił się wraz z Glurkiem i Snibrilem.

- Bracia! - parsknął. - Same kłopoty przez nich! Nic, tylko by knuli, mieszała i uzurpowali!

- No, może nie wszyscy. - Glurk spojrzał na Snibrila. - Choć faktem jest, że porządku w pokoju nigdy nie utrzymają.

* * *

Gdy wrócili, brzdac miał na głowie czapkę Bane'a i wyglądał znacznie bardziej radośnie. Bane wysłał go czym prędzej z jakas tajemniczą i zapewne niebezpieczną misją.

- Powiem krótko i treściwie - rzekł Bane, gdy po brzdacu pozostał jedynie obłoczek kurzu. - Twój braciszek zaopiekował się tronem mniej więcej trzy miesiące po twoim wyjeździe, Brocando. Nie stał się specjalnie popularny, a nawet parę razy próbowano go oderwać od tronu, ale trzymał się go tylko kurczowo, co skutecznie. Nic więc dziwnego, że gdy pewnego dnia zjawiała się banda mouli, zaprosił ich na zamek.

- On... co?! - wychrypiał Brocando.

- Zaprosił ich na zamek. Miał nadzieję wynająć ich jako gwardie czy zrobić coś innego, równie głupiego. No cóż. Faktycznie walczyli za niego, aż spacyfikowali miasto. Moule mówi, że on nadal rządzi, tyle że od dawna już nikt go nie widział. Sporo mieszkańców uciekło, reszta praktycznie stała się niewolnikami. Machają młotami w kamieniołomach, pracują w polu i wykonują inne niezbyt przyjemne prace obowiązkowe.

- Moule jakos mi nie wyglądają na wegetarian - wtracił Snibril.

- Bo nie są - mruknął ponuro Pismire. - Są miesozerni.

W tym, co powiedział, nie było nic nadzwyczajnego - wszyscy praktycznie byli miesozerni. Jednak ton, jakim zostało to powiedziane, sugerował coś, od czego wszystkim nagle zrobiło się nieswojo.

- Czy masz na myśli to, co myślę, że masz? - spytał dziwnie blady Brocando.

- Spożywają wszystkie zwierzęta: nie są wybredni. A za zwierzęta uznają wszystko, co nie jest moulem... Cóż... wiecie, co znaczy w ich języku „moul”...? Tak myślałem, że nie wiecie. Prawdziwa Istota Ludzka...

- Atakujemy dziś w nocy! - oświadczył Brocando. - Nikt nie będzie jadł moich poddanych!

- Tego... - zauważył Glurk.

- Tak - mruknął Bane. - Jasne. Piec tysięcy wyszkolonego wojska nie zdołało zająć Karkolomu.

- Prawda - przyznał Brocando. - Wiem my...

- Tego... - zauważył ponownie Glurk, tym razem z większym naciskiem.

- Tak? - spytał uprzejmie Brocando.

- Ostatnio coś często słyszałem „my”. Chciałbym wyjaśnić parę drobiazgów, bo... tego... nie do końca jestem pewny, czy rozumiem. W nagrodę za uratowanie ci życia mamy teraz zaatakować miasto, którego dotąd nie zdobyła żadna armia Dumii, a potem walczyć z bandą mouli, tak? Chcesz, żeby moje bezdomne plemię zdobyło dla ciebie twoje miasto, chociaż to niemożliwe?! Właściwie to ujałem?

- Doskonale! - ucieszył się zapytany. - Wiedziałem, że można na ciebie liczyć. Będzie potrzebował z tuzin odważnych ludzi.

- Tak sobie myślę, że możesz dostać co najwyżej jednego zaskoczonego! - warknął Glurk.

- Musimy mu pomóc - wtracił się nagle Snibril. - Wszyscy mają dość uciekania. Przedziej czy później będziemy musieli z nimi walczyć. Ja już wolę przedziej niż później.

- Jest ich więcej - zauważył Bane. - A wy nie jesteście żołnierzami.

- Fakt - zgodził się Glurk. - Jesteśmy myśliwymi.

- Doskonale! - ucieszył się Brocando.

- Snibril, czy myślimy się właśnie zgłosili na ochotnika do samobójczej misji?

- Trafnie to ujales, Glurk.

- Królowanie to fajna rzecz - stwierdził entuzjastycznie Glurk. - Kiedy zdobędziemy miasto, to spróbuj się go nauczyć.

* * *

Zapadła noc.

Blekitny borsuk prawie wlaź na linie bezszelestnie poruszających się postaci, toteż czym przedziej zmienił kierunek. Wśród poruszających się trwała tymczasem zacięta, choć szeptana, wymiana poglądów. Otóż część co bardziej tradycyjnie myślących chciała, jak zawsze, iść do boju z pieśnią na ustach. Brocando próbował im wytłumaczyć, że skoro misja jest tajna, to lepiej nie uprzedzać wroga śpiewem. Gdy jednak usłyszał, że pokojowa piosenka rozbroiłaby wroga, rece mu opadły. W końcu Brocando stwierdził, że jest tutaj królem, i ucieszył całe towarzystwo, oświadczając, że komu się to nie podoba, może dać gardło. Glurk był pod wrażeniem.

Gdy Snibril zaczął się upewniać w podejrzeniu, iż musieli się zgubić, dotarli do drogi. Przed sobą mieli oświetlone pochodniami mury Karkolomu.

Rozdział dziewiąty

Karkolom zbudowali Wightowie z budulca ściagnietego z całego Dywanu - czerwone drewno i lakier pokrywały ulice, z węgla wzniesiono kopuły, popiół wzmocniał zaprawę, a brazy stanowiły odrzwia i filary. Ściany zbudowano z cukru, a wokół murów posadzono włosy, ze wszystkich zakątków tworząc jeden wielki i wspaniały ogród.

Ogród ten w wieczornym mroku wyglądał podwójnie sielsko, ale i tak dwa razy musieli pasc na płask, by nie zauważyły ich patrole na snargach.

- Na mojej drodze! - zgrzytnął Brocando. - W moim mieście!

- Mam nadzieję, że masz jakiś plan - przerwał mu nerwowo Bane.

- Do miasta prowadzi ukryte przejście.

- Nie wiedziałem.

- Przecież mówię, że „ukryte”! Zresztą komu ja się dziwię?! Tyle wysiłku włożyliśmy w jego budowę, a cesarz nic o nim nie wie?! Nic, spróbujemy to naprawić przy pierwszej okazji. Skreć tu, w te dróżki.

- Jaka dróżka? - zdziwił się ponownie Bane.

- Też ukryta. - Brocando prawie pojasniał z satysfakcji.

Dróżka, która bardziej przypominała ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta, dość długo wila się między włosami. W końcu dotarli do niewielkiego jeziora z następną ruiną świątyni nad brzegiem.

- Coś w tej okolicy świątynie długo nie wytrzymują - zauważył Snibril, rozglądając się po częściowo ukrytych wśród włosów posazkach. - Klimat albo co...

- Ta została zbudowana jako ruina - wyjaśnił Brocando. - Przez Wightów, dla jednego z moich przodków. Tego tam, z gniazdem na głowie i reka w górze! Hm... Zaraz, zaraz: przyprowadziłem was do najtajniejszego miejsca w całym mieście, a przecież jesteście wrogami. Albo coś ze mną jest poważnie nie tak, albo powinienem wam zawiązać oczy!

- Jak chcesz, zebym się za ciebie bił, to nigdzie na ślepo nie pójdę! - oświadczył zdecydowanie Bane.

- Ale możesz tu wrócić za jakiś czas z wojskiem!

- Przykro mi to słyszeć.

- Sluchaj: prywatnie tak nie uwazam - Brocando spróbowal perswazji. - Oficjalnie jednak musze.

- Zaczniemy od poczatku tej bzdury - rzekl Snibril. - Po co komu wiazac oczy?

- To wazne - upieral sie Brocando.

- Kiedys i tak bedziesz musial komus zaufac. Jestes, zdaje sie, czlowiekiem honoru?

- To nie takie proste... - westchnal Brocando.

- To zrób, zeby bylo proste! Jestes tu ponoc królem, nie?! - W tym momencie Snibril zrozumial ze wrzeszczy, wiec dodal ciszej: - Nie mamy czasu na dyskusje.

Nawet Glurk byl pod wrazeniem.

- Prawda - przyznal Brocando. - Moze... to znaczy jestem czlowiekiem honoru i general tez... Uscisnij prawice Broca!

- Czyja? - zdumial sie Bane.

- Posagu za toba, uscisnij mu dlon - skonkretyzowal Brocando.

Bane wzruszyl ramionami i mruczac, zrobil co mu kazano.

- Pierwszy raz Dumii sciska dlon Zwinna, i to akurat musze byc ja i ten obsrany pomnik. Nic dobrego z tego nie bedzie...

Jeszcze nie skonczyl mówic, gdy pod nogami cos mu chrupnelo, szczeknelo i z cichym zgrzytem odjechala plyta dziedzinca, ukazujac czerwony otwór z kilkoma pierwszymi, prowadzacymi w dól stopniami.

- No wlasnie - oznajmil usatysfakcjonowany Brocando. - Tu konczy sie korytarz prowadzacy do zamku, o którym wie tylko prawowicie panujacy król.

- Tu...? - Glurk w koncu wydobyl z siebie glos. - Przez... przez Podspodzie?!

- Tak, a dlaczego cie to dziwi?

- Bo... bo... bo tam zyja potwory!

- Bajki dla dzieci! Tam nie ma nic potwornego. - Brocando zszedl po paru stopniach i spojrzal zdziwiony na pozostalych. - No, co z wami?

- Cóz, z nami... - Snibril przelknel nerwowo sline. Jak wytlumaczyc komus, kto nawet o nich nie slyszal, co to thunorg czy delver albo inne, niezliczone stwory, które podgryzaja korzenie wlosów i strasza czlowieka, kiedy jest naprawde maly. Odruchowo spojrzal na towarzyszy, którzy równie odruchowo zbili sie w ciasna kupe. - Cóz, z nami nic - oswiadczył, majac nadzieje, ze w glosie dzwieczy mu zdecydowanie, a nie strach. - No dalej, chlopaki: ostatni...

- Mniejsza o ostatniego - przerwal mu glos z tylu. - Ciekawe, co bedzie z pierwszym!

Na dole schodów Snibril potknął się o kupe kurzu. Brocando zapalił pochodnię wzięta ze sterty podobnych pod ścianą i przesunął ją dzwignię, dzięki czemu zapadła ciemność, a kłapa w górę wróciła na swoje miejsce. Pozostali czym prędzej zapalili własne pochodnie, a wasaty władca ruszył ku niewielkiej szczelinie w ścianie. Chcac nie chcac, reszta poszła jego śladem.

Prawie tak źle jak stwierdzenie, że nocne zmyły są realne, jest stwierdzenie, że nie są. Przynajmniej do tego mało budującego wniosku doszedł Snibril, wędrując wzdłuż brązowych ścian pokrytych drobnymi włoskami. Do ich tunelu dochodziły lub odchodziły inne, ale żaden nie pokazał kłów, pazurów czy morderczych skłonności. Zaczęła się stromizna i po paru krokach blask pochodni przewodnika nagle jakby się zmniejszył. Dopiero gdy Snibril dotarł do tego miejsca, stwierdził, że znaleźli się w wejściu do olbrzymiej groty, której ściany pograzone są w mroku. Za nią była kolejna. I jeszcze jedna.

Trasa zweziła się, omijając co grubsze włosy i pnać się powoli ku górze, przez co w paru miejscach trzeba było wykazywać szczególną ostrożność i stapać bokiem.

W jednym z nich Snibril o mało nie został zmuszony do nauki latania, co niewątpliwie byłoby ostatnim doświadczeniem w jego życiu. Uchronił go od tego następny w kolejce Bane, który z podziwu godną szybkością złapał go za kark i postawił na właściwym miejscu. Za to poleciała pochodnia. Przysiąc należy, że spadała okropnie długo. Nim zgasła, w dole coś załomotało i ucichło.

- Co to było? - spytał podejrzliwie Snibril.

- Pewnie złota rybka - poinformował go Brocando. - Maja po sześć nóg i zęby długie jak ty.

- Przecież mówiłeś, że tu nie ma się czego bać?! I że nie ma nic potwornego?!

- A jest? - zdziwił się Brocando. - Nigdy bym się nie domyślił, że ktoś się może bać złotej rybki.

Snibrilowi mowę odebrało. Na dłużej.

Na szczęście nic więcej z dołu ich nie dostrzegło ani też oni nic nie zauważyli na dole. Reszta drogi upłynęła w miarę spokojnie. Po przebyciu niedługiego mostku dotarli do jaskini o nieco przyduszonym stropie - najwyraźniej byli tuż pod skalą, na której zbudowano miasto.

- Jeśli nie liczyć mnie, to obecnie nikt poza wami nie zna tego widoku - wyjaśnił Brocando, otwierając grube drzwi, za którymi spiralnie wily się schody. - Gdy to przejście zostało zbudowane, Broc ściał własnoręcznie wszystkich wykonawców. Dla zachowania tajemnicy, ma się rozumieć, nie dla oszczędności.

- I to też jest część królowania? - spytał podejrzliwie Glurk.

- Była: czas przeszły dokonany - uspokoił go Brocando. - Czasy się zmieniły, niestety...

* * *

Wspinaczka była długa i nudna, ale na szczęście z góry padało dość zielonkawego blasku, by oświetlić drogę, nawet gdy pochodnie kolejno pogaśły. Zanim dotarli do okienka, przez które wpadało

zielonkawę światło, znaleźli się na sporym podestacie. Pomieszczył ich wszystkich i zostało jeszcze nieco miejsca. Przed nimi były kolejne drzwi w ścianie.

- Gdzie... - zaczął Glurk, ale urwał, widząc wściekłe spojrzenia brata i Brocanda.

Gdy zamilkł, zza drzwi wyraźniej dały się słyszeć głosy.

Rozdział dziesiąty

Głosy były trzy i słyszeli je tak wyraźnie, że od drzwi mogło je dzielić nie więcej niż metr albo dwa. Jeden był cienki i płaczliwy, drugi syczący i nieprzyjemny, a trzeci głęboki i groźny.

- Jeszcze setkę?! - pisał pierwszy. - Przecież dopiero co wzięliście pięćdziesięciu!

- A teraz potrzebujemy stu - odparł drugi. - Doradzałbym podpisać proklamację, wasza królewska moc, a reszta zajmuje się moi strażnicy. Ta setka będzie doradcami, to brzmi zdecydowanie atrakcyjniej!

- Przecież możecie ich po prostu złapać i wziąć - zdziwił się właściciel pierwszego głosu. - Po co te wszystkie ceregiele?

- Bo to ty jesteś królem, a jak król coś mówi albo pisze, to nazywa się to prawo, a nie łapanka - poinformował go głos drugi. - Tak jest właściwie i urzędowo.

- Ale i tak żaden dotąd nie wrócił! - pisał pierwszy głosik.

Snibril był pewien, że Bane uśmiechnął się w półmroku.

- Bo im się tak spodobało, że nie można się ich pozbyć! - warknął trzeci głos z irytacją.

- Nie wierze!

- To akurat nie ma najmniejszego znaczenia - stwierdził drugi. - Podpisz!

- Nie podpiszę. Jestem tu królem i...

- I jak myślisz: skoro pomogłem ci usiedzieć na tym złoconym stolku, to nie mogę ci pomóc z niego zlecieć? - przerwał mu drugi głos. - Wasza królewska moc...

- Poskarż się Jornameeshowi! - mimo groźby głos pierwszy nie brzmiał zbyt pewnie.

- A skarż się! Fige go obchodzi, co się dzieje w tej dziurze. Podpisuj albo Gorasch znajdzie inne zastosowanie dla twoich rak.

- Jjake? - zajaknal sie pierwszy.

- Naszyjnik! - warknal trzeci, czyli Gorasch.

- To, co tak piszczy, to mój braciszek - poinformował pozostałych Brocando. - Dobrze: wpadamy i zabijamy, ilu sie da!

- I to ma byc plan? - Bane skrzywił sie. - Moze jeszcze dobry plan?

- Mnie sie podoba - oznajmil Glurk.

- A w miescie jest pare setek mouli, tak? - upewnil sie Bane.

- Mieszkancy sie nimi zajma, gdy sie dowiedza, ze wróciłem - zapewnil Brocando.

- A maja przypadkiem bron?

- Moule maja, wezma od nich - wytlumaczył mu lagodnie Brocando.

- Zginiemy tu i teraz! - jeknal Bane. - To nie jest zaden plan! To w ogóle nie jest zadna taktyka! To jest kupa i rznac, co popadnie!

- W kupie razniej - skomentował Brocando i naparł na drzwi.

Te uchylily sie nieco i zamarly.

- Poza tym kupy nikt nie ruszy... - mruknal Snibril. - Co z tymi drzwiami?

- Cos je blokuje - zdziwil sie Brocando. - Jakis duren, pewnie mój rodzony braciszek, cos tu ustawil. Panowie: razem!

No i naparli razem.

Drzwi przez moment stawialy opór, po czym otwarly sie goscinnie przy wtórze lomotu i wrzasków przerazenia.

Snibril, który pierwszy miał okazje spojrzec do wnetrza, stwierdzil, ze drzwi prowadzi do sali tronowej, a dokladniej znajduja sie za stojacym na kilkustopniowym podwyższeniu tronem. Mebel wraz z jego obecnym uzytkownikiem lezal gdzies w polowie schodów, a ze byl solidny, rzezbiony, uzytkownik nie miał najmniejszych szans wylezc spod niego. Poza tym w sali byly jeszcze dwa moule, wpatrujace sie z opuszczonymi szczekami w nowe wejście. Jeden z nich pleczysty, w zbroi i skórzanym helmie, drugi chudy, w dlugim czarnym plaszczu. Pierwszy trzymal w lapie pejcz, drugi miał mine jak wilk, któremu własnie przerwano obiad. Wygladal na takiego, co to w imieniu ma duzo „s” i potrafi je zgrabnie wysyczec.

Chwilowa statyke sceny przerwal Brocando, ruszajac do przodu i wymachujac mieczem, w czym dziwnie przypominal wkurzonego kurczaka. Chudy moul odskoczyl i spod plaszcza zgrabnie do byl własnego miecza, Gorasch zas charknal i zamachnal sie pejczem, lecz na jego drodze znalazł sie Bane.

Pozostali skoncentrowali sie na obserwacji.

Od razu widac bylo, ze reprezentowane sa dwie szkoły walki: Brocando machal niczym miniaturowy wiatrak, zmuszając przeciwnika swa czysta energia do cofania sie, Bane zas walczył niby maszyna: krok, cios, zasłona... tik-tak-tok...

- Nie powinniśmy im pomóc? - zainteresował się Snibril.

- Dziesięciu na dwóch to za duży tłok - skrzywił się Glurk.

W tym momencie właściwe, czyli jawne, drzwi do sali tronowej otwarły się z trzaskiem, wpuszczając do środka z tuzin wartowników.

- Teraz to co innego! - uśmiechnął się radośnie Glurk i cisnął włócznią.

Najbliższy moul zwalił się przebity prawie na wylot, a potem się zaczęło...

Snibril szybko odkrył dwie prawdy: po pierwsze, że włócznia jest lepsza od miecza, jeśli się nią nie rzuca, bo przeciwnik nie może się zbliżyć na tyle, by zrobić ci krzywdę. Po drugie, że przewaga liczebna wroga działa na twoją korzyść - łatwiej jest trafić przeciwnika niż sprzymierzeńca. Prawdopodobnie zresztą dlatego Zwinnowie tak chętnie bili się z większymi od siebie.

A zaraz potem odkrył jeszcze jedno: że włóczni nie należy używać jako maczugi, bo ma przykry zwyczaj pekac. Gdy to nastąpiło, za jego plecami znajdował się Bane, wciąż walczący z tą samą ekonomią ruchów i czwartym już przeciwnikiem.

- Złamałem włócznię! - wrzasnął rozpaczliwie Snibril.

- To weź miecz. Sporo tu bezpanskich.

- Ale ja nie wiem, jak się go używa!

- Za tępy koniec się łapie, ostrym się tniesz i kłuje.

- No, to chyba jeszcze nie wszystko...

- Najtrudniej spamiętać, który koniec jest który!

A potem nagle było po wszystkim.

Kilku nie dobitych wartowników omal nie pozabijało się w drzwiach, byle szybciej znaleźć się na korytarzu. Chudy uskoczył przed wściekłym ciosem z wysokości, jakim poczesztował go Brocando, i przysnął przez uchylone drzwi do tajnego przejścia. Coś lupnęło i lomotało coraz ciszej i ciszej, zupełnie jakby ktoś staczał się ze stromych schodów.

- No, to nie było wcale takie trudne - stwierdził Glurk.

- Na zewnątrz jest ich więcej - przypomniał mu ponury Bane.

Nie zrażony tym Brocando zaciągnął najbliższego martwego moula na balkon opromieniony pierwszymi blaskami poranka, zwinął dłonie w trabkę i ryknął:

- Tooó jaaa, Brooocaaandoooo! Wróóccilleeeem!

I zwalił nieboszczyka przez barierkę.

Na placu było już trochę ludzi, a sadząc po odgłosach, zarówno wieść o powrocie, jak i jej bezpośredni efekt, czyli latający moul, zostały przyjęte wręcz entuzjastycznie.

- Pomóźcie mi z tronem - rzucił Brocando do towarzyszy, po czym zatarł ręce i złapał za oparcie.

W końcu unieśli go dopiero we trójkę, przy czym Glurk w jednym reku trzymał nieco wymietego wymoczek w koronie, który próbował prysnąć, ledwie mebel drgnął.

- Antiroc, oddaj koronę! - polecił Brocando. - Mówcie o tym co masz na głowie, a co nie jest twoje.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz...

- A gdyś mnie zobaczył, to wzruszenie siły ci odebrało, co? - warknął Brocando.

- Ktoś musiał zostać królem! Staralem się, jak mogłem, dla dobra ludu...

Ciągu dalszego nie było, gdyż do sali wpadł moul goniony przez dwie strzały i z pół tuzina tubylców. Strzały dogoniły moula prawie natychmiast, toteż nikt się nim nie interesował, natomiast nowo przybyli nie zainteresowali się nawet prawowitym władcą, lecz bez słów, za to z pełnym zdecydowaniem odebrali Antiroca z uchwytu Glurka i skierowali się ku balkonowi.

- Nie możesz im na to pozwolić! - oznajmił Snibril, podchodząc do Brocanda.

Tymczasem czterech Zwinnów złapało Antiroca za ręce i nogi i zaczęło bujać z całkowicie jednoznacznym zamiarem.

- Na trzy puszczamy! - zakomenderował jeden. - Raz...

- Dlaczego nie? - zdziwił się Brocando.

- Bo to twój brat!

- Racja. Moi mili, postawcie tego obwieszę na podłodze - polecił Brocando. - Nie kazać wam puszczac go wolno, bo się za długo znamy. Widzicie, mamy problem: nie jest właściwa sytuacja, w której poddani wyrzucają przez balkon krewnych panującego. To by się mogło okazać zarazliwe...

- Doskonale - skomentował Snibril.

- Wobec tego pozostaje tylko jedno: wyrzucić go własnoręcznie!

- NIE! - zabrzmiało chóralnie, przy czym Antiroc był głośniejszy od wszystkich pozostałych.

- Zartowałem. - Sadząc po minie, Brocando bynajmniej nie zartował. - Żeby to wszyscy... no, dobrze. To może mam się jeszcze wstydzić za zdrajców zrzucanych ze skały?!... No, wasze szczęście. Taka była tradycja i królewski obowiązek. Teraz je sobie zmienimy, niech już będzie moja królewska krzywdą. Możecie go puścić. Niech się stąd wynosi!

Puszczony Antiroc wyladowal na czworakach i tak pozostal.

- Przeciez oni mnie zabija! - pisnal nie bez racji.

- A dziwisz im sie? Jakby tak ktos mojego ojca sprzedal w niewole, tez bym go zabil. Naturalnie, mozesz sie udac w slady swego doradcy i totumfackiego...

- Ale Gormaleesh zszedl na dól! - Antiroc pozielenial.

- Tak sie nazywa? Tez paskudnie. Cóz, pogwarzycie o starych dobrych czasach... - Brocando skinal na czterech niedoszlych instruktorów latania. - Jesli sie bedzie za dlugo zastanawial, pomózcie mu podjac jedynie sluszna decyzje.

Cala czwórka jednomyslnie zdecydowala, ze czas do namyslu wlasnie sie skonczyl, i jak na komende ruszyla ku Antirocowi. Ten nie czekal ani sekundy - na czworakach pognal ku drzwiom do sekretnych schodów i zatrzasnal je za soba.

- Niech sie tam nawzajem pozagryzaja - westchnal Brocando - wszystko mi jedno. Wejscie jednak trzeba bedzie jakos zablokowac, zeby mi tu nie przychodzili na audyencje. To tyle, jesli chodzi o tajne przejście. Skonczcie moze z tymi, którzy sie pochowali po miescie: watpie, zeby mieli jeszcze ochote sie bic.

- A jakbysmy tak wzieni jencia, to co mamy z nim zrobic, wasza królewska moc? - spytal najbardziej rozgarniety. - Albo i paru jenców?

- Cóz, jak wiecie, okolica nie obfituje w podziemia i lochy - przypomniał Brocando. - Moze wiec byscie byli tak mili i unikneli brania jenców? Uprosciloby nam to wszystkim zycie.

- Nie powinno sie zabijac wroga, który rzucil orez - odezwal sie Bane.

- Naprawde? A zawsze uwazalem, ze to najlepsza pora - zdziwil sie Brocando. - No cóz, cale zycie czlowiek sie czegos uczy...

Rozdzial jedenasty

Snibril siedzial sobie przed palacowymi stajniami, obserwujac Rolanda pochlaniajacego zawartosc prowizorycznego zlobu. Zlób byl prowizoryczny z tego samego powodu, dla którego kon nie byl w stanie stac pod dachem - gabaryty jego wierzchowca i tutejszych tak sie różnily, ze do stajni po prostu sie nie miescil. Roland nie mial jednakze nic przeciwko temu. Snibril tez.

W sali bankietowej trwalo przyjecie, którego odglosy docieraly na podwórze. Przebijal sie przez nie harfoflet Pismire'a, który tak falszowal, ze uszy wiedly. Zanim wyszedl, Snibril mial okazje obejrzec

występy Glurka, który uniósł pięciu tubylców wraz z ławą i obnosił ich wokół sali. Zapadł zmrok, toteż rozpalono potężne kominki. Wszyscy swietowali - ostatnie grupy wróciły z polowań na moule, zanim zaczęło zmierzchać. Snibril odruchowo potarł skronie - znów zaczynała go boleć głowa, a entuzjazm, jaki Pismire wkładał w grę na harfoflecie, godny był lepszej sprawy. Wyjrzał za mury, gdzie rozciągała się granatowa w mroku falująca powierzchnia Dywanu. Poklepał konia po grzbiecie.

- Widzisz, stary, nawet nie pamiętamy, w którą stronę do wioski... - powiedział cicho. - Brocando chce, żebyśmy zostali tu na zawsze. Uważa, że paru wyższych też się może przydać... A Bane jutro chce jechać do Ware, tak na wszelki wypadek... A mnie leć trzeszczy...

Lubił obu, acz przyznać musiał, że Brocando i Bane stanowią dwie skrajności, podobnie jak ludy, z których pochodzili. Łatwo można było zrozumieć, dlaczego Zwinnowie nie lubią Dumii, a przecież to właśnie oni, bez fantazji i metodycznie, stworzyli Imperium. Zwinnowie kochali walkę i zrobiliby wszystko dla swego króla, ale nie da się połączyć obu tych sił... Roland parsknął cicho i Snibril uniósł głowę.

Cisza aż dzwoniła w uszach, choć odgłosy zabawy nie ucichły.

W głowie mu huczało, a cały Dywan zdawał się na coś czekać...

Kuce w stajni stały się niespokojne, a w mieście odezwały się pierwsze, nerwowe psy.

Przypominał sobie, skąd zna te odczucia.

I pedem wbiegł do palacu.

Ponieważ nikt nie zwrócił nań uwagi, dopadł orkiestry i skonfiskował zaskoczonymu trebaczowi instrument. Snibril co prawda nie miał pojęcia, jak się na nim gra (na instrumencie, nie na trebaczu), ale uznał, że jeśli robi wystarczająco dużo hałasu, to wszyscy zwrócą nań uwagę.

Założenie okazało się prawdziwe.

- Tapniecie się zbliża! - wrzasnął, gdy zgromadzeni jako tako przycichli.

- Tu?! - spytał zwiędle Pismire.

- Nie czujecie?! - zdziwił się dla odmiany Snibril.

- Do wozów! - polecił Pismire, ignorując pełne zaskoczenia i niedowierzania spojrzenia.

- Nic nie czuje! - oznajmił Brocando. - A poza tym Karkolom jest bezpieczny.

Zamiast tracić słynę na argumenty, Pismire wskazał na sufit, z którego zwisały się eleganckie i masywne świeczniki. Najelegantszy i najmasywniejszy nad fotelem króla, naturalnie. Otóż wszystkie jak jeden lekko się kołysały.

Królowie zwykle traca sporo czasu na zrozumienie, co się dzieje. Brocando okazał się wyjątkiem od reguły.

- Biegiem na dwór! - ryknął. - Wszyscy uciekać stąd i trzymać się z dala od budynków!

Ponieważ Pismire cieszył się u Munrungów dużym autorytetem, większość z nich znalazła się przed palacem, nim tubylcy zaczęli się ewakuować. Sam Pismire jednak został, trzymając się kurczowo filaru, by nie zmiotła go ludzka fala.

- Zaprzęgać konie i wyjeżdżać! - wrzeszczał, próbując przekrzyczeć harmider.

Świeczniki bujały się już w najlepsze. Ze stołu spadł dzban z winem i roztrzaskał się z hukiem na posadzce. W oddali coś huknęło i zadrżała cała skala.

A spod sufitu posypały się płonące świece.

Misternie rzeźbiony ciężki, gruby kłoc zdobiący portal przekrzywił się ze zgrzytem, osiadając jednym końcem i grożąc zablokowaniem jedynej drogi ucieczki. Glurk roztracił oniemiały tłum, podparł plecami kłoc i zaklinał się, wsparty oburącz o framugę. Pomiedzy nogami ruszył mu ludzki potok.

Widząc, że ostrzeżenie poskutkowało, Snibril nie tracił czasu: wybiegł na podwórze i zaczął wyprowadzać ze stajni konie i kuce. Pomocnicy znaleźli się błyskawicznie - ledwie wóz został zaprzeczony, ładowano na ile weszło pasażerów i odsyłano za mury. Sala bankietowa rozpalala się, oświetlając całkiem wyraźnie akcję ewakuacyjną.

Snibril wsadził czwórke Zwinnów obojga płci na Rolanda i wysłał go w ślad za ostatnim wozem, po czym zawrócił w stronę wejścia, z którego wypływał coraz cięszymi strumykami uciekinierów. Glurk zmuszony był przykleknąć, ale nie puścił kłoca.

- Idziemy! - pogonił go Snibril. - Za chwilę cały budynek runie!

- Nie! - warknął czerwony z wysiłku Glurk. - Pismire i inni są w środku.

Skala wstrzasnęła ponownie. Pękł jeden z filarów, a Glurkowi żyły nabrzmiały na barku.

- Zmiataj! - wycharczał. - Zawali się!

- Zaraz... zaraz wróć z pomocnikami - zapewnił pobladły Snibril. - Tylko nigdzie nie łaz!

Glurk charknął coś nieartykułowanego i Snibril pospieszył szukać pomagierów i narzędzi. Za to z dymu wylonili się Pismire, wyganiający ostatnich spóźnialskich. Przepchnął ich pod ramionami kłoczącego i spytał:

- Co ty tu jeszcze robisz?

- Przechodzę do historii.

Z kolejnym klebem dymu obok nich pojawił się Bane ze szmata owinięta wokół dolnej części twarzy.

- Ruszcie się! - polecił. - Brocando otworzył tajne wejście!

- To nie gap się, tylko mi pomóż z tym wariatem!

- Wygląda na zaklinowanego - ocenił fachowo Bane.

- Zostanę bohaterem - stwierdził słabo Glurk.

- Zamknij sie! - polecil mu Pismire. - Takie glupie pomysly przychodza po picciu na pusty brzuch. Choc po prawdzie nie wiem, czy robienie za kariatyde nie jest glupsze.

- Ze jak? - Glurk z trudem odwrócił glowe.

- Mówie, ze zachowujesz sie jak skonczony tepak! - oswiadczył z godnoscia Pismire.

Sufit po przeciwnej stronie wejścia zawalil sie.

- Masz racje: skonczony tepak! - przyznal Bane.

- Ty stary... dumny... - zdenerwowal sie Glurk, po czym powoli wyprostowal sie i odrzucil belke.

A potem zrobil krok w strone Pismire'a i padl.

- Udalo sie - rzekl Pismire. - Lap go, bo nam reszta sufitu spadnie na glowy.

We dwójke zdolali dociagnac Glurka do drzwi za tronem, przy których czekal Brocando.

- Szybciej!

Glurk zaczal kaszlec, totez Pismire wepchnal mu w garsc wilgotna szmate.

- Okrec ja wokół nosa i ust - polecil. - Pomaga na dym.

- Pachnie winem - ucieszyl sie Glurk, na wpół wychodzac, na wpół pozwalajac sie wypchnac na schody.

- Jedyne mokre w okolicy - poinformowal go odruchowo Pismire. - Teraz biegiem!

Pare sekund później runal sufit.

* * *

We trójke bardziej zniesli, niz sprowadzili Glurka po kreconych schodach w tempie iscie rekordowym. Odgłosy dochodzace z góry moze nie dodawaly im skrzydel, ale na pewno silnej motywacji. Dopiero gdy ucichly, a oni znalezli sie zasapani na mostku, zwolnili.

- No to skonczyly sie zarty... - wysapal Brocando.

- Schody na szczescie tez sie skonczyly! - odsapal Pismire.

- Zapomnielimy pochodni!

- ! - to bylo wszystko, co zdolal wysapac Bane.

Pokladli sie w mroku, dochodzac do siebie.

- Cóż, wrócić nie bardzo jest po co... - zagaił po chwili Brocando. - Wejście nie dość, że się pali, to jest zasypane stertą gruzu.

- A znajdziesz wyjście po ciemku? - spytał Bane.

- Skąd mam wiedzieć? Dzisiaj byłem tu po raz pierwszy - wyznał Brocando.

- Porządny tajny tunel powinien mieć kilka wejść... - mruknął Pismire. - Pytanie, czy ten jest porządny...

Pismire wielokrotnie opowiadał o potworach, jako że podobnie jak Podspodzie stanowiły nieodłączną część mitologii, a mitologia stanowiła nieodłączną część rozwoju kulturalnego, natomiast prywatnie w nic nadnaturalnego nie wierzył. Teraz pozostało mieć jedynie nadzieję, że potwory nie wierzą w niego.

- Jeśli będziemy się trzymać razem i iść ostrożnie, to powinno się udać - w głosie Brocanda jakos nie było przekonania. - Jest nas czterech. Kto się odważy nas zaatakować?

- Kupa różnych takich.

- A oprócz nich?

* * *

Glurk był bardziej osłabiony, niż przypuszczał, toteż droga trwała dłużej, niż się spodziewali, bo nie dość, że w ciemnościach, to jeszcze trzeba go było częściowo prowadzić, częściowo podtrzymywać. Często także były przerwy regeneracyjne, aż w końcu urządzili jedną dłuższą.

- Co jest pod Podspodziem? - zainteresował się Brocando.

- Podłoga - poinformował go Pismire.

- A pod Podłoga?

- Nic. Coś musi być pod wszystkim innym, i to jest właśnie Podłoga. Jak nie rozumiesz, to przyjmij to po prostu do wiadomości. Z równym powodzeniem mógłbyś próbować zrozumieć, co jest nad Dywanem.

- A właśnie! A co jest ponad...

- A skąd niby mam wiedzieć?! I tak mamy zbyt wiele problemów tu na miejscu, żeby się przejmować teoretycznymi.

- Dywan nie może się ciągnąć w nieskończoność.

- Jak dla mnie jest wystarczająco wielki - parsknął Pismire.

Rozmowa z głosami pozbawionymi ciała była denerwująca, ale milczenie w kompletnym mroku zdecydowanie bardziej, toteż Brocando nie wytrzymał zbyt długo.

- Pismire?

- Co znowu?

- Czy moule moga tu zejść?

- To twój tunel i ty powinieneś wiedzieć. Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, po co miałyby tu schodzić albo i siedzieć. Watpie, żeby im się tu bardziej podobało niż nam.

- Zgadza się!

Zapadła chwila zdziwionej ciszy.

- Ty to powiedziałeś?

- Myślałem, że to ty!

- Brocando?

- Pismire?

- Bane?

- Co?

- Widzicie, tak się dla was głupio składa, że widzimy w ciemnościach - rozległ się głos Gormaleesha tuż obok ucha Pismire'a.

* * *

Nawet nie próbowali walczyć, bo i jak tu w ciemnościach odróżnić wrogów od przyjaciół, a machając bronią na oślep, mogli narobić szkody jedynie sobie nawzajem. I tak zresztą zaraz ujęły ich zakończone pazurami łapska.

- No proszę - oświadczył z zadowoleniem Gormaleesh. - Deser, niespodzianka.

- Mój braciszek jest może z wami? - spytał niespodziewanie Brocando.

- W pewnym sensie - przyznał po chwili moule. - Teraz tak: mały łapie Purgisha za ogon... Podaj mu ogon, ofiaro, przecież nie widzi!... Dobrze. Stary łapie małego za pas... a żołnierz z kolei jego za pas... Pięknie. Każdego, który się pusi albo spróbuje pyskować, utłukę na miejscu. Jasne?

Brocando jak na króla potrafił liczyć całkiem szybko.

- A co z Gl... auc!

- Przepraszam, chyba cię kopnałem. - Pismire potrafił liczyć szybciej, być może dlatego, że nie był królem. - Oni widzą, a żaden z nas t r z e c h nie, więc się niepotrzebnie nie wypytuj, wasza królewska mosc.

- Racja - głos Brocanda nagle dziwnie się zmienił. - Słuchaj no, Gormaleesh, a tak w ogóle to jak dobrze widzicie po ciemku?

Zanim Pismire zdążył jeknąć w duchu, słysząc to pytanie, coś łomotnęło w mroku.

- Auc! - wrzasnął z kolei Gormaleesh.

- Scierwo! - odezwał się Bane, który też potrafił szybko liczyć. - Niech no cię dostanę, jak wyjdziemy...

Coś klasnęło, dziwnie przypominając siarczysty policzek, i Gormaleesh zakomenderował:

- Jak wyjdziecie, będziecie robić dokładnie to, co wam każemy. Teraz dość gadania i w drogę!

Owa podróż giesiego trwała wyjątkowo krótko, gdyż byli w pobliżu wyjścia, tyle że nie koło tego osadu. Po drabinie wyprowadzono ich kolejno na górę, przy czym Pismire pusczył się mniej więcej z połowy jej wysokości, ładując z takim lupnieciem i wiazanką, że aż się Podspodzie zatrzęsło.

Jeśli to nie był wystarczający drogowskaz dla Glurka, to rzeczywiście byli w poważnych tarapatkach.

* * *

Na zewnątrz zapadła już noc, gdy wyszli z podziemi spory kawał od miasta, na niewielką polankę, która okazała się punktem zbornym niedobitków garnizonu Karkolomu. Było ich zdumiewająco niewiele i prawie żaden nie był nie uszkodzony, co dawało miłe świadectwo skuteczności Zwinnów. I wywoływało zrozumiałe reakcje na widok jenców. Związano ich starannie i cisnieto w zarosła, przeganiając przy okazji kilka snargów, które zaczęły objawiać zbytne zainteresowanie nie mogącym uciekać posiłkiem. A potem moule odbyły naradę.

- Możesz ich zrozumieć? - spytał cicho Pismire.

- Piąte przez dziesiąte - odparł Bane. - Gormaleesh chce nas gdzieś zabrać... to gdzieś nazywa się *gargatass*, cokolwiek by to znaczyło.

- To po ichniemu Wysoczyzna, zwana czasami Moneta - oświecił go Pismire. - Tam, gdzie żyją Vortgornowie.

- Te parszywce? - zdziwił się Brocando. - To nasi śmiertelni wrogowie!

- Do tej pory zwykle odnosiłem wrażenie, że waszymi śmiertelnymi wrogami są Dumii - zauważył Bane.

- Mamy więcej śmiertelnych wrogów, na wypadek, gdyby kiedyś miało ich zabraknąć.

Pismire słuchał go tylko jednym uchem, gdyż leżał najbliżej polany i mógł podziwiać wartownika kiwającego się na snargu przy wejściu do Podspodzia. Moule rozpałiły niewielki ogień, toteż mógł go spokojnie obserwować. A wartownik był wielce interesujący jako sprawdzian pewnej teorii.

A ta teoria nazywała się Glurk.

Z krzaka za wartownikiem powoli wyrosło umiesnione ramie. Znieruchomiał nad jego głową i delikatnie zdjął z niej helm. Zaskoczony moul odwrócił się i nadział się na potężną pięść, ramie zaś złapało go, nim upadł, i delikatnie wciągnęło go w krzaki.

Po chwili ramie złapało uzdę snarga, a pięść uciszyła go, nim zdążył zawyc. Snarg z westchnieniem zwiotczał, a doskonale współdziałające ze sobą kończyny wciągnęły zwierzątko w krzaki.

Pismire uśmiechnął się - teoria i praktyka wyjątkowo pokryły się wrecz idealnie. I jakos tak miał dziwną pewność, że sytuacja zmieni się na lepsze.

Rozdział dwunasty

Tej nocy wyruszyli na południe.

Na szczęście snargów było więcej niż mouli, ale i tak podróż okazała się nadzwyczaj forsowna. To, że jechali związani i otoczeni przez wrogów, także nie poprawiało samopoczucia.

Następne dni były praktycznie jedną ciąglą jazdą przerywaną krótkimi popasami. Włosy zmieniły barwę wprawdzie na czerwoną, potem na purpurową, pomarańczową i w końcu na czarną. Dwukrotnie przekraczali białe drogi Dumii, za każdym razem skrycie i noca. Kilkakrotnie mijali uspięte wioski i osady, okraszając je z daleka.

A potem pewnego popołudnia dostrzegli cel wędrowki.

Włosy pod ciężarem Wysoczyzny przygięte były prawie do Dywanu. Wprawdzie dostrzec ją można było jako przebłysk ponad włosami, godzinę później jednak było to już największe coś, co Pismire w życiu widział, górujące nad całą okolicą. Czytał co prawda rozmaite opisy tego dziwu, ale żaden opis nie był w stanie oddać rzeczywistości. Żeby opisać to, co wznosiło się przed nimi, potrzebne były większe słowa niż „wielkie”.

Wyglądało to na największą rzecz, jaka w ogóle mogła istnieć. Naturalnie Dywan był większy, ale Dywan był... wszystkim i z tego powodu się nie liczył. Wysoczyzna była natomiast zbyt wielka, żeby można ją wymierzyć, a jednocześnie na tyle mała, aby być naprawdę ogromną.

Nawet z daleka wyglądała potężnie. I polyskiwała. Bo była z brązu: cały metal na Dywanie pochodził z kopalni Wysoczyzny. Vortgornowie wymieniali go z Wightami na żywność, ponieważ na Wysoczyźnie nie rosło nic - cała była z metalu.

- *One pen ny* - mruknął cicho Pismire, gdy stawali pod pionową ścianą z brązu.

- Hmm? - zdziwił się Brocando.

- Zawołanie bojowe Vortgornów - wyjaśnił Pismire. - Najczęściej ostatnia rzecz, jaka się w życiu słyszy, bo mają bronie i zbroje z metalu. *One pen ny* to ich zew. Podobno tak jest napisane na powierzchni Wysoczyzny. Metalowe litery, których obejście zajmuje wiele dni. Widziałem rysunki.

- I kto to napisał? - zainteresował się Brocando.

- Vortgornowie wierzą, że Tapniecie, co jest czystym przesadą, rzecz jasna. Z pewnością istnieje jakieś logiczne, naturalne wytłumaczenie... Cóż, oni twierdzą, że na dolnej powierzchni Wysoczyzny także jest napis. Wykopali tam parę tuneli i odczytali go. Ponoc to „...IZABETH II”. Są przekonani, że to ogromnie ważne.

- Gigantyczne litery nie rosną same z siebie - stwierdził Brocando.

- A skąd wiesz? Może właśnie rosną.

Wokół Wysoczyzny biegła droga, szersza niż cesarskie, a mimo to przy masywie ściany wydawała się wąziutką ścieżką. Najważniejsze jednak, że nigdzie nie było widać śladu bramy, podjazdu czy innego sposobu dostania się na górę.

- Wiesz coś o Vortgornach? - zainteresował się dla odmiany Pismire. - Sporo o nich czytałem, ale nie przypominam sobie, żebym któregoś spotkał.

- Zupełnie jak Dumii, tyle że bez radości życia i żywiołowości, z których słynie Imperium.

- Dziękuję - odezwał się ponuro Bane.

- Musisz brać wszystko do siebie?

- Życie na metalu i w metalu musi się odbijać na psychice - wtracił Pismire, nim wymiana poglądów zdążyła się rozwinąć.

- A właściwie to po czyjej oni są stronie? - spytał Brocando.

- Po swojej własnej, jak większość.

- Ciekawe, na co tu czekamy - zastanowił się Brocando.

- Na to, żeby się dostać na górę - odpowiedział Pismire.

- Żołnierze Imperium dawno już sprawdzili całe otoczenie Wysoczyzny - wtracił Bane. - Drogi nie odnaleziono.

- Bo gospodarze ich nie polubili - mruknął Pismire. - Coś mi się wydaje, że ten cud techniki jest właśnie droga.

Z góry opuszczala się solidna platforma, wolno, acz stale rosnąca w oczach, aż w końcu osiadła z brzękiem na ziemi obok oczekujących. Wykonano ją z desek otoczonych solidną barierką, by zapobiec utracie ładunku, i wzmocniono metalowymi okuciami. W czterech rogach zamontowano masywne uchwyty dla czterech lancuchów z brązu, które ginęły gdzieś w górze. Przy każdym stał wojownik wzrostu Bane'a, w hełmie i półpancerzu z brązu, okrągła tarcza i długi miecz dopełniały obrazu. Wszyscy

mieli krótkie, rudawokasztanowe brody i szare, zimne oczy obojetnie spoglądające na wszystko.

- Nie widzieliście, żeby ktoś za nami szedł? - spytał szeptem Brocando, korzystając z ogólnego zamieszania związanego z załadunkiem.

- Ani śladu, odkąd opuściliśmy Podspodzie - poinformował go radosnie Pismire - a uważnie się przyglądałem.

- A niech to! - wzruszył się pytający. - To co cię tak cieszy?

- Bo to znaczy, że moule nie mają prawa czegokolwiek podejrzewać. Poza tym gdybym coś słyszał albo widział, to nie byłby Glurk. On jest myśliwym, pamiętaj.

- Aha! Poszedł! - to ostatnie skierowane było pod adresem snarga, który podejrzanie dokładnie zaczął obwachiwać zajetego rozmowa wasacza.

Gdy wszyscy się załadowali i jako tako rozmieścili, starając się równomiernie obciążyć platformę, jeden ze zbrojnych odczepił od pasa brązowy róg i zadał wien, wydobywając pojedynczy, za to przeraźliwy dźwięk. Po chwili lancuchy zabrzczały, napreżyły się i powoli, ze skrzypieniem, całość uniosła się wzdłuż pionowej ściany Wysoczyzny.

Ponieważ Pismire został ustawiony przy zewnętrznej barierze, mógł podziwiać widok w pełnej okazałości, od której zakreśliło mu się w głowie. Na samym początku wznoszenia z krzaków wypadł masywny cien, który zniknął pod platformą. Ciągu dalszego nie było, ale rozsądne wydawało się założenie, iż był to Glurk.

Potem widok Dywanu z góry pochłonął go całkowicie. A potem, żeby przestało mu się krecić w głowie, zmusił się do krótkiego wykładu:

- Dumii twierdzą, że Wysoczyzna spadła dawno temu z nieba. Vortgornowie byli wtedy zwykłym, nielicznym szczepem, który mieszkał w pobliżu. Po długich wysiłkach udało im się dostać na górę i praktycznie od tego czasu już nie schodzą.

- A co tam robią moule? - zagadnął Brocando.

- Też chciałbym wiedzieć. Z tego, co słyszałem, Vortgornowie są nieco tepli, ale nigdy nie byli zli.

Platforma zatrzymała się ze zgrzytem przy wysuniętym poza ściane pomostie. Za pomostem była brama z brązu flankowana przez masywne wieże, z których wystawały prowadnice lancuchów. Wszystko było solidne, nabijane cwiekami i bynajmniej nie dekoracyjnymi ostrymi grotami. Pomost otaczały mury dochodzące do pionowej ściany Wysoczyzny i skutecznie odcinające inną drogę do wnętrza niż brama. W bramie znajdowała się krata, też z grotami, która właśnie podnoszono.

- Chyba nie lubią gości - zauważył Bane.

- Popatrzcie sobie ostatni raz na wasz zasmarkany Dywan - odezwał się niespodziewanie Gormaleesh. - Nigdy więcej go już nie zobaczycie!

- Dramatyzujesz - stwierdził obojetnie Pismire.

- Czego?! Ja ci zaraz pokażę... aaauu!

Wypowiedz zakonczyła sie niekonwencjonalnie, poniewaz Brocando go ugryzl.

Majac zwiazane rece i nogi, niewiele wiecej mógł zrobic. A przyznac trzeba, ze zrobil to, nie szcedzac zębów. Gormaleesh oderwal go od swej nogi z duzym wysilkiem i strata kawalka miesa. Wsciekly zlupal spluwajacego z obrzydzeniem napastnika i pokustykal ku brzegowi platformy. Po czym nagle puscil go i usmiechnal sie. Nie byl to mily usmiech.

- Nie! - stwierdzil, jakby sam sie przekonujac. - Nie ma glupich! Jeszcze bedziesz zalowal, konusie, ze nie poleciales. I to wkrótce bedziesz zalowal!

- Zimno... - wymamrotal Brocando, szczekajac jeszcze zębami. - Przeciagi tu jakies okrutne...

Jencom rozcieto wiezy na nogach i cala kawalkada ruszyla, prowadzac wierzchowce w glab Wysoczyzny. Za barbakanem rozciagala sie plaska powierzchnia z metalu, urozmaicona jedynie odleglymi wzgórzami, tez z metalu. Po obu stronach ulicy, która szli, staly mieszkalne baraki i rzedy klatek ze snargami. Przewazaly czarne, ale byly tez czerwone snargi z zachodu, nieco mniejsze, za to z dluzszymi klami. Niezaleznie zreszta od barwy zachowywaly sie tak samo - czujac inne niz moule istoty, próbowaly przegryzc prety, by sie do nich dostac. Bylo to zajecie tylez glupie, co niewykonalne, ale snargi niezaleznie od barwy nigdy nie nalezaly do bystrych.

Dalej byla zagroda, w której przerabiano snargi na wierzchowce, a jeszcze dalej kolejne klatki, tym razem znacznie wiecej, zawierajace dziwne a ogromne stworzenia. Beczkowaty korpus z niewielkimi skrzydelkami, dluga cienka szyja, a na niej niewielka glowa z duzymi brazowymi slepami. Dlugie i dziwnie cienkie nogi zakonczone solidnymi lapami i maly, szeroki ogonek. Calosci dopelnialy dziwnie inteligentne oczy zwieczone krzaczastymi brwiami.

Jedno ze stworzen wysunelo leb z klatki i przyjrzalo sie uwaznie przechodzacy.

- Pone'y! - szepnal z uczuciem Pismire. - Prawdziwe pone'y ze wschodnich kranców Dywanu, gdzie dochodzi on do Podlogi. Najwiecej zyjace istoty Dywanu! Gdybysmy tak mieli kilka do dyspozycji...

- Obawiam sie, ze to raczej moule maja je do dyspozycji - wybil go z marzen Bane.

W milczeniu dotarli do niewielkiego okraglego pagórka i wmaszerowali w wykute w nim wejście, prowadzace do kopalni, sadzac z odleglego, ale nieustajacego stukotu. Tu przekazano ich nizszym i bardziej krepym moulom i poprowadzono przez platanine pograzonych w półmroku korytarzy. Gdy zgubili sie dokumentnie, straznicy zatrzymali sie przy jednym z szeregu drzwi, otworzyli je i wrzucili cala trójke do srodka.

Zanim zdolali sie pozbierac z podlogi, drzwi zostaly z hukiem zatrzaskniete, a w zakratowanym okienku pokazal sie usmiechniety zlosliwie pysk Gormaleesha.

- Ciescie sie goscinnoscia i beczynnoscia, póki macie okazje. Jak traficie do kopalni, a nastapi to wkrótce, zatesknicie za tym lochem. Ale przynajmniej tutaj bedziecie bezpieczni przed Tapnieciami!

- Znowu dramatyzuje - poinformowal pozostalych Pismire. - Ciekawe, po co to robi? Jeszcze powinien zaczac bez sensu klac, jak to moule maja w zwyczajaju.

- Gormaleesh! - zawolal Bane.

- Czego, lachmyto?!

- Lachmyto - powtórzył z pogarda Pismire. - Wyobraznia wypisz wymaluj jak u trzonka od szpadla.

- Mam zamiar odszukać cie i zabić, gdy stąd wyjdziemy - oznajmił Bane, jakby mówił o pogodzie. - Uważam, że powinienem ci o tym powiedzieć wcześniej, abys po śmierci nie gadał, że zostałeś zaskoczony.

- Mam gdzieś twoje grozby, ty śmierdząca padlino! - warknął Gormaleesh.

- Mówilem, że zaczniesz bez sensu rzucać mieśm? - ucieszył się ze swej przenikliwości Pismire.

Gormaleesh warknął coś niezrozumiałego (a z tonu sadzać, obraźliwego) i zostali sami w ciemnościach.

- A więc to tu zabrano moich poddanych - odezwał się po chwili Brocando. - Do kopalni metalu.

- Sadzać po stukaniu, to nie tylko twoich poddanych, ale każdego, kto się nawinął - poprawił go Pismire, myślać, co też porabia Glurk.

* * *

Obudziło ich poszturchanie i światło. W drzwiach stały dwa moule: jeden przyswiecał pochodnią, a drugi szturchał ich drzewcem włóczni.

- Koniec bumelanctwa - oznajmił ze złośliwą satysfakcją szturchający. - Idźcie do kopalni.

- Ano - warknęło z korytarza.

Pismire zastrzygł uszami.

- Kurdupel, dziadyga i anemik - skomentował moul - za długo nie pociągna, ale na coś się przydadza, nie?

- Ano - warknęło powtórnie.

Moule wyciągnęły więźniów na korytarz, sprawdziły, czy nadal są związani, i pchnęły w stronę nieruchomej postaci w brązowym pancerzu.

- Durnie! - warknęła postać. - Mieli być związani, a co to ma być?!

Postać złapała za ściągnięte rzemieniem ręce Pismire'a i uniosła je, by dokładniej obejrzeć.

- Przecież są związani! - zaprotestował moul.

- Taa? To co to w takim razie jest? - spytał wściekle Vortgorn.

Oba moule posłusznie pochylili się nad więźniami Pismire'a. Nim któryś zdążył pisnąć, wojownik złapał ich za karki i lupnął kudłatymi czaszkami o siebie. Coś pekiło z miłym dla ucha chrupotem i dwa ciała osunęły się na posadzkę.

Glurk zdjął hełm i wyciągnął nóż.

- Tak sobie myślałem, że was tu znajdzie - oznajmił, rozcinając im kolejno wieży.

- Przecież zostawiliśmy cie w Podspodziu! - to był Bane.

- Jak nas tu znalazłeś?! - to był Brocando.

- To ciebie widziałem wczoraj pod platforma - ucieszył się Pismire. - A już zacząłem się bać, że mi się przywidziało.

- Najpierw stąd zmiatamy, gadać będziemy potem - oznajmił Glurk.

Gdy uwolnieni przywracali sobie krzyk w konczynach górnych z pomocą intensywnego masowania, Glurk zaciągnął moule do celi, zabrał im miecze i zamknął starannie drzwi, nie zwracając uwagi na Brocanda, który perorował, że najlepiej dobić wroga, kiedy jest nieprzytomny, bo nie wrzeszczy.

- Miecze są byle jakie, ale lepsze niż nic - zauważył Glurk. - Starajcie się wyglądać jak więźniowie, to powinno się nam udać. Jest ich tu tyle, że nikt nie zwraca na nich uwagi.

Glurk nałożył hełm i ruszył przodem.

* * *

Poza dwoma wypadkami faktycznie nikt nie zwrócił na nich uwagi. W obu wypadkach odmiennych strażnicy zrobili to za późno.

- Dokąd się wybieramy? - zainteresował się Pismire.

- Do przyjaciół.

- Powinnismy uwolnić więźniów - wtracił Brocando. - Są ich tysiące!

- I tysiące mouli - dodał Glurk. - Zbyt wielu!

- Racja - przytaknął Bane. - Wpierw musimy uciec, potem zorganizujemy pomoc. Do tego potrzebna jest armia! I bądź tak miły i nie mów, że tysiąc uwolnionych Zwinnów to armia, i do tego na miejscu!

- Bo jest! - zaprzeczył się Brocando. - Gdy tylko...

- Nie jest! - przerwał mu pierwszy raz w dziejach znajomości Glurk. - Widziałem więźniów: ledwie są w stanie utrzymać się na nogach. A tak w ogóle: wiesz, dlaczego moule zajęły Karkolom?

- Bo potrzebowały niewolników.

- Bo potrzebowały dużych ilości skały!

- Czego?! - zdumiał się Brocando.

- Tego, na czym zbudowaliście swoje miasto! Kamienne dluta szybko się tepia i potrzebne jest ich całe mnóstwo, żeby mogli wylupac tyle metalu, ile chcą.

- Moje miasto... - jeknął Brocando.

- Kamień.

- Mój piękny pałac?!

- Kamień! - powtórzył Glurk.

- Metal - poprawił Bane. - Kamień to środek, metal to cel. Metalowe miecze i tarcze zawsze pokonają ostrza z drewna, kamienia czy lakieru. Oni chcą być niepokonani.

- Dobrze, ale po co? - wtracił Pismire.

- Warte leży zaledwie o parę dni drogi stąd. Trzeba ich ostrzec - odparł ponuro Bane.

- Koniec! Dostę gadania! - zamknął dyskusję Glurk. - Już niedaleko.

* * *

Do tego „niedaleko” dotarli bez przeszkód. Okazało się ono długą jaskinią o wysokim sklepieniu, a wejście stanowiły masywne wrota i niewielka, umieszczona w nich furtka. Wrota były zamknięte, furtka nie. Za to gdy weszli, coś wewnątrz się poruszyło i zbliżyła się para zielonych ślepi.

- Co tu robicie? - spytał moul.

- Przeprowadziłem więźniów - odparł Glurk.

- Po co? - zdziwił się moul.

Teraz dla odmiany zdziwił się Glurk - inni o nic nie pytali.

- Dostę gadania! - warknął i rabnął wartownika na odlew.

Zielone ślepią zgasły.

- Dyplomacja jest meczacą - stwierdził Glurk, wchodząc do sali. - A jednak byłem uprzejmy.

Pismire całkiem niezłe widział w półmroku, toteż pierwszy się zorientował, gdzie trafili.

- Czyżby to były poney? - odezwał się Brocando, mający nieco słabszy wzrok.

- Raczej trudno je pomylić z czymkolwiek innym - mruknął Pismire. - Co one tu robia?

- Obracają kołowroty platformy - wyjaśnił Glurk. - i wykonują inne ciężkie roboty. A tak w ogóle to one są inteligentne.

- Nie sa - sprzeciwił się Pismire. - To tylko plotki. Wyglądają na inteligentne, to prawda. Ale mają zbyt małą czaszkę w stosunku do reszty ciała: ich mózgi są wielkości ziarnka grochu.

- Cwany ten groch - parsknął Glurk. - Spałem tu zeszłej nocy, więc możecie mi wierzyć. Mają swój język, bez słów, ale mają. Popatrzcie!

Z cienia wylonil się niewielki leb z para błyszczących brązowych ślepi i pochylił się nad Glurkiem.

- Tego... jeśli mnie rozumiesz, to tupnij dwa razy - polecił Glurk.

Lup. Lup.

Nawet Glurk wyglądał na zaskoczonego, aczkolwiek szybko doszedł do siebie.

- To przyjaciele - poinformował. - Pomozecie, prawda?

Lup. Lup.

- Pomoga - oznajmił.

- Doprawdy? - zdziwił się uprzejmie Pismire.

- Tam jest siodło. - Glurk wskazał na przeciwny koniec jaskini. - Do roboty.

Siodło przypominało bardziej niewielki domek niż sprzęt do jazdy wierzchem. Było duże, miękkie, zaopatrzone w baldachim z czerwonego materiału wraz z zasłonami na wierzchołku. Miało też brązową plakietkę z napisem WIELGOZÓR. Do siodłania wzięli się Brocando, Bane i Glurk, Pismire zaś przyglądał się z zainteresowaniem siodłanemu, który z zainteresowaniem z kolei przyglądał się Pismire'owi.

- Ile widzisz palców? - spytał niespodziewanie Pismire, rozczapierzając dłoń.

Lup. Lup. Lup. Lup.

- Aha! Tak też sobie...

Lup.

- Spryciarz!

Pone przykleknął, by im ułatwić zadanie, a gdy siodło znalazło się już na jego grzbiecie i zostało właściwie umocowane, a cała czwórka znalazła się w środku, wstał i ryknął.

Dźwięk przypominał zgrzyt zardzewiałych zawiasów, tyle że liczonych w tysiące. I zawierał całą masę półtonów, akordów i innych odgłosów przywodzących na myśl mowę, choć bez słów. Język w stylu: hmm, uch, arrgh, csss, mm i tak dalej. Pozostali przedstawiciele tego gatunku wysłuchali go spokojnie, po czym odpowiedzieli seria buczeń, piszczeń i ryków, które odbite od metalowych ścian, miały się po jaskini jak oszale.

- Moule usłysza ten hałas nawet w Podspodziu! - wrzasnął Pismire.

- To bez znaczenia! One zdecydowały się wracać do domu! - Odwrzasnął Glurk, mając najwyraźniej na myśli wyjąco-ryczące towarzystwo.

- Chcesz mi wmówić, że dotąd były tu dobrowolnie?! - zawołał Brocando, patrząc, jak pone'y we wzorowym ordynku opuszczają swe metalowe boksy.

- Im się tu podobało, jak Wysoczyzna rządzili Vortgornowie - odparł Glurk. - Dużo ciekawych rzeczy się działo, a moule nie są interesujące. One nie lubią mouli. My jesteśmy interesujący i chyba nas polubiły.

- Posłuchaj, Glurk - powiedział łagodnie Pismire. - Nie, żebym cię uważał za mało bystrego na umyśle, ale wątpię, byś w ciągu ledwie paru godzin nauczył się ich języka i dowiedział tego wszystkiego, co...

- Nie musiałem - rzekł z uśmiechem Glurk. - Wiedziałem, zanim się tu zjawilem.

- Jak...?

- Dość tego... gadania - zdecydował Glurk. - Potem wam opowiem. Tylko uważajcie, ona mówiła, że pone'y doskonale rozumieją ludzką mowę.

- Nie wierze. - Pismire był uparty.

Najbliżej idący pone plnął mu w ucho grochem.

- Chyba wydajesz mi się interesujący - wyjaśnił Glurk.

- Kto to jest o n a? - Pismire też był zainteresowany.

- Potem - zbliżył go Glurk, czując coś na kształt cichej satysfakcji: całe życie to Pismire wszystko wiedział. Miła była taka odmiana.

W trakcie tej wymiany poglądów wyjechali przez drzwi stajni - a raczej z drzwiami - i Wielgozór zatrabil. Na ten znak całe stado ruszyło galopem, dzięki czemu czwórka pasażerów zrozumiała, co może czuć groch potrząsany w garnku. Na szczęście ich garnek był wyscielony. Przy jednym z podskoków Pismire dostrzegł zbliżający się od tyłu oddział kawalerii. Wielgozór też musiał ich dostrzec, ryknął bowiem jak przechodzący mutacje puzon. Piec ostatnich pone'ów zawróciło jak na paradzie i ruszyło prosto na poscig.

Do mouli za późno dotarło, że to, co gonia, nie przypomina stada głupich zwierząt...

- Przeszły po nich - zameldował Pismire.

- Chciales powiedzieć „przez nich” - poprawił go Brocando.

- Co chciałem, to powiedziałem. Jak się idzie od góry, to „po nich”!

- Nie lubią mouli - wyjaśnił Glurk. - Nie lubią też ostrych przedmiotów, a moule nie dość, że są nieciekawe, to w dodatku lubią ostre przedmioty.

Pod nimi widac było barbakan, przed którym klebił się mieszany tłum mouli i Vortgornów.

- Wystarczy, że opuszcza platforme i mają nas! - jeknął Pismire.

- Nie opuszcza! - uspokoił go Glurk. - On się nie ruszy.

Faktycznie - z tej strony barbakanu widac było potężną konstrukcję, przypominającą nieco koło mlynskie, wewnątrz której znajdował się pone. By opuścić lub podnieść platformę, musiał iść do przodu lub do tyłu. A on stał jak posąg, mimo desperackich prób grupy mouli. Do przekonywania używali batów i dragów, ale pone był odporny na te argumenty. Widząc zbliżających się pobratymców, zatrabiał, ale ani drgnął.

Wielgozór odtrabiał, trzy stworzenia ruszyły z kopyta w stronę kola, a dwa inne w stronę klatki, w której trzymano innego pone'a. Moule rozprysnęły się na wszystkie strony, ale nie dość szybko - większość stojąca pone'om na drodze z trójwymiarowych zrobiła się dwuwymiarowa. Solidnymi kopnięciami i silnymi szczekami w mgnienie zgruchotały obie konstrukcje, uwalniając ziomek. Ten od kolowrotu zatupał, rozplaszczając najbardziej natretne moule, i wszystkie pone'y dołączyły do kierującego się ku bramie stada.

- Platforma nas wszystkich nie utrzyma! - zaczął desperować Pismire.

- Zobaczmy - Glurk był dobrej myśli.

Ciekawe, że traktowanie, jak zauważył Pismire, było wybiórcze - podlegały mu moule, nie podlegali Vortgornowie. Najwyraźniej wciąż byli dla pone'ów interesujący. Było to przedostatnie, co Pismire zauważył. Ostatnim było przejście przez kratę, czyli zniszczenie kraty. Potem skulił się na dnie siodła, nie chcąc widzieć swego nieuchronnego końca, był bowiem pewien, że platforma może i utrzyma ich wszystkich, ale z pewnością rozbija się przy uderzeniu o Dywan. Gdy pone'y wkroczyły na platformę, wszyscy poza Glurkiem zrobili to samo. Jazda w dół przy takim obciążeniu nie mogła trwać długo.

I nie trwała.

Ale tylko Glurk miał okazję obserwować, jak oprócz Wielgozora pozostałe olbrzymy kolejno zeskakują z platformy, machając skrzydłami jak oszalałe. Skrzydelka były zbyt małe, aby pone'y mogły dzięki nim latać, ale wystarczające, by pozwolić im powoli wylądować wśród włosów. Dzięki temu platforma lupnęła o ziemię z tylko jednym pone'em na pokładzie, który spokojnie z niej zszedł. Notabene Wielgozór znalazł się na ziemi wcześniej niż pozostałe, które dopiero teraz sypnęły się z nieba niczym grad przerosniętych ulegalek. Były lżejsze, niż wyglądały, toteż nic dziwnego, że nie lubiły ostrych przedmiotów: zaden balon by nie lubił.

Cała skulona na dnie siodła trójka spojrzała z wyrzutem na Glurka.

- Wiedziałeś, że nic się nam nie stanie! - oznajmił z uraza Pismire, gdy odzyskał głos, co trochę potrwało.

- Miałem nadzieję - poprawił go Glurk. - Culaina mówiła, że tak, ale nie do końca w to wierzyłem.

- Kto to jest Culaina? - zazałał odpowiedzi Pismire. - Ona to o n a?

- Ona to o n a - przyznał Glurk. - A poza tym trudno ją opisać... tak myślę, że to rodzaj Wighta.

- Ze co proszę? - zdziwił się Pismire.

- Musisz ja o to sam zapytać, bo dla mnie to jest za madre - wyznał Glurk. - I tak zreszta teraz jedziemy do niej.

Wielgozór machnął ogonem i ruszył przed siebie.

- Zaraz! - wtracił Bane. - Musimy jechać do Ware!

- Chciales powiedzieć: „do Karkolomu”! - poprawił go Brocando.

- Ware jest tylko o kilka dni drogi stąd! Musimy ich ostrzec!

- Moga już wiedzieć - mruknął Pismire bez zbytej nadziei w głosie.

- Nie wiedza - poinformował go Glurk.

- Skąd wiesz?

- Bo tylko my znamy zamiary mouli i wiemy, ilu ich tu jest. Musimy się udać do Ware i ostrzec, kogo trzeba, ale najpierw musimy się spotkać z Culaina i opowiedzieć jej wszystko.

- Dlaczegoż to? - zdziwił się Pismire.

- Żeby to zapamiętała i powiedziała mi o wszystkim dwa dni temu. - Glurk podrapał się w ciemie. - Kiedy się spotkaliśmy.

Brocando miał już na koncu języka pytanie, ale zamilczał, widząc pioruny w oczach Pismire'a.

- Wightowie pamiętają przeszłość i przyszłość, to prawda - przyznał cierpliwie Pismire. - Ale widzisz, Glurk, oni nigdy niczego nikomu nie mówią!

- Ta mówi - upierał się Glurk i dodał poirytowany: - Przestaniecie się tak na mnie gapić! Myślicie, że sam bym to wszystko wymyślił?!

Rozdział trzynasty

- Podążanie waszym tropem to była łatwizna - wyjaśnił Glurk. - Dwadzieścia snargów zostawia ślad, którym ślepy mógłby biec. No i porusza się wolniej niż jeden: najbardziej musiałem uważać, żeby na was przypadkiem nie wpasć. A jak wyszło, że kierujecie się prosto na południe, postanowiłem was wyprzedzić i sprawdzić, dokąd to jedziecie. Jak się snarga przekona, to jest całkiem posłusznym wierzchowcem, wiecie? Swojego przekonałem drugiego dnia, jak mu wybilem dwa kły. No i tak spotkałem Culaine, a reszta to już sami wiecie.

Zapadła cisza, która w koncu przerwał Pismire:

- Obawiam się, że ktoś coś opuścił: albo my, słuchając, albo ty, opowiadając. Bardziej prawdopodobne jest to drugie.

Glurk zmarszczył czoło i po dłuższej chwili dodał:

- Zobaczycie, gdzie mieszka... myślę, że jak nie chce, to ludzie tego nie widzą... Ona mi powiedziała, gdzie mam jechać, jak dostać się na górę, zdobyć zbroję i całą resztę... i o tym, że ponoć umie latać, ale tylko w dół... no, wszystko.

- A skąd ona to wiedziała? - Brocando był zadany wiedzy.

- Bo jej to opowiedzieliśmy potem, to jest opowiemy teraz... cholera, przestań mi zadawać takie pytania. Co ja jestem, filozof czy co?! - zirytował się Glurk.

- Wightowie pamiętają do przodu i do tyłu - wtracił Bane.

- Ale nie wolno im o tym mówić! - zawołał Pismire. - W przeciwnym razie mogą się zacząć dziać straszne rzeczy!

- Ja tam nic nie wiem - w głosie Glurka dzwiała czysta niewiara. - Uwolnienie was to żadna tam straszna rzecz. Chyba że myślicie inaczej, to przepraszam. Jak bym wiedział, to bym nie uwalniał!

- Nie myślisz chyba, że w to uwierzę! - odparł Pismire. - Dobrze, że nas uwolnili. Tyle że teraz powinniśmy wrócić do swoich.

- Moi poddani też nas potrzebują! - dodał Brocando,

- Zaraz! - sprzeciwił się Glurk. - Dwie setki Munrungów, trzy tysiące Zwinnów, bab i dzieci nie licząc, i to w jednej kupie i uzbrojonych. To oni wszyscy nas potrzebują?! Raczej my ich, jeśli już ktoś kogoś potrzebuje. Mamy paru niegłupich w szczerpie i Snibril jest z nimi... bo jest, nie?

- Hmm... cóż... mamy taką nadzieję - wydukał Brocando.

- No to najpierw Culaina, a potem można ich poszukać.

- Przecież ci powiedziała, wszystko się udało, możemy jej więc podziękować przy innej okazji... - zaczął Brocando.

- Nie! - przerwał mu zdecydowanie Pismire. - Jeśli to wszystko prawda, a Glurk z zasady nie kłamie, to gdybyśmy nie poszli i nie opowiedzieli jej, co nam się przytrafiło, może się stać wszystko. Nie wiem: Dywan sparcieje, nici się pozwijają w klebki... coś gorszego niż cokolwiek, co się kiedykolwiek, gdziekolwiek przytrafiło.

- A konkretniej? - Brocando łatwo nie rezygnował.

- Gorsze niż to, co najgorszego możesz sobie wyobrazić - przelożył Bane.

Brocando umilkł. Pozostali też.

* * *

Przez większość dnia byli w drodze, toteż zdrzemnęli się w siodle. Gdy się obudzili, było popołudnie, a włosy miały zielony kolor. Porosnięte też były jakimś zielonkawym powojem, kwitnącym ponad ich głowami dużymi kwiatami o barwach we wszystkich odcieniach zieleni - od oliwkowego do prawie złotego.

- Bardzo interesujące - odezwał się Pismire i umilkł nagle, gdy spojrzał na drugą stronę przecinki. - A takie coś nieczęsto się widuje! - dodał po chwili.

Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku, wierzchowce też.

Stał tam sobie spokojnie dzik, przyglądając im się podejrzliwie. Widząc, że stał się nagle przedmiotem powszechnego zainteresowania, wycofał się wstydliwie i zniknął między włosami.

- Dzik - stwierdził Bane. - I co z tego?

- Brązowy dzik - poprawił Pismire. - A powinien być zielony. Wszystkie zwierzęta przyjmują barwę włosów, w których żyją. Nazywa się to kamuflaż ochronny.

- Może jest daltonista - mruknął Bane. - A może się tu po prostu zaszwendal.

- Nie. - Glurk się uśmiechnął. - Coś go tu sprowadziło, a co, to za chwile zobaczycie. Jesteśmy prawie na miejscu.

Pone' y ruszyły w drogę, roztracając włosy. Przed olbrzymimi zwierzętami pryskało na boki wszystko, co żyło. Stworzenia w rozmaitych barwach - we wszystkich, jakie można było spotkać na Dywanie.

A potem włosy się skończyły...

I znaleźli się na dużej polanie, pośrodku której stała mieniaca się wszystkimi barwami teczy, przejrzysta jak woda struktura.

Był to cały, nie pokruszony kryształ cukru, górujący nad okolicą niczym królewski pałac nad Karkolomem. Otaczały go najrozmaitsze stworzenia zamieszkujące Dywan (we wszystkich kolorach, naturalnie). Króliki, stada dzików, długoszyje sorathy, cierpliwe i tłuste trompy, skoczne kozły ze spiralnie kreconymi rogami, a także stworzenia, których nawet Pismire nie był w stanie poznać: pancerne coś z masą kolców wzdłuż kregosłupa czy inne coś - długie i czarne, wyglądające, jakby składało się z samych nóg. Wszystkie zajmowały się jednym: lizaniem kryształu

- Piękne - westchnął Brocando.

Bane i pozostali gapili się na tą scenę jak osłupiali. Dopiero po dłuższym czasie zsiadli i powoli podeszli do lśniacej powierzchni. Lizacy nie zwrócili na nich większej uwagi. Prawde mówiąc, żadnej uwagi.

Glurk odłupał kawałek nożem i skosztował.

- Spróbuj - podał kawałek Bane'owi.

- Cukier - przyznał poczestowany. - Do tej pory próbowałem tego tylko raz. W pobliżu Ziemi Ognistej też jest kryształ: cesarz od czasu do czasu z niego korzysta.

- Smakuje trochę jak miód... - ocenił Brocando. - Jak się tu znalazł?

- Tak samo jak piasek, kamienie, sól czy popiół. Spadł z nieba - odparł Pismire. - Dokładniej nie wiadomo.

Odruchowo wszyscy spojrzeli w górę.

- Obiad nam nie spadnie - stwierdził realistycznie Brocando - a tu do wyboru, do koloru. Panowie życzą sobie pieczonego trompa czy smazonego gromera? Ten cukier musiał sciągnąć tu zwierzyne z cwierci Dywanu. I ogłupić ją: zupełnie się nawzajem ignorują. Szkoda... jakos głupio zabijać obiad, który cie ignoruje.

- Więc schowaj miecz i przestan się wygłupiać - polecił nowy głos.

Pismire omal się nie udławił cukrem.

Nieopodal, w cieniu kryształu, stała wysoka postać o szczupłej twarzy Wighta, ale otoczonej masą białych włosów opadających na ramiona. Ponieważ ubrana była w białą, powłóczytą szatę, całość wyglądała z lekka niesamowicie. Podkreślały to jeszcze zmiany zachodzące na jej twarzy. Przesuwały się przez nią cienie, a każdy powodował zmianę. Raz wydawała się młoda, w następnej sekundzie stara, a w kolejnej w średnim wieku. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jest to ona, nie on. Jedną ręką trzymała obrozę białego snarga, który przyglądał się czterem gościom z rzeczowym zainteresowaniem kogoś, kto ma ochotę na obiad, na wszelki jednak wypadek macha ogonem.

- Tego... - odezwał się Glurk. - To jest Culaina.

Kobieta bez słowa podeszła do Wielgozora, który spojrzawszy na nią i powoli opadł na kolana, kładąc łeb na ziemi. Culaina uśmiechnęła się i jakos tak cała polana nagle wyjaśniała.

- A więc jesteście! Musicie mi opowiedzieć, co wam się przydarzyło, bo to pamiętam. Ale najpierw czas na posiłek: chodźcie za mną.

Po przeciwnej stronie polany znajdował się jej dom, o ile można tak nazwać dach na czterech palach. Nad nim wisiało spore gniazdo hymetorów, a wokół pasły się spokojnie różnorakie zwierzęta. Schronienie nie miało ani podłogi, ani paleniska. Na widok obcych z gniazda wysypał się rój hymetorów, brzęcząc wojowniczo. Culaina gwizdnęła ostro i buczenie ustalo, a wataha przemknęła nad ich głowami, zawróciła i spokojnie wróciła do gniazda, chowając w locie zadla.

- Odesłała je... - Brocando był pod wrażeniem. - Tak po prostu!

Pod dachem czekała sterta owoców i naczynie wypełnione zielonkawym płynem.

- To znam - ucieszył się Glurk. - To sok z zielonych włosów, dobre.

Usiedli, przy czym Pismire krecił się nieco nerwowo.

- Powiedz, co musisz. - Culaina uśmiechnęła się do niego. - Pamiętam, że powiedziałeś.

- Wightowie nigdy nie mówią ludziom o przyszłości! - wybuchnął Pismire. - Wszyscy to wiedzą! Znajomość przyszłości jest zbyt niebezpieczna! To...

- Jak pamiętam, tu ci przerwałam. Tak, znam te zasady, ale to tylko zasady. Widzisz, ja nie jestem normalnym Wightem. Słyszałeś, jak wiem, o thunorgach?

- Pewnie, że słyszałem: tak nazywa się Wighta, który pamięta... o, cholera! Myślałem, że to tylko bajki, a thunorgowie to potwory.

- To nie tylko bajka, poza tym bajki też bywają prawdziwe. Teraz rozumiesz, dlaczego mnie nie dotyczy zasady. Widzisz, miasta nie bardzo mnie wstrząsają, ale żeby je tak od razu niszczyć... żeby zniszczyć Dywan, szukając za wszelką cenę broni z metalu...? - Potrząsnęła głową. - Tak nie powinno być. Jutro wyruszyście do Ware. Moule wyrusza później, więc powinniście mieć dość czasu. Będzie bitwa, którą musicie wygrać. Nie powiem wam jak, ale musicie. Noc spędzicie tutaj. Bez obawy: tu przychodzą tylko ci, których oczekuje.

- Zaraz! - wtrącił się Bane. - Muszę wiedzieć, dlaczego nam pomagasz. Wy pamiętacie wszystko, co było i co będzie, i nigdy innym o tym nie mówicie. Ty mówisz; dlaczego? Słuchasz mnie w ogóle?

- Owszem, staram się przypomnieć sobie, co ci odpowiedziałam... a, tak! Widzisz, dość trudno to wytłumaczyć w kilku słowach... Pismire może to wam lepiej wytłumaczyć, gdybyście chcieli... Niezmiernie rzadko rodzi się Wight inny od pozostałych tak bardzo, jak oni różnią się od was. Taki Wight nazywa się thunorg i pamięta wszystko. Ja takim jestem.

- Wszyscy Wightowie pamiętają wszystko - sapnął wyglupiony Bane.

- Zwykli Wightowie pamiętają tylko to, co się wydarzyło. Ja pamiętam także to, co się mogło wydarzyć, na przykład co się stanie, jeśli przegracie, bo na każdą możliwość, która zaszła, są miliony, które się nie spełniły, a ja znam je wszystkie. Pamiętam, jak wygraliscie, i pamiętam, jak wygrały moule: dla mnie obie te ewentualności są równie prawdopodobne i równie realne. Wightowie pamiętają i znają jedynie pojedynczą historię, a ja pamiętam wszystkie, także te, które nigdy nie weszły w skład Splotu. Żyje w nich wszystkich i każda jest rzeczywistością z mojego punktu widzenia.

- Dlaczego? - zdziwił się Bane.

- Bo inaczej żadna z nich nie mogłaby się wydarzyć - odparła cicho, odchodząc w cień. - Nic nie musi się wydarzyć. Historia nie jest niczym stałym, historia zależy od tych, którzy ją tworzą, od żyjących. Czasami jedna osoba czy jedna decyzja ją zmienia. Nie ma nieistotnych zmian ani zdarzeń, których nie da się zmienić.

Głos ucichł.

Po chwili Bane wstał, rozejrzał się po okolicy i stwierdził:

- Odeszła.

- Watpie, by tak naprawdę kiedykolwiek w pełni przebywała w jednym miejscu - mruknął Pismire. - Co robimy?

- Jemy i spimy - oznajmił Glurk. - Przynajmniej ja jem i spie. Nie wiem jak dla was, ale dla mnie to był

pracowity dzionek.

* * *

Bane budził się kilka razy. Zdawało mu się, że wiatr niesie jakieś lomoty i krzyki, lecz gdy się wsłuchiwał, cichły.

* * *

Pismire snił o włosach gnących się, jakby wiała wichura, i o lśniących wśród nich tysiącach oczu. I o Culainie idącej przez noc z rozwianym włosiem, będącej równocześnie wszędzie i nigdzie.

* * *

Glurk snił o smukłych postaciach wędrujących przez Dywan. Gdy szły, Dywan wyglądał, jakby przechodziła przez niego fala, a w Podospodziui budziły się potwory. Dotarł aż do Thimbrule leżącego za Stolonoga, gdzie Wightowie topili lakier. Poruszał się niby duch, przemykając wśród włosów, aż dotarł na Nieskończoną Płaskość u kranca Dywanu. Nie było na niej ani jednego włosa, a jedynym, co się po podłodze poruszało, były gnane wiatrem kleby kurzu. Przy ostatnim włosie Dywanu stała Culaina w powiewającej na wietrze szacie.

Glurk ocknął się nagle i siadł.

Był rano. Włosy wokół polany lśniły niby brazy w jasnym świetle. Brocando spał, pochrapując, Pismire i Bane zaś gawędzili półgłosem.

- To niezupełnie były sny, choć ty twierdzisz, że w sumie nic nie widziałeś, tylko zdawało ci się, że słyszysz bitwę - tłumaczył Pismire. - Odebraliśmy echo tego, co ona przeżywa w różnych rzeczywistościach...

- Widziałem ją, jak wędruje przez Dywan - oznajmił Glurk. - I chyba widziałem Snibrila...

- A ja widziałem Ziemię Ognistą i ogień na niebie - dodał Pismire.

- A ja nic nie widziałem - warknął Bane.

Jego warknięcie najwyraźniej rozbudziło Brocanda, który siadł, przeciągnął się i ziewnął, aż mu prawie szczeka wyskoczyła z zawiasów.

- A ja byłem w Wysoczyźnie - oświadczył, gdy skończył. - W takiej sklepionej jaskini, w której stał tron z brazy. Siedział na nim Vortgorn z żółtą brodą i w koronie. Były tam też dwa moule: Gormaleesh i jakiś inny. Śmiali się, potem zaś ten drugi zabrał żółtobrodemu koronę, a ten nic: nadal siedział, podpierając ręką brodę, i nawet nie pisnął.

- To był pewnie Stagbat, ich król - odezwał się Glurk. - Słyszałem rozmowę strażników. Moule

pojawiły się dzień po Tapnieciu; gadały, że to nowa, tajna bron Dumii, i zaproponowały sojusz. Teraz rzecz jasna rządzi cała Wysoczyzna.

- Nad tapnieciem nie da się zapanować! - parsknął Pismire. - To zjawisko naturalne! Żywiol!

Po gospodyni nie było śladu, a stwierdzenie Pismire'a zakończyło dyskusję. Za to Wielgozór wraz z resztą ponia'ów poszli się w pobliżu.

- Myśla, że będzie interesująco - odezwał się Glurk. - Jak żyli z Vortgornami, to ludzie czytali im opowiadania i inne takie. Musi być ciężko, jak ma się rozum, a nie ma się rak.

- Ruszamy do Ware. - Bane był zdecydowany. - Nie mamy wyboru.

- Mamy - sprzeciwił się Pismire - tyle że dobrowolnie wybieramy jazdę do Ware.

- A niech to, zapowiada się ciekawie! - mruknął ponuro Glurk.

- Ona gdzieś tu jest... - Bane rozejrzał się po polanie.

- Wszędzie - poprawił go Pismire. - Wszędzie, gdzie historia zależy od czyjegos wyboru.

- Jak to jest wiedzieć wszystko, co może się wydarzyć? - spytał z rozmarzeniem Bane.

- Strasznie! - sprowadził go na ziemię Pismire. - A teraz zbieramy się do drogi!

Rozdział czternasty

Gdy ustał huragan, Snibril zarządził poszukiwania. Ruiny palacu przetrzasniono dokładnie, a nawet zapuszczono się do Podspodzia. Mimo że ekipa ratunkowa ochrypla od ciągłego nawoływania, nie znaleziono nikogo ani niczego. Jak zauważyłby Pismire, był to lepszy wynik niż znalezienie szczątków, ale i tak wszystkich przygnebił.

Potem odkryto ślady na oddalonej polance. Dużo śladów, głównie snargów, ale nie tylko. Był tam też ktoś, kto śledził całą resztę, bo długo leżał w krzakach, ale wszystko pokrywał kurz straszony przez huragan i nie sposób było poznać, kto był kto. Ślady w każdym razie prowadziły prosto na południe.

Munrungowie pomogli Zwinnom w odbudowie murów i miasta, które stosunkowo niewiele ucierpiało, mimo że skała, na której stało, nieco się przekrzywiła. Przejście do Podspodzia zostało otwarte na wypadek kolejnego Tapniecia czy innej kleski żywiołowej. Pomyśl, sam w sobie nieglupi, zdecydowanie nie podobał się Snibrilowi: zejście do Podspodzia było zbyt wygodne. I na dłuższą metę mogło doprowadzić do tego, że któregoś razu już nie wróca i zapomna, iż są ludźmi.

Zwinnowie uważali, że nie ma dla nich zbyt dużego przeciwnika. Ale nie widzieli Tapniecia. Dumii zaś uważali, że jeśli przeciwnik jest za duży, to należy poszukać mniejszego. Jak jednak twierdził Pismire, Tapniecia nie da się powstrzymać. Jedyne, co pozostało, to przestać się go bać. Dojście do tych wniosków spowodowało, że Snibril wieczorem poinformował współplemienców:

- Jade do Ware!

Współplemięcy byli wstrząśnieni. Co prawda nominalnie wodzem nadal był Glurk, ale jego obowiązki pełnił, i to całkiem dobrze, Snibril. Gdyby się okazało, że Glurk jest martwy (a tak większość podejrzewała), to Snibril zostałby po nim wodzem, jako że dzieciaki Glurka były za smarkate, żeby móc nawet marzyć o tej robocie. Perspektywa utraty kolejnego wodza nie napawała Munrungów otucha, toteż ich reakcja była jak najbardziej zrozumiała.

- Nie możesz nas zostawić! - zaczął mediacje Dodor Plint, wioskowy szewc. - Jesteś wodzem. P.o., ale zawsze.

- Ware jest ważne - odparł Snibril. - Gdyby nie Imperium, nadal bylibyśmy prostymi myśliwymi.

- Przecież jesteśmy prostymi myśliwymi, nie? - zdziwił się Plint.

- Ale tego świadomymi! Gdyby nie to, latałbyś po włosach i nie wiedział, kim jesteś. Poza tym staliśmy się nieco bardziej skomplikowani, czyli wyrafinowani.

- Dobrze gada! - poparł Snibrila Crooly Wulf, prawie tak stary jak Pismire. - Tera, panie, rzadko kto wali drugiego w łeb, jak go przekonać niemożesz. Tera, panie, to winy wrzasku, znaczy się dyskursji, niż jak zębem był młody. Wtedy to, panie, w łeb i łódź raz widac było, którego ma rację.

- To wcale nie znaczy, że jest lepiej - sprzeciwił się Plint.

- Pewno jest. - Crooly Wulf poskrobał się po ciemieniu. - Ludzie tera, panie, większe rosną i mniej się iskają... nie wyją, ino mówią... no i łeb, panie, rządzi boli. Ja tam się myślę, że tera lepi!

- Taaak... - Stary Wulf, mimo że bez zajęcia, miał większy autorytet niż wioskowy szewc, więc Plint nie bardzo mógł z nim dyskutować. - A Zwinnowie nie mają nic wspólnego z imperium i też sobie nieźle radzą!

- Mają, mają - osadził Plinta Snibril. - Od dawna. - Od dawna walczy z Dumii, a to znaczy, że mają z nimi dużo do czynienia. Nowe pomysły, nowe techniki. Ot, choćby to, że nie każdego obcego należy od ręki zabijać. To też jest coraz większe skomplikowanie.

- Racja - przyznał jeden ze Zwinnów. - Królów dawniej zrzucali ludzi ze skały.

- Jego królewska moc dalej zrzuca - sprzeciwił się inny.

- Ale teraz się z tego nie śmieje i mówi, że to dla ich własnego dobra!

- Właśnie - podchwycił Snibril. - Wpływ Dumii jak nic. Jade na południe, może odnajdzie pozostałych. Może Imperium udzieli nam pomocy.

- Pięknie, ale jesteś naszym przywódcą... - Plint znowu zaczął swoje.

- No to, do cholery, bede przewodzil! - przerwal mu Snibril. - Kto idzie ze mna?

Wszyscy mlodsi Munrungowie uniesli rece.

- A przeciwników bedzie duzo wiecej? - zainteresowal sie jeden z poddanych Brocanda.

- Bardzo mozliwe - przyznal Snibril.

- A bedziemy sie bili do smierci? - zainteresowal sie inny.

- Naszej czy ich? - spytal dla odmiany Snibril.

- A to wazne?

- Do ich smierci jest przyjemniej - zapewnil go Snibril.

- Skoro tak twierdzisz... - Zwinn porozumial sie wzrokiem z pozostalymi i oswiadczył: - W takim razie idziemy z toba!

W koncu wyszlo na to, ze setka Munrungów i cztery i pół setki Zwinnów zglosilo sie na ochotnika. W Karkolomie ich rodziny byly tak bezpieczne jak tylko to bylo mozliwe, mimo to czesc musiala zostac ze starszymi wojownikami. Na wszelki wypadek.

Ponad piec setek zbrojnych przeciwko nieznaney liczbie przeciwników to nie bylo wiele, ale z drugiej strony, skoro nie bylo wiadomo, ilu bedzie wrogów, liczba ta mogla sie okazac wystarczajaca. Poza tym Snibril przekonal sie do jednej z zasad Zwinnów: „Zawsze wybieraj wiekszego przeciwnika - latwiej go trafic”.

Ware bylo naturalnym celem, bo wlasnie tam ludzie pierwszy raz zrozumieli, ze lepiej sie z innymi pokłócić, zamiast dac mu w leb, bo potem leb czlowieka nie boli i tak jest lepiej. To sie nazywa postep.

Rozdzial pietnasty

Dwa dni później przy czerwonej kepie wlosów rosnacej na pograniczu terenu porosnietego przez niebieskie wlosy siedmioro Wightów walczylo z moułami. Odkad siegala ludzka pamiec, nikt nigdy nie zaatakowal Wighta, totez Wightowie nie nosili broni.

Co nie znaczy, ze byli bezbronni.

Oddzial mouli byl liczny i mial sprytnego przywódcę, który chcial zdobyc wiecej broni. Wightowie wyrabiali i sprzedawali bron. I wydawali sie latwa zdobycza.

Dowódca mouli zaczynał dochodzić do wniosku, że nie była to najmądrzejsza decyzja jego życia. Co prawda akurat na wozie nie było broni, ale były narzędzia. A solidny młotek na długim trzonku w rękach wprawnego fachowca stanowi doskonałą bronię. Wightowie bez dwóch zdań byli wprawnymi fachowcami. Stali na wozie wokół kotła, mając osłonięte plecy, i używali młotów oraz płonących kawałków włosów w charakterze włóczni, tak jakby nic innego w życiu nie robili.

Ale było ich za mało.

I wiedzieli, że zginą.

Ktoś jeszcze to wiedział i obserwował bitwę.

Culaina i biały snarg oglądali starcie z glebi włosów. Praktycznie niemożliwe jest opisanie, jak faktycznie widzą thunorgowie. To tak, jakby gadać z głupim o koronkach, kiedy on uważa, że to same dziury. Albo tłumaczyć rybce co to gwiazdy. Wielokrotnie widziała te walki - prawdę mówiąc, tyle razy, że straciła rachubę. I za każdym razem moule wygrywały. No i oglądała to niejako symultanicznie. Jest to ogromnie uproszczony opis, ale z braku lepszego musi wystarczyć.

Była tylko jedna bitwa, która miała inne zakończenie, i na niej właśnie się skoncentrowała...

Naraz włosy otaczające pole bitwy eksplodowały i moule nagle stwierdziły, że zostały wzięte w dwa ognie. Przez dwa dni drogi Munrungowie i Zwinnowie wynaleźli nowy, niekonwencjonalny sposób walki: wyższy Munrung stawał za niższym Zwinnem, dzięki czemu obaj mieli ten sam zasięg, a przeciwnik zmuszony do walki na dwóch poziomach nie miał żadnej szansy.

Nie wspominając już o tym, że tym razem dla odmiany moule nie miały liczebnej przewagi. Nic więc dziwnego, że bitwa była tyleż krótka co krwawa.

Po mniej niż minucie, mniej niż pół tuzina mouli zdołało przysnąć w zarośla. Pognęło za nimi z pół setki mieszanej pogoni, a na pobojuwisku zapanowała cisza i bezruch.

Mistrz Athan - awansował tymczasem - rozejrzawszy się zaskoczony i z przerażeniem spojrzał na białego konia delikatnie stąpającego między trupami. A raczej na siedzącą na nim postać.

- Jak to możliwe?! - jęknął. - Powinnismy wszyscy umrzeć!

- A chcecie? - spytał rzeczowo Snibril.

- Chcecie? Co to ma do rzeczy?! - Athan opuścił młot.

Gdzieś z włosów coś zawył i nagle umilkło - najwyraźniej dorwano kolejnego moula.

- Zmieniście rzeczywistość i teraz zaczyna się dziać straszne rzeczy... - zaczął płaczliwie Athan.

- Nie muszą - przerwał mu spokojnie Snibril. - Nic nie musi się wydarzyć. Można pozwolić, by się wydarzyło, ale to nie to samo. Udajemy się do Ware, jak widzisz, są wśród nas Munrungowie, Zwinnowie i inni uchodzący spotkani po drodze. Przyłączcie się do nas.

- My?! - szok walczył o lepsze ze złością. - Mamy walczyć?!

- Właśnie skończyliście i całkiem niezłe wam szło.

- Ale wiedzieliśmy, że przegramy!

- A jakbyście tak walczyli z nadzieją, że wygracie, to by wam gorzej szło? - zdziwił się Snibril.

Zbliżyło się kilku Munrungów, niosąc Wighta.

- Geridan i jeden ze Zwinnów nie żyją - zameldowali. - Jeden Wight też, a ten tu ledwie, ale jeszcze dycha.

- To Devna, moja... córka - wykrztusił Athan. - Powinna być martwa... musi być martwa.

- Możemy ją opatrzeć - zaproponował Snibril - albo pochować od reki, jeśli tego pragniesz...

Słyszycy to spojrzeli wyczekująco na Athana, który niezdrowo pobladał.

- Nie - szepnął.

- Sądzę, że „nie” dotyczyło pochówku - stwierdził Snibril - Doskonale. Jak opatrzymy rannych, ruszacie z nami.

- Alez... nie pamiętam... nie wiem, co się teraz wydarzy... Nie pamiętam!

- Przyłączycie się do nas i udacie się z nami do Ware!

- Nie rozumiesz: nie pamiętam, co się będzie działo! - zdenerwował się Wight.

- Dołączycie do nas - powtórzył spokojnie Snibril.

Athan nagle się uspokoił - ba, zaczął wyglądać na uszczesliwionego niczym brzdąc po otrzymaniu nowej zabawki.

- Naprawdę? - spytał na wszelki wypadek.

- A dlaczego nie? To lepsze niż być martwym.

- Ale... tak myślał thunorgowie! Przyszłość to Przyszłość, nie... a może... Przyszłość może być różna?

- Do wyboru do koloru - zapewnił Snibril. - Wybierz sobie...

- A przeznaczenie...

- To coś, co zależy od twojego postępowania. Właśnie coraz bardziej się w tym upewniam. - Snibril odwrócił się, słysząc cichutki szmer, i przez moment widział błądząca postać wśród włosów.

Ale musiało to być złudzenie, gdyż postać, po pierwsze, uśmiechała się, a po drugie zniknęła, gdy wydawało mu się, że ją dostrzegła. Postacie mogą zachowywać się różnie, ale tej towarzyszył biały snarg, który też zniknął. Po pierwsze: nie ma białych snargów, a po drugie: jeśli nawet są, to z pewnością nie znikają.

* * *

Geridana, Wighta, i Zwinna Parleona, syna Leonda, pochowano wśród włośów. Potem Wightowie odbyli zazarta, acz cicha dyskusje we własnym gronie, a na koniec odlali z lakieru bron, która obdzielili co gorzej uzbrojonych. Wóz z kotłem został na pobojuwisku, a Wightowie ruszyli ze Snibrilem. Nie pamiętając o przyszłości i nie wiedząc, jak dotychczas, co zrobili, poszli za kims, kto zdecydowanie podjął za nich decyzje. Dla nie przyzwyczajonych zawsze najtrudniejsze jest podjęcie decyzji, a już najgorzej jest zrobić to po raz pierwszy. No cóż, byli żywi, a Historie tworzą z zasady tylko żywi.

Rozdział szesnasty

Szlak wiał się wokół kep włośów. Od czasu do czasu przegradzał go zwałony, potężny pien, toteż trzeba go było obchodzić przez grube pokłady kurzu i gęste zarośla, dobitnie świadczące, iż od dawna był to rzadko uczeszczany rejon Dywanu. Gdy dotarli do pomarańczowych włośów, Snibrilowi zaswistało coś koło głowy i w pobliżu włos wbiła się włócznia. W górze przemknęło coś z szelestem i mignął mu ktoś czlekoopodobny, ale nie zdążył się przyjrzeć dokładniej, bo Zwinnowie puscili za nim ulewę strzał, która przesłoniła widok. Być może miało to coś wspólnego z tym, że parę godzin później natknęli się na miasto.

Nie było go na żadnych mapach Dywanu, a to, że są w mieście, uswiadomili sobie, dopiero gdy doszli do pomnika, który - jak się potem okazało - stał w jego centrum. Przemiana metropolii w bujnie zarosnięte nieużytki była prawie kompletna. Cztery wyrzeźbione w drzewie postacie zwrócone do siebie plecami, sadząc po koronach, przedstawiały czterech różnych królów. Każdy wyciągnięta reka wskazywał jedną ze stron świata. Całość zaś obrosnięta była niebieskimi kwiatkami i stała w solidnej kepie zielska, w której były jakieś kudłate zyjatka. Inne, latające, ignorując poczwórny majestat, uwiły sobie w koronach i załamach ramion gniazda.

Gdy wiedziało się, czego szukać, można było dostrzec jeszcze, gdzie biegły ulice, a gdzie stały budowle zamienione przez czas i roślinność w porosnięte, niewysokie kupki gruzu.

- Znaćcie to miejsce? - spytał Snibril.

Nikt, nawet Athan, nigdy o nim nie słyszał.

- Nazwy się zapomina, ludzie odchodzą, drogi zarastają. Co zostaje, widac... - powiedział cicho Wight.

- Sadząc z wyglądu tych rzeźb, budowniczości sadzili, że miasto będzie trwało wiecznie - skomentował Snibril.

- Pomylili się - podsumował Athan.

A teraz ich nie ma albo niedobitki żyją wśród włosów, dziczejac powoli a systematycznie. Nie dość, że nikt nie wie, jak się nazywają, to nikt nawet nie pamięta, kim byli i czego dokonali. Wightowie zachowywali milczenie i nie było w tym nic dziwnego - nie znając przyszłości, musieli się czuć jak ślepcy...

* * *

Dwie godziny później dotarli do drogi cesarskiej. Biały szlak ułożony z rozszczepionych włosów ciągnął się prosto jak strzelik, a co kilkaset jardów na włosie wyryto dłoń z wyciągniętym paluchem. Wszystkie paluchy skierowane były w stronę Ware. Droga szła się znacznie szybciej, ale była poprzerywana tam, gdzie huragany związane z Tapnieciem zerwały jej nawierzchnię. W takich wypadkach obchodzili rozpadliny.

Przy jednym z takich obchodów niemal wpadli na legion, a raczej na to, co z niego zostało. Żołnierze siedzieli lub leżeli wśród włosów. Część spała, część opatrywała rany. Snibril widywał żołnierzy w Tregon Marus, ale zwykle pełnili jedynie służbę wartowniczą w galowych uniformach. Ci byli w mundurach połowych - podartych, przeponionych i pokrwawionych.

Widok Snibrila na Rolandzie nie zrobił na nich najmniejszego wrażenia, za to widok maszerujących za nim Zwinnów wywarł na tych, którzy nie spali, wrażenie zgoła piorunujące - zaczęli budzić kolegów i rozglądać się za bronią.

Zwinnowie przyglądali się im niczym głodne snargi kolacji, a ich ręce odruchowo spoczęły na mieczach.

- Tylko bez wyglupów! - warknął Snibril, obracając się w siodle. - Żadnych bijatyk!

- A czemu? - padło ponuro z szeregów. - To Dumii!

- Właśnie! Mamy przecież tłuc moule! - Podjechał do największej grupy żołnierzy i spytał: - Gdzie dowódca?

- Zabity.

Snibril zastanawiał się przez chwilę.

- Pewnie się zastanawiacie, cośmy za jedni... - zaczął.

- Niezbyt mnie to obchodzi - przerwał mu obojętnie żołnierz. - Za bardzo chce mi się spać.

- Bacność! - ryknął niespodziewanie, zwłaszcza dla samego siebie, Snibril.

Poskutkowało: wojak wyprezyl się w pozycji zasadniczej, podobnie jak pozostali.

- Teraz lepiej! - przyznał Snibril. - Gdzie najwyższy ranga oficer? Zaprowadzić!

W ostatniej chwili powstrzymał się przed dodaniem „proszę”. Tak jak mówił Pismire, wojsko przyzwyczajone było do słuchania rozkazów, nie do myślenia. Jak ktoś na żołnierza wrzeszczał, to pewnie miał do tego prawo, czyli należało go słuchać.

- Tego... oficerowie też zabici. Najstarszy ranga to sierżant Careus. Jak jeszcze żyje, znaczy się, bo został ranny.

- Prowadz do niego! Natychmiast!

Wojak spojrzal na Snibrila i widac bylo, ze usilnie próbuje zaprzac mózg do pracy, ale nie ruszył się z miejsca.

- Powiedziałem: zaprowadzić do sierżanta! - ryknął Snibril.

- Tak jest! - Mózg widac zaskoczył, bo żołnierz zsalutował, zrobił w tył zwrot i pomaszerował jak na paradzie.

Dotarli do siedzącego na zwalonym włosie wojaka w średnim wieku, masywnej postury, bladego i z ręką na temblaku. Ani postawa żołnierza, ani widok Snibrila niespecjalnie wzruszyły siedzącego.

- Sierżant Careus z XV Legionu - przedstawił się - a raczej z tego, co zostało z Legionu. Staliśmy w Ultima Marus, gdy przyszedł rozkaz natychmiastowego powrotu do Ware. Wyruszyliśmy natychmiast, ale najpierw...

- ...trafiliscie na huragan - dodał Snibril, zsiadając z konia.

- ...a potem cały czas...

- ...atakowały was moule na snargach.

- Skąd wiesz? - To wreszcie zainteresowało podoficera.

- Niezłe zgaduje. Ilu was zostało?

- Ze trzy setki całych i ze cztery rannych.

- Znam bezpieczne miasto, gdzie ranni mieliby dobrą opiekę. Leży o dwa dni nieforsownego marszu i z niewielką eskortą powinni tam dotrzeć bez problemów.

- Zbyt wielu trzeba by przydzielić do osłony - sierżant się skrzywił - wszędzie się roi od tego czarnego cholerstwa.

- Tam, któredy przeszliśmy, już ich nie ma - powiedział cicho Snibril. - A reszta mogłaby iść z nami do Ware.

- Przyda się każdy, kto umie walczyć - przyznał Careus. - Co to za raj?

- Karkolom.

- Na mózg ci padło?!

W tym momencie na drodze wybuchła wrzawa, a Dumii i Zwinnowie zbili się w ciasny krąg, dopingując każdy swego i od czasu do czasu obrzucając resztę mniej lub bardziej kwiecistą wiązką. Munrungowie próbowali ich rozdzielić, ale nie natarczywie, żeby przypadkiem nie oberwać z obu stron. Snibril przepchnął się przez kibiców i zgodnie z oczekiwaniem znalazł w centrum uwagi jednego Zwinna i

jednego legioniste, tarzajacych sie i okladajacych piesciami z zapalem godnym lepszej sprawy. Snibril zaklal pod nosem i z rozmachem wbil w ziemie włócznie.

- Przerwac to! - wrzasnal. - Dlaczego sie bijecie?

Pytanie zaskoczylo wszystkich, lacznie z walczacymi, i to tak dalece, ze przestali sie tluc.

- Zwariowaliscie?! - darl sie Snibril. - Wokól az sie roi od prawdziwych wrogów, a wy sie bijecie miedzy soba! Po jaka cholere chcecie walczyć z Dumii?

- Bo sa blizej! - padlo sposród kibiców.

- Nazwal mnie brudasem! - oburzył sie lezacy na ziemi zawodnik.

- A co, czysty jestes? - zdziwil sie Snibril. - On tez jest brudny. Wszyscy jestesmy. I co z tego?!

Urwal przemowe, bo wszyscy Dumii jak jeden wgapili sie gdzieś za jego plecy.

- Maja ze soba Wighta... i to nie jednego! - rozlegly sie pelne zdziwienia szepty.

- Walczacy Wightowie?!

Athan wygladal dosc zalosnie, ale z kamienna twarza wysluchal cichego polecenia Snibrila:

- Ani slowa, ze nie pamietacie przyszlosci. Przekaz to swoim.

- Oni znaja przyszlosc! - padlo sposród wojaków.

- I sa z nimi!

- Niby dlaczego mamy za nich walczyć, skoro nas tak traktuja? - zainteresowal sie zupełnie innym tematem jeden ze Zwinnów.

Snibril dopadl go w dwóch susach i uniósł za kolnierz.

- Nie walczycie za nich, tylko za siebie! - warknal. - Albo dla siebie, jak kto woli!

- Zawsze walczylim dla siebie! - oswiadczył nieco wstrzasniety, acz zupełnie nie przestraszony Zwinn. - I nigdy nie bylismy l i c z e n i!

- Tak, tylko ze Imperium, bedac wokól was, chronilo was, broniac siebie. Dumii utrzymywali pokój na polowie Dywanu, przez co mieliscie spokój. Oni walczyli na serio, a wy mogliscie sie bic tylko dla frajdy!

Snibrila cholera trzesla, totez sila rzeczy zatrzესlo i Zwinnem, którego trzymal.

Wokól zapadla cisza.

Dzieki temu Snibril opanowal sie nieco i odstawil wojownika na ziemie.

- Jade do Ware - oswiadczył nieco spokojniej. - Reszta niech sie zdecyduje, co chce zrobic i z kim sie bic...

* * *

Wszyscy zdecydowali, że też jada - lub ida - do Ware. Dlatego ochronie rannych musiano wylonic w drodze losowania. Wraz z nimi podazyła para Wightów, głównie dla podtrzymania morale. Dumii bowiem byli przekonani, że Wight nie pójdzie tam, gdzie może mu się coś stać, no bo nikt normalny by nie poszedł. Po prostu nie znali Wightów.

Ponad setka rannych mogących chodzić zdecydowała się na marsz do Ware, dzięki czemu XV Legion liczył prawie pięć setek chłopów, a Snibril ku swemu szczeremu zaskoczeniu stwierdził, że został nie tylko szefem wycieczki, ale i dowódca Legionu. Nieoficjalnie, ma się rozumieć, za to realnie. Munrungowie uważali go za pełniącego obowiązki wodza, Zwinnowie doszli do wniosku, że ktoś, kto potrafi się tak wkurzyć, musi być królem, a żołnierze słuchali sierżanta. Sierżant Careus zaś jechał koło Snibrila i wykonywał jego polecenia. Znaczący Snibril był dowódcą. Reszta nie miała nic do gadania. Prawde mówiąc, większość armii tak naprawdę dowiedziona jest przez sierżantów, oficerowie są w nich w zasadzie tylko dla ozdoby i żeby wojna nie zmieniła się w typowy chamski festyn czy inna karczemna awantura.

- Miło jest znów mieć kawalerie - przyznał Careus, przyglądając się Zwinnom - nawet jeśli jest niższa od piechoty. Parę razy z nimi walczyłem: bojowe mikrusy. Pod Baneusem. On ich szanował i zostawił w spokoju. W stolicy się to nie spodobało, ale trudno było mu nie przyznać racji, że dyżurny przeciwnik pod ręką zawsze się może przydać. Choćby do ostrych ćwiczeń. Tak myślę, że w gruncie rzeczy to on lubił tych kurdupli.

- Co się z nim stało? - spytał ostrożnie Snibril. - Z Baneusem, jego mam na myśli.

- A co, znasz go?

- Ze słyszenia.

- Zabił zabójcę, który próbował utrupić młodego cesarza podczas koronacji. Cwaniak ukrył się za kolumną z luką i zatrutymi strzałami. Baneus go dostrzegł w ostatnim momencie i zabił, rzucając mieczem. Strzała ocale chybiła Targona. Najśmieszniejsze, że generał Targona nie cierpiał. Twierdził, że cesarz powinien być wybierany tak jak dawniej, a nie dziedziczny. Za uczciwy chłop był i zawsze miał przez to kłopoty. Co prawda umiał się z nich wydostać, ale po tym numerze z zabójcą nie miał wyjścia: musiał zostać banita, naturalnie.

- Dlaczego: naturalnie? - zdziwił się Snibril.

- Nikt, pod karą banicji, nie może dobyć miecza bliżej niż pięćdziesiąt stóp od cesarza.

- Przecież tym właśnie uratował mu życie!

- Prawda. Ale prawo jest prawo, a bez zasad czym byśmy byli? - z sierżanta wylazł filozof amator.

- Ale...

- Cesarz potem zmienił to prawo i posłał ludzi za generałem.

- Znaleźli go?

- Tak słyszałem. Przywieźli go przytroczonego do konia, związanego jak prosiaka i z jabłkiem w gębie. Słyszałem też, że generał się zdenerwował. Nie ma się co dziwić: też bym się... tego... zdenerwował, jakby mi zieleninę do gęby wpychali... Szkoda, przydałby się teraz.

- Owszem - przyznał Snibril. - Wracając do codzienności: to co ja mam teraz zrobić? Wypadaloby rozbić obóz, bo noc się zbliża, a nie bardzo wiem, jakie powinienem wydać rozkazy...

Sierżant przyjrzał mu się z mieszaniną podziwu i zaskoczenia.

Rozdział siedemnasty

Drugiej nocy obozowisko było równie spokojne jak pierwszej. To, że dotąd nikt nikogo nie zabił, było zjawiskiem zgoła nienormalnym. Co prawda tak Snibril, jak i Careus dopilnowali, by przy każdym ognisku był przynajmniej jeden Munrung w charakterze rozjemcy, ale jak wiadomo - dla chcącego nic trudnego.

- Dobrze byłoby mieć więcej Wightów - rozmarzył się podoficer. - Dzisiaj obserwowałem jednego. Przyglądał się ćwiczeniom w łucznictwie, potem obejrzał łuk, wziął strzałę i trafił w sam środek tarczy. A mówił, że nigdy wcześniej nie strzelał.

- W takim razie może i dobrze, że są z natury pokojowi. - Snibril uśmiechnął się. - Inaczej nie mieliby szans przegrać. Jaki mamy plan?

- Plan? - zdziwił się Careus. - Ja nie jestem taktykiem, tylko żołnierzem. Wszystko, co wiem, to rozkaz przyniesiony przez posłanca: wszystkie legiony wracają do Ware.

- Wszystkie piętnaście? - Snibril potarł czoło, które nagle dało znać o sobie.

- Jakie piętnaście?! Nie ma piętnastu legionów... a, rozumiem. Dostaliśmy numer piętnaście, ale od tego czasu wiele legionów zostało rozwiązanych. Widzisz, to jest tak z tym cesarzowaniem: raz walczy się ze wszystkimi, a potem, jak się ich pokona, to wszyscy robią się grzeczni i przez długi czas prawie nie potrzeba żołnierzy. W kraju panuje spokój, sąsiedzi się boją, a wojsko to tylko niepotrzebne koszty.

- To ile faktycznie jest legionów?

- Trzy.

- Co?! To ilu jest żołnierzy?!

- Ze trzy tysiące.

- I to wszystko?! - Snibril nadal nie mógł dojść do siebie.

- Teraz mniej, pamiętaj, że nas została ledwie połowa.

- Przecież to za mało... - Snibril urwał, łapiąc się za głowę. - Kaz zgasić ogniska! Niech wszyscy położą się na ziemi!

- Dlaczego? Po co... - Careusowi przerwał kwik kilku koni.

- I muszą być gotowi do walki! - Snibril czuł, jakby ktoś łaził mu po głowie, i ledwie mógł myśleć.

- Co się dzieje...

- Zrób to! Tapniecie! - jęknął Snibril.

Cos przerazonego zaskoczyło w gestwinie włosów.

Careus zbyt długo był sierżantem, by nie wyrobić sobie odruchu samozachowawczego - w sytuacji nieznanego najpierw działać, potem myśleć - toteż czym prędzej zerwał się, wykrzykując rozkazy kapralom. Ogniska pogaszono błyskawicznie, a nieco zdezorientowani ludzie padli płackiem, czekając, co będzie dalej.

Chwile później nastąpiło Tapniecie.

Centrum znajdowało się gdzieś na południu, ale niezbyt daleko. A ciśnienie tak wzrosło, że poczuli je nawet Dumii. Włosy pochyliły się pod naporem wichury gnającej chmury pyłu i ci, którzy nie dość szybko wykonali rozkaz, zostali przewróceni i potoczyli się aż do granicy włosów.

A potem coś lupnęło.

I nastąpiła chwila ciszy i spokoju wykorzystana na zrozumienie, że można być wstrząsnietym i do góry nogami, ale wciąż żywym. Była to pocieszająca świadomość.

Careus doczłgał się do swego helmu, włożył go i nie wstając, wrócił do Snibrila.

- Czujesz, że się zbliża! - stwierdził z tryumfem. - I to zanim wyczują zwierzęta!

- Moule też to czują, i to szybciej niż ja - odparł Snibril. - Nie przywołują Tapniecia, lecz je wykorzystują, wiedząc, kiedy i gdzie nastąpi. Atakują zaskoczonego i zdezorientowanego przeciwnika i...

Obaj odruchowo się rozejrzeli.

- Do broni! - ryknął Careus, zrywając się na równe nogi. - Wszyscy do broni!

- A co Bronia na to? - spytał najbliższy Zwinn, nadal leżąc płackiem. - I tak w ogóle to o co chodzi?

- Ze będziemy się bić, cymbale!

- To nie można było tak od razu?!

Kilkanascie sekund później moule zaatakowały.

Dwie setki czarnych postaci wypadło w galopie z włośów na polane, na której powinna się klebic mieszanina oglupiałych, poranionych i całkowicie nie przygotowanych do walki ofiar. Tymczasem moule zastały poranionych, wkurzonych i doskonale przygotowanych przeciwników, co ich kompletnie zaskoczyło.

Była to największa - i ostatnia w życiu - niespodzianka, jaka je kiedykolwiek spotkała.

* * *

Ten atak bardzo wiele zmienił: Zwinnowie i Dumii zawsze walczyli, ale nigdy po tej samej stronie, a takie doświadczenie bardzo zbliża i skutecznie likwiduje wroga. Znacznie trudniej wkurzyć się na kogoś, kto swą tarczą uniemożliwił zdzielenie cię w łeb toporem.

Rankiem mieszana armia pomaszerowała ku Ware z pieśnią na ustach. A raczej z trzema pieśniami, każda inna i na inną melodię, ale wszystkie były marszowe i jakos tak łącznie brzmiały całkiem melodyjnie.

- Jedni chłopaki o mnie ułożyli - przyznał się sierżant. - Ma siedem wersów i jest swinska. To, co wymyślił w jednym wersie, jest zresztą fizycznie niemożliwe, ale i tak muszę udawać, że żadnego nie słyszę. Zauważyłeś, że Wightowie przysnęli w nocy?

- Nie przysnęli - poprawił go Snibril - lecz zdecydowali się udać w innym kierunku.

- ładnie brzmi, ale faktycznie nie zmienia.

- Może mają plan... - zaczął Snibril i urwał nagle.

Doszli do centrum Tapniecia - włosy były pogięte i pokrecone, a nad drogą był łuk wienieczonej bramy. Był - to właściwe słowo. W pobliżu leżało pół tuzina martwych żołnierzy i martwy moule.

Wojsko rozwinęło się, obserwując podejrzliwie włosy, podczas gdy wydelegowany pododdział zajął się pochówkiem.

- Gdyby nie ty, wyglądalibyśmy podobnie - mruknął Careus. - O ile wcześniej wiesz?

- Minute, może dwie. Trochę dłużej, jeśli w okolicy jest cisza i spokój...

- Jak to się czuje?

- Jakby ktoś skakał ci po głowie. Co to za miejsce?

- Jedną z bram oznaczających początek ziem Ware. Miasto leży kawałek drogi przed nami.

- Zawsze się zastanawiałem, jak ono wygląda.

- Ja też - przyznał podoficer.

- Nigdy tu nie byles?!

- Urodzilem sie w jednym z garnizonów. Cale zycie sluzylem w wojsku, a ono stacjonuje na granicach albo tam, gdzie sa klopoty. W stolicy od dawna nie bylo klopotów, wiec ja tez tu nigdy nie bylem. Slyszałem, ze to wielkie miasto: ponoc robi wrazenie. Za kilka godzin w nim bedziemy.

- Ware... - mruknal zamyslony Snibril.

Rozdzial osiemnasty

Ware skladalo sie wlasciwie z trzech miast, a kazde z nich stanowilo czesc innego. W samym srodku znajdowalo sie otoczone grubym, solidnym murem Cesarskie Ware, gdzie szerokie aleje wylozono drewnem i sola, a wszedzie stalo mnóstwo posagów. Rozsiadly sie tu wspaniale (i calkowicie nie nadajace sie do zycia) budowle, a co kawalek dumnie sterczal pomnik jakiegos wspanialego zwyciestwa. A takze ze trzy jeszcze wspanialszych porazek. Nie liczac ogrodników, dozorców i sluzacych, w miescie prawie nikt nie mieszkal. Aha - dodac do tego nalezy ze trzy tuziny rzezbiarzy. Generalnie miejsce to sluzilo do ogladania, nie do mieszkania.

Z jednej strony do murów przylegala otoczona zastrzonymi wlosami enklawa wielkosci sredniej wsi. Bylo to Pierwsze Ware albo Wlasciwe Ware, niegdys osada, w której zyli Dumii i od której rozpoczeli budowe Imperium. Prawde mówiac, nikt juz nie wiedzial, dlaczego Przeznaczenie wybralo wlasnie ich ani jak konkretnie to zrobilo. Faktem jest, ze zrobilo, i w efekcie Dumii podbili pół swiata. W tym Ware nikt juz nie mieszkal i wiesc gminna niosla, ze wkrótce je rozbiora, by miec wiecej miejsca na nastepne rzezby.

Oba otaczalo Kupieckie Ware, które dla wiekszosci tak mieszkanców, jak i gosci bylo wlasciwym miastem. Waskie ulice zatloczone straganami, wokół których klebili sie przedstawiciele wszystkich praktycznie plemion i szczepów Dywanu, z wylaczeniem mouli, ma sie rozumiec. Kazdy próbowal kazdego oszukac na kazdy znany lub zaimprovizowany sposób, co oficjalnie nazywalo sie „robieniem interesów”. Porozumiewano sie taka mieszanaka jezyków, ze przechodzilo to wszelkie wyobrazenie, a takze odbijalo sie na sluchu, gdyz robiono to z zasady glosno. To wlasnie bylo miejsce, do którego zjezdzano sie, by pohandlowac.

Dumii zbudowali bowiem Imperium za pomoca mieczy, a utrzymali je za sprawa pieniadza, który wynalezli. Poprzednio istnial handel wymienny, a potem pewna specyficzna forma gotówki - stanowily ja krowy i swinie, raczej niewdzieczne jako srodek platniczy, bo nie dosc, ze trzeba bylo je karmic i chronic, to jeszcze mialy glupi zwyczaj zdychac. W takiej sytuacji nagle zjawili sie Dumii z drewnianymi krazkami latwymi do trzymania czy ukrycia a to w skarpecie, a to pod poduszka, co z krowa czy swinia nigdy nikomu sie nie udalo. Poza tym krazki byly ladne, lakierowane i mialy z jednej strony wyrzezbiona glowe cesarza, a z drugiej różne dziwne znaki, którym mozna sie bylo dlugo przygladac z przyjemnoscia albo z zaciekawieniem. Znacznie dluzej niz krowom czy swiniom.

I tym sposobem Dumii zapewnili sobie długie istnienie Imperium. A przynajmniej tak uważał Pismire. Dowodził tego następująco: kiedy ktoś dał się wreszcie przekonać do pieniędzy, to raczej nie wracał do używania w celach płatniczych krów i świń, a nawet nie miał na to ochoty, zwłaszcza że pieniądze nie ryczały po nocy. A potem zaczynało się oszczędzanie, by sobie coś kupić, dajmy na to półtorej krowy i trzy czwarte świń. W tym celu dobrze było mieć jednak pod ręką miasto z targiem, czyli należało się osiedlić. A że każdy lubi nieco spokoju, to jak już się osiedlił, nie urządzał napadów na sąsiadów, bo ci prędzej czy później odplaciliby mu ta sama forma rozrywki. No, przynajmniej nie urządzał tak często jak dawniej albo jak miałby ochotę, gdyby się nie osiedlił. A jak już targ był pod ręką, to kupowało się różności, o których poprzednio nikt by nawet nie pomyślał: różne owoce, kolorowe materiały, książki i inne takie. I w krótkim czasie zaczynało się żyć tak jak w Dumii, bo tak było wygodniej. Pewnie, wszyscy mówili, jak to dawniej lepiej bywało, nim ktoś wymyślił te nowomodne, panie, pieniądze. I jak miło, panie, było, gdy człowiek z domu wychodził uzbrojony i sam sobie znajdował rozrywkę. Tylko że jakos nikomu nie chciało się nic zrobić, żeby wróciły tamte czasy.

- Ekonomiczny imperializm - tłumaczył ziomkom Pismire, podsuwając im pod nosy garść pełną monet. - Pomyśl genialny w swej prostocie. Kiedy się go wprowadzi w życie, to nawet pilnować nie trzeba. Widzicie: to cesarz gwarantuje, że za pieniądze możecie kupić określone rzeczy za określoną cenę. Za każdym razem, gdy ktoś wydaje albo przyjmuje taką monetę, broni równocześnie istnienia Imperium. Genialne!

* * *

Snibril popatrywał na ciągnące się w obie strony mury z mieszaniną podziwu, rozczarowania i zaciekawienia. Przeważało jednak zaskoczenie: na murach jedynie z rzadka polyskiwały pancerze wartowników, a okolica i samo miasto wyglądały tak sielsko i spokojnie, jakby Tapniecie czy moule istniały jedynie w jego wyobraźni.

Careus zdjął hełm, splunął na emblemat i przetarł go rekawem.

- Jeśli spróbujemy wprowadzić Zwinnów do miasta, mogą być kłopoty - powiedział cicho.

- Nie mogą, tylko będa - poprawił go Snibril.

- Może więc lepiej będzie obozować pod murami, a do środka wejdziemy tylko my?

- Za spokojnie tu. - Snibril jeszcze raz przyjrzał się murom. - Skoro was wezwano, to chyba ktoś spodziewał się wojny?

- To właśnie należy sprawdzić, bo coś mi tu porządnie śmierdzi - stwierdził sierżant. - Tak jak ty wyczuwasz, że zbliża się Tapniecie, tak ja mam nosa do kłopotów. A tu będa kłopoty, i to poważne! Możesz mi wierzyć!

* * *

Ulice, przez które jechali, wyglądały - przynajmniej dla Snibrila, który nigdy dotąd ich nie widział - tak jak powinny. Jak w Tregon Marus powiększonym kilkaset razy. Snibril próbował sprawić wrażenie,

jakby też czuł się normalnie, ale wiedział, że to próba nieudana.

Gdy ludzie mówili o Ware, zawsze robili to z szacunkiem - jakby było to jakieś szczególne miejsce. Tymczasem widział normalne miasto, tyle że znacznie większe niż inne. No i ze zdecydowanie większą liczbą rzezb.

Careus bez kłopotów odnalazł drogę do koszar położonych w pobliżu Cesarskiego Ware. Na dziedzińcu stał stół zawałony papierami, a za nim siedział wymoczkowaty urzedas. Posłancy przynosili mu jedne papiery, zabierali drugie, ale ciekawostka - sterta makulatury na stole wciąż rosła. Gryziپیórek wyglądał na zrezygnowanego.

- No? - spytał, widząc Snibrila i Careusa.

- Jestem... - zaczął podoficer.

- Dokumenty! ...Co? A, jak zwykle brak! Myślałem, że udało mi się tu zrobić porządek, a tymczasem połowy dokumentów brakuje... jak w tej sytuacji można cokolwiek zarządzać?! No dobrze: nazwisko i stopień!

- Sierżant Careus, XV Legion. Obozujemy pod miastem w sile około pięciuset ludzi. Tylko zostało zdolnych do walki. Potrzebuje zezwolenia na wejście do koszar. Przez całą drogę...

- XV Legion... - mruknął wymoczek, grzebiąc w papierach. - XV Legion...

- Posłaniec przyniósł rozkaz powrotu do Ware. Przez większą część drogi walczyliśmy...

Urzedas przestał grzebać, przyjrzał się jakimś papierowi i powiedział:

- Sporo się pozmieniało...

Ton głosu był taki, że Snibril odruchowo się rozejrzył, szukając zagrożenia.

- A konkretnie? - spytał.

- Kto to jest? - Gryziپیórek zaczął go zauważać. - Wygląda na prostaka!

Snibril zaczął odczuwać nieprzepartą chęć rozbicia czegoś. Najlepiej żeby wymoczkowatego Dumii.

- Nieważne - warknął Careus. - Przebyliśmy całą tę drogę, ponieważ...

- A, już wiem! - ucieszył się siedzący. - Znalazłem... Tak. Ten cały problem z Tapnieciem jest już załatwiony. Zawarliśmy traktat.

- Z Tapnieciem? - zdziwił się Snibril.

- Z moulami, rzecz jasna! Traktat pokojowy, ma się rozumieć. Czyżbyście nic nie wiedzieli?

Snibrilowi mowa odjęła. Nim ja odzyskał, Careus złapał go za ramię i oznajmił głośno:

- No, to wszystko jasne! Nie będziemy zawracali głowy! - i wyprowadził czym prędzej siebie i Snibrila.

Munrung odzyskal mowe w bramie.

- Dlaczego to zrobiles? - spytal podejrzenie spokojnie.

- Bo chcemy sie w miare szybko dowiedziec, co tu sie stalo, a jakbysmy zaczeli wytrzasac informacje z tego wszarza, trwaloby to cale wieki. Jak sie dowiemy, a bedzie wolna chwila, wróce tu i nakarmie go ta sterta makulatury, kawaleczek po kawaleczku!

- Jakos nie widze tu zolnierzy...

- Ledwie paru wartowników - przytaknal sierżant.

- A wiec inne legiony jeszcze nie zdazyly tu dotrzec.

- A myslisz, ze zdaza?

- Co masz na mysli? - zdziwil sie Snibril.

- A to, ze gdybysmy sie nie spotkali, to najpewniej mój legion nie zdolalby tu dotrzec. Na drogach dwóch pozostalych legionów was nie bylo...

- Chcesz powiedziec, ze jestesmy jedynym wojskiem w okolicy?!

- Najprawdopodobniej. I pozostaniemy jedynym!

Snibril zamknal z trzaskiem szczeke. Reszta pytan przestala miec jakikolwiek sens.

* * *

Obóz wśród wlosów rozbili szybko i fachowo, z czego wszyscy byli zadowoleni. Co prawda jeden Zwinn twierdzil glosno, ze trudno spokojnie odpoczywac w otoczeniu wrogów. Tyle ze mowil to z usmiechem. Postep.

W trakcie zbierania opalu napotkali pone'a. Z poczatku jednego, a potem cale stadko. Liczylo ono ponad tuzin osobników, a najbardziej zaskakujace bylo to, ze wszystkie byly doskonale zamaskowane. Zwykle uwaza sie, ze latwo jest ukryc cos malego. Prawda jest jednak i to, ze jeszcze latwiej ukryc rzeczy wielkie. Zwierzeta pasly sie spokojnie, odbekujac od czasu do czasu. Przyjrzaly sie uwaznie swoim odkrywcom i przestaly sie nimi interesowac.

Wygladaly tak, jakby kazano im tu wlasnie czekac.

* * *

Napis nad drzwiami glosil „Apteka”, co mówiac po ludzku, znaczylo, ze właścicielem sklepu jest poczatkujacy chemik eksperymentujacy z ziolami na swych klientach. Medykamenty, które przepisywal i sprzedawal, zaszkodzic raczej nie mogly, natomiast na to, ze pomoga, raczej nie nalezalo liczyc. Wlasciciel, czyli aptekarz, nazywal sie Sowigal, ale wszyscy mówili na niego Slepowron.

Aptekarz, pogwizdując, mieszał coś zawzięcie na zapleczu. Owym czymś był sproszkowany niebieski mech nowego rodzaju, który znalazł ostatnio na wycieczce w parku. Jak to mech, musiał być na coś skuteczny, tylko trzeba było jeszcze sprawdzić na co. Dlatego też z pewną niecierpliwością czekał na pierwszych klientów.

- He?! - powiedział nagle, przerywając gwizdanie, gdyż ktoś postukał go w ramię. Wytrzeszczył krótkowzroczne oczka nad okularami wykonanymi z dwóch starannie wymodelowanych w lakierze soczewek. - Pismire?!

- Ciszej! Nikt nie wie, że tu jesteśmy!

- A niech mnie! Mówiłem, że w końcu wrócisz! Nie bój się nic: w sklepie nie ma nikogo. - Slepowron przyjrzał się pozostałym. - A niech mnie! Tego... witam serdecznie! Taki kawał czasu! Mój dom jest waszym... w metafizycznym sensie, ma się rozumieć. Zawsze podziwiałem twoją szczerą i bezkompromisową, ale ponieważ jest to mój jedyny dom, mam nadzieję, że zrozumiesz, iż ci go de facto nie podaruję. Dlatego powiedzenie to stanowi jedynie przenośnię wyrażającą moją radość...

Gospodarz najwyraźniej miał obiektywne problemy ze skonczeniem zdania.

- On też jest filozofem, nie? - Glurk stuknął Pismire'a w ramię.

- To słuchacz, prawda? Słuchaj no, Slepowron: serdeczne dzięki.

Gospodarz przestał się wysilać i uśmiechnął się.

- Potrzebujemy jedzenia - poinformował go Pismire. - A przede wszystkim...

- ...informacji - dokńczył Bane. - Chcemy wiedzieć, co się tu, do cholery, dzieje!

- Co wolicie najpierw?

- Jedzenie. - W tej kwestii Glurk był niepokonany. - No, co się tak na mnie gapicie?! Myślałem, że wszyscy są głodni...

- Czujcie się jak u siebie w domu, choć naturalnie niezupełnie to mam na myśli...

- Jasne. Nie mecz się - przerwał mu Pismire.

Slepowron zakrzatnął się, wyjmując z szuflad różności, Glurk zaś rozejrzał się po półkach zastawionych słojami i innymi szklanymi pojemnikami. Zawartość kilkunastu odwzajemniła spojrzenie.

- Chodziliśmy razem do szkoły - wyjaśnił Pismire tymczasem. - Potem on zdecydował się poświęcić studiom nad Dywanem. Z czego się składa, jakie są właściwości różnych włosów, jakie rasy zwierząt go zamieszkują i inne takie.

- A Pismire zdecydował się poświęcić studiowaniu ludzi - dodał gospodarz. - I został skazany na śmierć za nazwanie ostatniego cesarza... zaraz, jak to dosłownie ujales? Tu jest chleb i masło...

- Jakkolwiek bym ujał, zasłużył na to w całej rozciągłości. Nie chciał mi dać pieniędzy na zachowanie biblioteki, która powoli zmieniała się w kurz. Kutwa! Biblioteka musiałem się opiekować, bo zawierała

wiedze, a ten kretyn stwierdził, że nie potrzeba aż tylu książek, po czym dodał, że w ogóle nie potrzeba książek, bo wiemy wszystko, co chcemy wiedzieć. Próbowałem mu jedynie uzmysłowić, że cywilizacja potrzebuje książek, jeśli ma się rozwijać, a lektura wpływa doskonale na sensowną i kompetentną wymianę poglądów.

- I dlatego go zwymyślałeś od ostatnich...

- Wcale nie zwymyślałem i nie od ostatnich - poprawił z godnością Pismire. - Powiedziałem mu tylko prawdę: że jest rozpuszczonym w zbytku ignorantem głupszym od trzonka od szpadla.

- Żeby zaraz kogoś za to skazywać na śmierć? - zdziwił się Glurk, próbując się przyjrzeć słoju za swoimi plecami, w którym unosiło się coś kudłatego, też mu się przyglądając.

- Prawdę mówiąc, na karę śmierci został skazany dopiero za przeprosiny - wyjaśnił aptekarz.

- A to jakim cudem?! - Glurk tak się zdziwił, że zapomniał o słoju.

- Powiedział, że jest mu przykro, ale po głębszym namyśle przyznaje się do pomyłki: w rzeczywistości cesarz jest głupszy niż szpadel bez trzonka. Trochę niewyraźnie mu to wyszło, bo mówił w biegu.

- Szybko myśle - wtracił Pismire.

- Obraziłeś cesarza?! - ucieszył się Brocando. - Czemuś się nie pochwalił?! Nie wiedziałem, że jesteś sławny.

- I prawdopodobny - dodał Bane. - Ojciec Tregona był jedną wielką obrazą dla Imperium.

- Gdzieś ty się chował przez te wszystkie lata? - zainteresował się gospodarz, przestając ryc po szufladach. - Naturalnie przez „chował” nie...

- A, w takim jednym miejscu, o którym nikt nie słyszał.

- Mogę odwrócić ten słoik? - spytał Glurk. - Nie lubię, jak zakaska się na mnie gapi...

- Przejdźmy do rzeczy - odezwał się Bane. - Co się tu dzieje? Straży na murach prawie nie ma, bramy pilnuje dwóch żołnierzy. Cyrk, nie obrona! Czy tu w ogóle do kogoś dotarło, że Imperium zostało zaatakowane?

- Jak nikt nie chce tego sera, to mógłbym się nim zaopiekować, gdyby mi go ktoś podał - zaoferował się Glurk.

- Słyszeliśmy - odparł aptekarz. - Ale cesarz twierdzi, że Ware jest całkowicie bezpieczne. Tak najwyraźniej uważają ci jego nowi doradcy.

- Doradcy?! Jacy doradcy? - zdziwił się Pismire.

- Widział ich kto? - włączył się Bane.

- Wątpię - przyznał gospodarz. - Słyszałem, że generał Vagerus został zdegradowany za wezwanie legionów do stolicy. Oficjalnie nazwano to defetyzmem. A straż wokół palacu nikogo nie wpuszczają.

- Zostal sie jeszcze jakis ogórek? - zainteresowal sie Glurk.
 - Oni tak wlasnie dzialaja: od wewnatrz - mruknal Bane. - Tak jak w Karkolomie czy Wysoczyźnie.
 - Ogórki? - zdziwil sie Glurk. - A to cwaniaki!
 - Ale nie w Ware - sprzeciwil sie Pismire. - Nie wierze! Nie tutaj!
 - A kto by ich szukal w palacu cesarskim? - spytal Bane.
 - Prawde mówiac, tez ich sie w Karkolomie nie spodziewalem - przyznal Brocando.
 - Ciagle rozmawiamy o ogórkach? - upewnil sie Glurk.
 - Tak... ale nie w Ware! - powtórzył Pismire.
 - Tez bym tak twierdzil na twoim miejscu - odparl Brocando. - Wszedzie, tylko nie w Karkolomie.
 - Prawie nikogo nie wpuszczaja ostatnio do palacu - przypomniał gospodarz.
 - To nie moze chodzic o ogórki! - stwierdzil Glurk.
 - To co robimy? - skapitulowal Pismire.
 - Na plasterki! - zaproponowal Glurk, biorac kolejnego ogórka.
 - Tak - przyznal Bane. - Wiedzialem, ze to sie tak skonczy... Ware tak jak cale Imperium bylo niegdys wielkie i wspaniale. Walczyliśmy o różne rzeczy, a gdy w koncu je zdobyliśmy, spoczelismy na laurach. Bez ochoty na dalszy wysilek, bez krzty dumy! Mam dosc! Sprawdzimy, czy faktycznie „nie w Ware”.
- I wstal.
- No nie! - jeknal Pismire. - Co wy chcecie zrobic?! We czterech napasc na palac i wyciac w pien wszystkie moule, jakie uda sie znalezc
 - Doskonaly plan! - Brocando takze sie zerwal. - Ciesze sie, ze teorie mamy juz za soba. Taktyka strasznie mnie meczy. Chodźmy...
 - To absurd, a nie zaden plan! To szalenstwo! Glurk, zawsze byles trzezwo myslacy: wytłumacz im to! - zaapelowal Pismire.
 - Fakt, ze zdurnieli - przyznal Glurk. - Najpierw skonczymy jesc, a potem zaatakujemy palac. Głodny zle sie bije.
 - Wszyscy poszaleli - zaczal desperowac Pismire.
 - Przeszan kwecac i zaczynj myslec! - Bane zaczal sie irytowac. - Przypomnij sobie, co ona powiedziala: nie ma nieistotnych zmian. Wystarczy jedna osoba w odpowiednim momencie.
 - Nas jest trzech! - dodal Brocando.

- Co potraja szanse!

- Zeby to nagly, niespodziewany i ciezkii szlag! - westchnal z uczuciem Pismire. - Wychodzi na to, ze musze isc z wami, byscie nie narobili jakichs glupot.

- Ja tez moge? - odezwal sie aptekarz. - Isc, ma sie rozumiec, nie robic jakies glupoty.

- Widzisz? - ucieszyl sie Bane. - Spróbuj sobie teraz wyobrazic, jaka różnice moze zrobic p i e c i u ludzi! Jesli sie mylimy, mala szkoda, jesli nie... co innego mozemy zrobic? Próbować wzniecic powstanie?! Znam glupsze pomysly, ale niewiele. Panowie, do dzieła.

- Mury sa za wysokie nawet dla pieciu - zauwazyl Pismire.

- Detal techniczny - warknal Bane. - Odkad to martwia cie detale techniczne?

- Zawsze sie nad tym zastanawialem - wyznal ni z gruszki, ni z pietruszki Brocando - a teraz wiem!

- Co? - zdumial sie Pismire.

- Jak Dumii podbili Dywan. Bo raz na jakis czas mysleli w ten wlasnie sposob!

Zapadla cisza.

- No dobra - przerwal ja wreszcie Glurk. - To jak tam wejdziemy?

Rozdział dziewiętnasty

Snibril ciagle sie uczyl. Tym razem uczyl sie o mozliwosciach sierżantów.

Careus bez wiekszego trudu znalazl palacowa kuchnie. Bez wiekszego trudu, poniewaz sierżanci zawsze wiedza, gdzie znalezc wyzerke: w wojsku jest to wyznacznik instynktu samozachowawczego.

Bylo to dlugie, niskie pomieszczenie o poczernialym od dymu suficie, z pół tuzinem palenisk. Przy jednym z nich krzatal sie szef kuchni, który okazal sie kumplem Careusa z dawnych czasów.

- To jest Mealy - przedstawil go Snibrilowi. - Tez byl w wojsku.

Mezczyzna byl masywny, acz niekompletny - twarz przecinala mu dluga blizna, jedno oko zaslaniala czarna przepaska. Poza tym brak mu bylo lewej reki i prawej nogi od kolana, która zastepowala, z niewielkim powodzeniem, drewniana proteza.

- Niech zgadne: tez byl sierżantem?

- Bylech. - Mealy usmiechnal sie szeroko, dzieki czemu okazalo sie, ze uzebie nie ma nie calkiem kompletne. - Bralech udzial wew parunastu kampaniach, zas Ceraus zabral zech mnie z pobjowiska i wyklarowol (co zas nie bylo trudno, bo zech stracil noga, przez co mial fest argument), ze jak tak cós ze soba nie zrobia, to rychlo mnie zbraknie. Pedziol mi tez, zebym poszedl na pensja, i to bylo dycht nieglupio. Dobrze, zes sie pokazol, a jesczek lepij co tera. Ciekawe czasy sie porobili, nie?

- Wlasnie, Mealy. Cos dziwnego sie tu dzieje - przyznal Careus. - Co wiesz na ten temat?

- Nikt nie widziol cysorza bydzie ze dwa dni: calki czas siedzi u siebie na pokojach. I calki futer mu sie tam nosi. A i cosik tez ostatnio degraduje na potega, jakby mu jaka kampania zawalili na amen.

- A ci cali doradcy? - spytal Snibril. - Widzial ich ktos?

- Nie. Ale jak zech zaniósł taca, to cosik dziwnie smierdzialo...

- Moulowato?

Tymczasem podeszlo do nich z pół tuzina kucharzy zwabionych odglosami pogawedki. Mezczyzni byli masywni i podobni do siebie - jakby ukszaltowani w jednej formie, lecz mimo ze bylo ich szesciu, to konczyn i oczu z trudem starczyloby dla czterech. Prawie kazdy tez mial na twarzy imponujacy zestaw szram - bez trudu mozna by na nich zagrac w kólko i krzyzyk.

- Ano - przyznal Mealy. - Zloilim im rzyc co i nie raz. Akuratnie taki smród. Jak bysma tak mieli paru swarnych mlodziaków, to by sie i cosik dalo zrobiec, a tak to co: same starzyki...

- Cholera, sa w palacu! - jeknal Snibril. - Jeden drobiazg: wszyscy jestecie sierzantami, prawda?

- Prawda - przyznal Careus. - Jak sie jest sierzantem, czlowiek uczy sie organizacji i uporzadkowanego zycia. No i kreci sie kolo wlasnych spraw, bo nikt tak dobrze tego nie zrobie jak on sam. Tej zasady tez zreszta uczy zycie podoficera. Trzeba dopilnowac, by na emeryturze miec zapewnione dwie podstawowe rzeczy: caly dzien cieplo i blisko do solidnego zarcia. No to gdzie moze byc lepiej, jak nie w kuchni?!

- W takim razie... - zaczal Snibril i zamilkł, wpatrujac sie z natezeniem w jeden z mrocznych katów kuchni. - Kto ona? - spytal po chwili.

- Kto?

Sierzanci odwrócili sie jak na komende, idac za jego wzrokiem.

- Ktos tam byl... - powiedzial po chwilowym wahaniu Snibril. - Miala biala szate i bialego snarga. Mówila...

I zamilkł na dluzej.

- Zadnych bab w naszy kuchnia! - oznajmil stanowczo Mealy. - Ony nie som recht w sierzantowaniu!

Snibril otrzasnal sie, dochodzac do wniosku, ze musialo mu sie przywidziec. W koncu dzien byl raczej mezcacy i pelen wrazen.

- Careus, może by tak sprowadzić tu twoich legionistów? - zaproponował niesmiało.

- Po co? Żeby zaatakowali stolicę? - rzeczowo spytał zapytany.

- Żeby jej bronili - wyjaśnił Snibril.

- A przed kim?

- Zanim się tu zjawicie, powinniśmy już mieć wroga. Postaram się uczciwie, obiecuje. Panowie - Snibril zwrócił się do pozostałych - macie tu gdzieś bron?

- Bron? - Mealy uśmiechnął się. - A na kiego grzyba?

Wprawnym ruchem ujął topór do rabiania mięsa i opuścił na drewniany kłoc, na którym zazwyczaj dokonywano rozbiórki tusz. Kłoc pękł z miłym dla ucha trzaskiem.

* * *

Straznicy przy bramie pałacowej byli dwaj, i to jacyś nerwowi - najwyraźniej coś im się nie podobało. No, ale rozkaz jest rozkazem, nawet jeśli niedokładnie wiadomo, kto go wydał. Bez rozkazów nie byłoby przecież Imperium.

Widząc zbliżających się Wightów z wózkiem, stali się jeszcze bardziej nerwowi.

- Stac! - wrzasnął jeden.

- Ty, to Wightowie - mitygował go drugi. - Watpie, żeby można ich było ot tak od reki zatrzymać. Muszą mieć powód, by się pchać do środka.

- Prawda - przyznał najbliższy Wight.

- Ale jeden zre ogóra... - nie ustępował pierwszy strażnik.

- Przecież oni też muszą coś jesc!

- I jest ich tylko pięciu, a powinno być siedmiu!

- Dwóch na chorobowym - poinformował go ten sam Wight.

- Co naturalnie nie znaczy dosłownie, że... - zaczął drugi, ale trzeci huknął go pod zebra i drugi umilkł.

- Watpie, że byście byli prawdziwymi Wightami - pierwszy strażnik robił się coraz bardziej podejrzliwy.

Wight z ogórkiem dogryzł go do końca i oznajmił rzeczowo:

- Ci udowodnię, że jesteśmy. Powiem ci, co cie spotka w przyszłości.

- Naprawdę?

Wight wziął z wózka poręczną palkę i stwierdził:

- Wezmiesz w łeb, a jak się obudzisz, to cię będzie głowa bolała.

- Tylko nie za mocno - przypomniał Bane. - To przeszkoda, nie przeciwnik!

Glurk huknął więc wartownika na tyle przyjaźnie, na ile to było możliwe. Drugi strażnik zaczął dobywać miecza i otworzył usta do krzyku, gdy poczuł coś ostrego między łopatkami.

- Rzuć miecz - doradził mu Pismire.

- To znaczy puść go, by swobodnie opadł pod własnym ciężarem - dodał Slepowron. - Zaczyna mi się to podobać!

* * *

Mealy zapukał do przesadnie rzezbionych drzwi. Po chwili otworzył je wystrojony dworzak i spojrzał pytająco.

- Obiad - wyjaśnił go zwiędle Mealy.

- No, to wniescie do środka.

Dwójka pomagierów kucharza (w odniesieniu do tej pary pleczystych weteranów określenie „kuchcik” brzmiałoby jak obelga) wtoczyła wózek zastawiony przykrytymi naczyniami. Wózek miał uczciwe rozmiary i dokładnie rozpostarte obrusy - zwisały ze wszystkich stron aż do ziemi. Za drzwiami znajdowała się komnata, w której siedziała para średnio szczęśliwych wartowników, a potem drugie drzwi. Dworzak otworzył je bez ceregieli - prowadziły do kolejnej komnaty, dla odmiany pustej - w przeciwległej ścianie zaś znajdowały się kolejne drzwi.

- Zostawcie posiłek tutaj - polecił dworzak. - I wyjdźcie!

Posłusznie wykonali polecenie, dworzak zamknął drzwi i odetchnął z wyraźną ulgą.

- Nie myślał żeś, co będzie dali? - zagadnął Mealy.

- Nie mam zwyczaju zastanawiać się nad decyzjami cesarza. - To nie należy do moich obowiązków. Do obowiązków kucharza też nie.

- Tak po prawdzie to zech sierzant, nie kuchorz - Mealy zdjął czapkę. - Wy tam: bacność!

Obaj wartownicy wyprzedzili się odruchowo, zanim dotarło do nich, co robią. Do komnaty zaś weszło jeszcze kilku kucharzy. Każdy z ostrym i poręcznym argumentem w garści.

- To wbrew... - zaczął strojnis i urwał. Dotarło do niego w końcu, że w pomieszczeniu znajduje się szesciu, może niekompletnych, za to dużych chłopów. W dodatku każdy z nich uzbrojony i raczej nie przyzwyczajony, żeby na niego wrzeszczec. - ...rozkazom - dokonał znacznie ciszej.

- My się tu ino zdziebko poczekamy. - Mealy oparł się o ścianę przy drzwiach. - Toć to nie wzbronione,

ni? A obiad zech dostarczył, jako rozkazano, ni?

* * *

Obrusy rozłożono artystycznie na kształt namiotu, tak że wózek z obiadem stanowił w praktyce namiot na kółkach. Jedynym jego mankamentem był brak widoków, toteż siedzący wewnątrz Snibril zdany był wyłącznie na słuch.

Przez moment panowała cisza, po czym otwarto drzwi i zasmierdziało moulem. „Smród” to właściwie nieodpowiednie słowo, gdyż zapach nie był szczególnie przykry - taki, jak długo nie wietrzonego i nie trzepanego futra. No, ale głupio powiedzieć o wrogu, że pachnie, prawda?

Wózek potoczył się, zamknięto za nim drzwi, i to z odgłosem raczej ostatecznym. Smrodek znacznie przybrał na sile, poza tym rozległy się głosy.

- Obiad, sire - rzekł bez dwóch zdań moule.

- Nie jestem głodny - odparł głos tym razem ludzki, ale płaczący, sugerujący, iż jego tłusty właściciel za młodu dostawał za dużo cukierków, a za mało łania. W dodatku głos zawierał w sobie pewność, że cukierki mu się należą, a co więcej, od czasów młodości przyzwyczał się do wymagania i rozkazywania.

- Sire musi jeść, bo inaczej z sire niewiele zostanie.

- Co się dzieje na zewnątrz? Dlaczego mi nie mówicie, co się dzieje na zewnątrz? Dlaczego nikt nie wykonuje naszych poleceń? - zapytał właściciel ludzkiego głosu, a zaraz potem rozległo się tupnięcie.

- Na zewnątrz szaleje wojna domowa - odparł inny moule. - Wszędzie czają się wrogowie i tylko my możemy cię ochronić. Dlatego musisz nam pozwolić robić to, co uważamy za dobre dla ciebie, sire.

- Sprowadźcie na nich Tapnięcie! - zazała cesarz ku osłupieniu Snibrila, który nie sądził, że szlachetnie urodzony może być takim chamem.

- Wkrótce. Wkrótce zrobimy to samo co w Karkolomii. Przywołanie Tapnięcia niestety trochę trwa. Tymczasem moi ludzie walczą po twojej stronie. Nie ma obawy, doczekamy do Tapnięcia cali i zdrowi.

- Otaczają mnie wrogowie! - zapiszczał cesarz.

- Właśnie - ucieszył się moule, jakby udało mu się wreszcie przekonać wybitnie upartego i tepego bachora.

- I wszyscy muszą robić to, co ja chcę!

- Muszą - przytaknął moule. - W granicach rozsądku, naturalnie.

- A wrogów na wygnanie! - przypomniał jego cesarska moc. - Do skończonego zadupia!

To oświadczenie także zaskoczyło Snibrila - ich wioska nie była znowu takim zadupiem: ptaki przy niej w locie nie zawracały, a Pismire - w końcu też wygnaniec - się nie skarżył.

- Jestem głodny. Skonczylicie próbować?

- Nie do końca, sire.

- Ale prawie nic już nie zostało?!

- Trucizna może być nawet w ostatnim kęsie, jak truciciel jest sprytny - to brzmiało jak moul z pełną gębą.

- Też racja... - w głosie cesarza slychac było niepewność. - Nigdy nie ufalem tym kucharzom: za dużo im brak, żeby byli normalni. Ale galaretkę zostaw!

- Według życzenia, sire. I sadzę, że reszcie tej zupy też można zaufać...

Snibril był w lekkim szoku - spodziewał się, że cesarz nie jest specjalnie lotny, ale żeby aż do tego stopnia?! Szkoda było ratować takiego tepaka. Z drugiej strony tepy czy nie, był jednak cesarzem i chwilowo to było najważniejsze, tak przynajmniej powiedziałby Bane. Sytuację przeanalizował zgodnie z zaleceniami Pismire'a; Brocando na jego miejscu już by atakował z wrzaskiem, Glurk zaś zrobiłby to wcześniej, tyle że bez wrzasku.

Z nadzieją, że Mealy jest na posterunku, Snibril przystąpił do dzieła.

* * *

Bane wyrzwał za róg i machnął reka, by przywołać pozostałych.

- Przestan się konspirować! - obsztorcował go Pismire. - Jeśli będziemy się zachowywać tak, jakbysmy mieli święte prawo robić, co robimy, to wartownicy nie odwaga się nas zaczepić.

- Mam dość przemykania pod ścianami - zawtórował mu mały Wight. - Król nie powinien się tak zachowywać.

Bane bez słowa zdjął habit.

- W sumie to ci wartownicy przyjęli sytuację raczej dobrze - stwierdził Pismire. - Zwłaszcza w tych okolicznościach.

- W jakich okolicznościach? - zdziwił się Glurk.

- Zesmy im dale po głowie. Wyraźnie nie podobało im się to, co musieli robić, i pomysł związania przyjęli prawie entuzjastycznie.

- Ale nadal, ciemnie, wykonywali rozkazy - wtracił Brocando. - Co by się stało ze Zwinami, gdyby jak barany słuchali rozkazów?!

- Być może rzadziliby Dywanem - odpowiedział uprzejmie Pismire.

- Być może - zgodził się Brocando. - Kłopot w tym, że słuchanie rozkazów szybko uzależnia. A wszystko zależy od tego, kto rozkazuje.

Dotarli do kolejnego zalomu korytarza, za nim drzwi w ozdobnym, lukowatym portalu pilnowalo dwóch kolejnych wartowników. Glurk rzeczowo ujal pale.

- Nie! Tym razem zrobimy to po mojemu! - zdecydowal Bane. I spokojnie ruszyl w strone zolnierzy. - Baczosc! Prezentuj bron!... Dobrze. Chodźcie, panowie!

- Byl rozkaz nikogo nie wpuszczac... - mial watpliwosci jeden z wartowników.

- My nie jestesmy nikim - warknal Bane. - I to jest rozkaz!

- Tak jest! - Wartownik strzelil obcasami.

- Mnie tu nie ma, wiec do kogo mówisz? - spytal Bane.

Wartownik z traskiem przymknal szczeke.

- Doskonale! Panowie: za mna.

- Naturalnie to, ze nas tu nie ma... - zaczal Slepowron, ale Pismire zlupal go blyskawicznie za kolnierz i pociagnal za soba, dlawiac elokwencje w zarodku.

* * *

W komnacie byly cztery moule, z zaskoczeniem wgapiajace sie w nagle zmaterializowanego Snibrila. Byl tez mlodzian mniej wiecej w jego wieku, z oznakami dobrze rozwijajacej sie otylosci. Zaskakujace, ale mial znacznie krótszy czas reakcji niz moule - ze zdumienia przeszedl juz w zlosc.

- To nie kucharz! - zawyl z oburzeniem. - Co on tu robi?!

Snibril zlupal go za ramie.

- Idziemy... sire - polecil, po czym machnal mieczem w strone mouli i dodal: - Stosunek sil jest jeden do czterech, co znaczy, ze mam cztery razy wieksze szanse trafic któregoś z was niz na odwrót. W dodatku nikt z was nie wie, którego wybiorę.

Moule nie poruszily sie, za to jeden krzywo sie usmiechnal, a cesarz szarpnal sie w uscisku Snibrila, próbujac dac noge.

- Bardzo rozsadne posuniecie, sire - pochwalil usmiechniety moule.

- Jestem tu, by cie uratowac! - zdenerwowal sie Snibril. - Toz to sa moule, które niszcza Imperium!

- Imperium jest całkowicie bezpieczne! - oznajmil gładko cesarz.

- Tak? A Tapniecie to co?

- Jomarileesh i jego ziomkowie potrafia kontrolowac Tapniecie. Tapniecie atakuje tylko moich wrogów, prawda?

- Prawda, sire. - Jornameesh był wysoki jak na moula i sadzać po minie, zdecydowanie za sprytny.

- Tapniecie atakuje wszystko! - warknął Snibril.

- Co dowodzi, że mam wielu wrogów - wyjaśnił mu cesarz.

Moule bez ostrzeżenia ruszyły ku niemu i nagle sposób rozumowania Zwinnów nie był już tak atrakcyjny jak dotąd.

- Rzuć miecz i puść go - polecił Jornameesh. - Jak nie, to przywołamy Tapniecie.

- Zaraz, teraz? - upewnił się Snibril.

- Tak!

- A to sobie przywołujcie.

- Nie! - pisnął cesarz.

- Nie mogą, sire - uspokoił go Snibril, nie czując najmniejszego ucisku na czaszce. - To tylko pusta groźba. Oni nie potrafią przywołać Tapniecia; nikt nie potrafi.

Mając chwilę czasu, rozejrzał się po komnacie. W podłodze w jednym z rogów ziała wygryziona dziura i nagle wszystko stało się jasne.

- Przedostaliście się z Podspodzia, sprytnie - pochwalili. - Dumii słuchają rozkazów bez krzyku krytyki i wykonują je bez zastanowienia, toteż wystarczyło opanować źródło ich wydawania. A żeby tego dokonać, wystarczyło nastraszyć tego... tego idiota!

- Co?! - Obiekt krytyki poczerwieniał ze złości. - Ja cię kaze wy...

- Och, zamknij się!

Moule dobyły broni, nadal się zbliżając. W gruncie rzeczy przewagę miał jednak Snibril, każdy z nich bowiem czekał, aż któryś z pozostałych zacznie pierwszy. W końcu jeden zaczął. W prawdziwej walce wcale nie ma fechtunku ani finezji - realna walka na miecze przypomina spotkanie dwóch wiatraków, bo chodzi o to, by zabić lub poważnie zranic przeciwnika, nim jemu się to uda, a nie o to, żeby ładnie wyglądało. Tym razem wiatraków było pięć, toteż nikt nie był w stanie ich skoordynować, a momentami odgłosy przypominały kuznie na pełnych obrotach.

Snibril położył jednego moula, gdy drugi wrzasnął coś po swojemu i w dziurze pojawiły się dwa następne. Był już najwyższy czas, by wycofać się na z góry upatrzone pozycje. W tym wypadku upatrzona pozycja były drzwi, w które Snibril załomotał ile sił.

- Mealy! Otwieraj!

Drzwi otwarły się posłusznie, ukazując pustą komnatę. Nie zrażony tym Snibril wpadł do niej, ciągnąc za sobą cesarza. A za nim wpadły moule. Ostatniego ukryty za drzwiami Mealy rabnął toporem w leb, zmieniając z punktu układ sił. Kucharze, ukryci po obu stronach drzwi pod ścianami, weszli za nim, a raczej wkustykali, na pole bitwy.

- Chopy: ich czterech, nos siedm, trzech sie nie bawi - zdecydowal Mealy.

- Wiecej wylazi przez dziure w podlodze! - poinformowal go Snibril, nie puszczajac cesarza.

- Fajno!

- Co sie tu wyprawia...?! Dlaczego... - Cesarz juz nie byl zly: byl przestraszony i zdecydowanie mniej napuszony. W efekcie wygladal prawie jak czlowiek i przez chwile Snibrilowi zrobilo sie go zal.

W nastepnej chwili kucharze zakonczyli spotkanie wynikiem dwa do zera. Ostatnie dwa moule prysnely przez dziure w podlodze, omal sie przy tym nie zabijajac, i kucharze zostali panami pobjowiska. Dziure przykryto przewróconym drewnianym stołem na dwanasie osób i Mealy z zadowoleniem przyjrzał sie otoczeniu.

- No i to by bylo na tyle - stwierdzil. - Fajrant.

- Obawiam sie, ze to dopiero poczatek - sprowadzil go na ziemie Snibril. - Pod nami moze ich byc tysiac albo i wiecej...

- Wszyscy musza robic, co kaze! - wrzasnal nagle cesarz. - Ja tu rzadze!

Podoficerowie popatrzyli na niego z politowaniem.

- Powinnismy chronic cesarza - baknal jeden ze szczerza watpliwoscia.

- Gadanie - warknal Mealy. - Ka by my go wciepli w ta dziura, to jego kamraci tyz by go chronili, nie?

Cesarz spojrzal na niego nieco wyploszony, potem zerknal na Snibrila i znów na sierzanta kuchmistrza. Oczka mial swinsko-kaprawe, pasujace do charakteru.

- Straz! - zawyl nagle.

Ku zaskoczeniu wszystkich drzwi do jednej z komnat otworzily sie z trzaskiem, wpuszczajac uzbrojone postacie.

- Chce, zeby ci tu znalezli sie w lochu! - wrzasnal cesarz.

- Doprawdy? - spytal uprzejmie Bane. - A dlaczego?

* * *

Godzine później sytuacja wygladala nieco inaczej. Przede wszystkim w Ware znalazlo sie wojsko. Na pisemny rozkaz cesarza, zeby uniknac zbednych a rozwleklych z zasady wyjasnien. Cesarz podpisal go zupełnie dobrowolnie po zwiezlym wyjasnieniu Glurka, ze jak dobrowolnie nie podpisze, to bedzie mial okazje sie przekonac, co to sa „prawdziwe klopoty”.

A potem odbyla sie rada wojenna.

- Wiedzialem, ze to sie tak skonczy! - zagail Bane. - Kiedys cesarzy wybierano, dopiero Targon wprowadzil dziedziczenie funkcji, zeby zapewnic przyszlosc swojemu synkowi ofermie. I prawie nikt nie protestowal! Toz to prawie równie zle jak monarchia absolutna!

- Tego juz za wiele! - zdenerwowal sie Brocando.

- Przepraszam, masz racje. Zwinnowie przynajmniej maja królów od dawna, a ty jestes całkiem dobry w królowaniu.

- Moze byscie tak przestali sie klócić - zaproponowal Snibril. - Mielismy zajac sie tematem „Co knuja moule i co my na to”.

- Robia to, co zawsze ostatnimi czasy - stwierdzil Bane. - Czekaja na Tapniecie, zeby przelamac zdezorganizowana obrone. Tutaj po prostu zrobili sie troszke zbyt niecierpliwi.

- Moze tym razem bedziemy miec szczescie - odezwal sie Slepowron. - Naturalnie, mówiac „szczescie”, miałem na mysli...

- Nie bedziemy mieli - przerwal mu Pismire. - Wioska, Karkolom i Ware leza w linii prostej, jak wynika z mapy.

- A to cos znaczy? - zainteresowal sie Snibril.

- Nic dobrego - wyjasnil Pismire. - A w ogóle gdzie cesarz?

- Glurk i kucharze zamkneli go w piwnicy. Najwyzej sie ozlopie - wyjasnil dla odmiany Bane. - Jak sobie popije, przestanie wrzeszczec, a wypic lubi. A co do zbrojnych, mamy wszystkich mniej niz tysiac piecset.

- Dojdzie troche niewprawnych rekrutów, ale czesc wojska odejdzie, bo starców, kobiet i dzieci nie da sie zostawic bez opieki. Wszystkich trzeba wyprowadzic z miasta, bo z tego, co widzialem w Tregon Marus, wynika, ze kto zostanie, dlugo nie pozyje. A gdy sie ich wyprowadzi, trzeba ich bedzie pilnowac - podsumowal Pismire.

- Nie trzeba - sprzeciwil sie Brocando. - Wystarczy uzbroic kobiety.

- Zarty na bok! - parsknal Bane. - One nie wiedza, jak sie walczy.

- Nasze wiedza!

- Taak? A z kim?

- Z nami - przyznal nie zmieszany Brocando.

- On moze miec racje - odezwal sie Pismire. - Moja babcia miala krzepe jak zapasnik. Taki moul dlugo by lecial, gdyby go strzelila na odlew w pysk.

- Zabraniam! - uniósł sie Bane. - Walczace kobiety to nie wojna, tylko wiejskie wesele! Brocando: masz zadanie zapewnic im całkowite bezpieczenstwo, ale bez zadnych głupich pomysłów. I zeby nie bylo zadnych niejasności, zgoda?! Poza tym one nie maja zielonego pojecia o taktyce!

- Moze nie musza. - Brocando usmiechnal sie i widzac mine generala, dodal pospiesznie: - Dobrze, juz dobrze. Rozumiem. Zadnych walczacych kobiet - obiecal, tylko usmiechal sie przy tym jakos dziwnie.

- Doskonale. Zreszta i tak nie mielibysmy ich w co uzbroic - mruknal Bane.

- W palacu jest zbrojownia! - przypomniał Slepowron.

- A w zbrojowni jedynie dziura w podlodze! - rzekl Bane. - Moule wyniosly cala bron i spozytkuja ja na nas!

- No, cóz... - zaczal Brocando.

- Zdaje sie, ze zamierzasz zasugerowac, iz najprosciej byloby zdobyc potrzebna bron na moulach? - spytal lodowato Bane.

- No, cóz...

- No i nic. Jest ich zbyt wielu wokól nas i pod nami i tylko czekaja na nasz blad. Jesli go nie popelnimy, zaatakują zaraz po Tapnieciu, a na to bedziemy przygotowani. Nie ma sensu niepotrzebnie ryzykowac - zdecydowal Bane i dla podkreslenia swych słów uderzył piescia w stól.

- Moge w tym pomóc - powiedzial niespodziewanie Snibril, zwracajac ogólna uwage. - Potrafie wycucz zblizanie sie Tapniecia. Później niz moule, lecz szybciej niz zwierzeta. A to da nam czas na ewakuacje Ware.

- Prawda - przyznal Careus. - Sam widzialem.

- To faktycznie moze pomóc - przyznal bez przekonania Bane.

- Nie rozumiesz - poinformowal go Snibril. - Co moule robia przed Tapnieciem?

- Skad mam wiedziec? Moze pija, moze spia, moze leza, zatykajac sobie uszy, jesli maja krzytne zdrowego rozsadku. Nie jestem Wightem...

- Dobra, nie jestes - zgodzil sie Snibril. - A czego moule spodziewaja sie, atakujac?

- Znalezc zdemoralizowanego, poranionego i zdeorganizowanego... - Bane umilkł, by po chwili dodac: - Wiesz, to sie moze udac. Ostrzezony - uzbrojony!

Zapadla cisza, gdy reszta przetrawiala nowiny.

- Dobrze - przerwal ja Brocando. - Ale moze mi ktos wyjasni, co ma do tego wszystkiego fryzjer? Dlaczego mamy sie dac ostrzyc?

Wygrali.

I to było mniej więcej wszystko, co napisano potem w rozmaitych monografiach i innych podrecznikach historycznych powstałych po odbudowie Ware, nazwanego Nowym Ware. Zdecydowanie ważniejsze było wybranie Bane'a na prezydenta. Był doskonałym kandydatem: uczciwy, odważny i zupełnie pozbawiony wyobrazni, dzięki czemu godny zaufania według Dumii. Poza tym ci, którzy pisali owe monografie czy inne podreczniki, byli nieobecni w czasie bitwy.

Tak zreszta zawsze jest z autorami dzieł historycznych.

* * *

Pierwsza sprawa była bron.

Tym zajął się Mealy, zaczynając od włóczni. Jak się solidnie przywiąże kuchenny nóż do kija od miotły, to nie ma wielkiej różnicy. Zwłaszcza dla tego kto stoi po stronie ostrza. Jeśli nabije się kawałek niegrubego włosa gwoździami, otrzymuje się maczugę zdecydowanie nieekskluzywną, można nią bowiem przyłoić każdemu. A kuchennych noży, kijów od miotel czy gwoździ w mieście nie brakowało.

Druga sprawa było wyszkolenie.

Tym zajęli się sierzanci oraz Glurk, który według opinii Mealy'ego był urodzonym sierżantem, cokolwiek by to znaczyło. Dzięki ich entuzjazmowi praktycznie nie widziało się w mieście mężczyzn poza starszami i zupełną smarkateria.

Trzecia sprawa były kobiety i dzieci.

Opiekę nad nimi przejął dziwnie nie protestujący Brocando. Odsuniecie go od największej bójki w okolicy powinno obrodzić lawiną zazalen, oszczerstw i grózb, a tymczasem wydawał się z tego zadowolony. Snibril miał na ten temat swoją teorię, ale z różnych względów wołał jej nie rozgłaszać.

Czwarta sprawa była taktyka.

Tym zajął się osobiście Bane, miotając się od narady do musztry i od mapy do inspekcji prac ziemnych pociąganych wykonywanych w pobliżu murów.

Żeby nie powstała piąta sprawa, Pismire spacyfikował Slepowrona.

Dokonał tego, grając z nim w dziwną grę polegającą na przesuwaniu miniaturowych żołnierzyków po pokratkowanej i pomalowanej na dwa kolory planszy. Gra była nienerwowa, a długo trwała, dzięki czemu Slepowron nie miał ani czasu, ani okazji przysporzyć kłopotów albo narozrabiać w inny nieprzewidziany sposób, do czego miał talent.

Pozostawiony bez zajęcia Snibril plątał się samodzielnie niczym smród za wojskiem.

* * *

Pewnego ranka Bane i Snibril stali na barbakanie chroniacym główna brame, przypatrując się włosom. Stanowisko to było stale obsadzone i wyposażone w róg sygnałowy, by ostrzec miasto w razie niespodziewanej napasci. Napasc taka nie zdarzyła się od bardzo dawna, ale Dumii byli przywiązani do tradycji.

- Nie ma co mezczyć wzroku - stwierdził Snibril. - Patrole jak dotąd nic nie znalazły, a następne są właśnie wśród włosów.

- Nie wypatrywałem mouli.

- A czego?

- Co? Och, niczego... - mruknął nieco zmieszany Bane.

- Postaci w bieli. - Snibril się uśmiechnął. - Też ja widziałem...

- Musi obserwować, jeśli chce, by coś się zmieniło... - Bane wyprostował się. - Jest zbyt spokojnie. Nie podoba mi się to!

- Wole, jak jest za cicho niż za głośno: przynajmniej w pobliżu się nie biją.

- Jak twoja głowa?

- Na miejscu i bez zajął.

- Hmmmm.

Specjalne fortyfikacje otaczające miasto były prawie gotowe dzięki wysiłkom wszystkich, których tylko można było do ich kopania zagonić. Była to sieć wrytych w kurzu okopów z ładnie usypanym przedpiersiem. Trudno ją było dostrzec nawet ze skraju włosów, a teren był regularnie patrolowany. Moule nie powinny nic o niej wiedzieć.

- Na początku fosa i wał stanowiły jedyną obronę Ware - odezwał się Bane. - A wokół byli sami wrogowie.

- Ciekawe, czemu to moule chcą nas zniszczyć...

- Każdego coś pcha do działania...

- Jesteśmy gotowi. Wszystkie dziury zostały zatkane, cesarz siedzi w lochu... Teraz możemy tylko czekać... Ciekawe, co będzie potem...

- Myślisz, że będzie jakies potem? - zainteresował się Bane.

- Zawsze jest jakies potem. Glurk mówił, że to właśnie wam powiedziała Culaina. Trzeba się tylko postarać, żeby to potem było takie, jakie chcemy. - Snibril potarł czoło, które zaczęło go swędzić.

- Nie możemy być gotowi w nieskończoność... - zaczął gderać Bane.

Snibril potarł ucho.

- Bane...

- Z tego, co mówiłeś, wynikało, że Wightowie nam pomogą, a tymczasem po prostu uciekli...

- Bane...!

Bane czym prędzej się odwrócił.

- Dobrze się czujesz?

Snibril miał wrażenie, że coś mu przyprasowuje uszy do głowy.

- Tapniecie? - upewnił się Bane.

Snibril łagodnie skinął głową, mając wrażenie, że ta za chwilę mu odpadnie.

- Ile mamy czasu?

Snibril pokazał mu pięć palców i Bane rzucił się ku wiszącemu na murze instrumentowi. Gdy wien dmuchnął, pierwsza wydobyla się z rogu chmura kurzu. Następne dmuchnięcie dało przerazliwy dźwięk znany jako „sygnał alarmowy”.

Jak zwykle, gdy od dawna wiadomo, że istnieje jakiś sygnał alarmowy i ludzie wiedzą, jak on brzmi, to nie mają prawa zachowywać się właściwie, gdy go w końcu usłyszą. Z zasady laza jak stado baranów, zadając całą masę głupich pytań, jak na przykład:

„Ktos się chyba wyglupia?!”

„Co to było?!”

„Kto się bawi sygnałównką?!”

„Znowu ten cholerny próbny alarm?!”

Tak właśnie zareagowali mieszkańcy Ware, doprowadzając Bane'a prawie do apopleksji.

- Durnie! - ryknął, aż echo poszło. - To nie ćwiczenia, tylko prawdziwy alarm!

Na dole zapanowała cisza.

A potem rozpetalo się piekło aktywności - zupełnie jakby ktoś wsadził kij w mrowisko.

Snibril osunął się na kolana, nie zwracając uwagi na tumult i krzyżujące się w powietrzu rozkazy:

- ...drużyna trzecia na główny plac! Trzymać się z dala od budynków!

- ...bandaż! Który cymbał zabrał opatrunki?!

- ...i pamiętać, że mogą wyleźć z dołu!

Snibril zaczął nabierać pewności, że ma płaską głowę. Co nie zmieniało faktu, że w końcu instynkt samozachowawczy miał dość i przejął nad nim kontrolę, zmuszając go do zejścia - a raczej zjechania - z drabiny prowadzącej prosto do miejsca, w którym przywiązał Rolanda. Wcześniej przygotowana drabina okazała się zbawieniem, do schodów bowiem nie byłby w stanie dotrzeć. Z najwyższym trudem odwiązał wodze i wgramolił się na grzbiet wierzchowca. Resztę zrobił już Roland - dołączył do wylewającej się przez brame ludzkiej rzeki.

Mniej więcej w tym samym momencie, czując zbliżające się niebezpieczeństwo, zaniepokoiły się zwierzęta. Zatrąbił jakiś ponia, zawtórowały mu inne, a do koncertu dołączyło rzenie koni i wycie psów.

Budynki zaczęły łagodnie drzeć, a otaczające miasto włosy przyginać się (chwilowo jeszcze bezdzwicznie).

A potem zatrzeszczało i zaskrzypiało, gdy tysiące włosów zgięły się prawie w pół, jakby pod olbrzymim ciężarem. Centrum Tapniecia stanowiło Cesarskie Ware.

Ludzie nie potrzebowali lepszej motywacji - wypadali z miasta tak szybko, jak to było możliwe, byle dalej od budynków. Tempo mieli takie, że dotrzymywali kroku Rolandowi, który wypadł z bramy klusem...

Ziemia uniosła się, uderzając od spodu w domy, rzeźby i mury, które z trzaskiem zaczęły pekać i zmieniać się w gruzy. Z wyraźnym pyknięciem słuch Snibrila wrócił do normy, a głowa do okrągłości. Rozejrzał się z ulgą, ponownie zdolny do myślenia. Ware spowiła chmura kurzu wzbitego przez rozlatującą się zabudowę. Mury obronne rysowały się, pekały i waliły w gruzy, ale prawie wszyscy zdolali się wydostać na czas. Grupa żołnierzy, zgarniając przed sobą maruderów, wypadła za brame. Za nimi barbakan rozsypał się w malownicze rumowisko.

Wyglądało to zupełnie tak, jakby Tapniecie chciało zabić i zniszczyć serce Imperium, a przecież Pismire uważał, że jest to zjawisko naturalne, żywioł. Nie zbadany, ale naturalny jak słońce czy wiatr. Świadomość, że można zostać zabitym przez coś, co nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, nie była miłą, ale Snibril nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać, gdyż zagalopował się zbyt blisko włosów.

Z których właśnie wyroiły się moule.

Osadził Rolanda gwałtownym szarpnięciem wodzy, zawrócił w miejscu i pognął z powrotem do Ware. Gdy wierzchowiec przeskoczył nad okopem, z rowu wyjrzała głowa Bane'a.

- Sa ich tysiące! - sapnął Snibril.

- Strach utrudnia liczenie. - Bane był nieporuszony. - Poczekaj, aż beda bliżej.

Snibril zsiadł, przegonił konia kłapsem i osunął się w wykop, którego załogę na tym odcinku stanowili łucznicy XV Legionu. Żołnierze spokojnie obserwowali zbliżającą się, wyjąca czarna scianę.

- Sierzancie Careus, niech ludzie się przygotowują! - rozkazał Bane. - Strzelac dopiero na mój rozkaz.

- Tak jest, panie generale!

Snibril rozróżniał już poszczególnych napastników.

- Jeszcze nie - mruknął Bane, widząc jego pytające spojrzenie. - Pierwsza salwa jest najważniejsza.

Nagły ruch z tyłu zwrócił uwagę obu, toteż odwrócili się jak na komendę - biało ubrana postać stała nieruchomo, wpatrując się w nadciągającą horde. A potem zniknęła.

- Sierzancie Careus - odezwał się Bane, niegłośno, lecz donośnie. - Teraz!

Careus uśmiechnął się radośnie i wyprostował.

- Tak jest! Pierwszy pluton gotuj luki! Naciągac... puszczaaj! Pluton drugi wystap! Naciągac... puszczaaj! Pluton pierwszy...

Niewielu miało okazję opisać imperialnych łuczników w boju, choć występowali często. Większość bowiem tych, którzy widzieli, było po stronie celów, a chmura zbliżających się strzał wpływała zdecydowanie niekorzystnie na talenty pisarskie. Technika Dumii była prosta - łucznicy nie musieli być snajperami, za to powinno ich być dużo i musieli być doskonale wycwiczeni, by od pierwszego zwolnienia cieciv przeciwników zasypywał nieustający grad strzał. W tym akurat wypadku ilość zdecydowanie górowała nad jakością - w tłum szarżujących po prostu nie sposób było nie trafić.

Z pola rozległo się wycie, dość gwałtownie przerwane - pierwsze szeregi padły przebite strzałami, a reszta musiała się przedzierać przez wyłączonych z walki.

Tu atak został załamany, toteż Careus zostawił na wszelki wypadek drużyny lepszych strzelców, by wybierali konkretne cele, a sam z resztą pośpieszył sprawdzić, jak poszło gdzie indziej. Snibril pośpieszył z nimi.

Tylko w jednym miejscu moule dotarły do okopów i toczyła się tam walka wręcz. A raczej dwie walki: w pierwszej Zwinnowie walczyli z moulami, w drugiej Zwinnowie tłukli się ze sobą o dostęp do mouli.

Zwinnowie od dawna mieli opanowaną technikę walki z wyższym przeciwnikiem (badz co badz wszyscy ich przeciwnicy byli wyżsi, i to dwa do trzech razy). Otóż błyskawicznie wdrapywali się na przeciwnika, aż znaleźli się na wysokości jego ramienia, po czym trzymając się kurczowo jedną ręką, walczyli drugą. W praktyce wyglądało to tak, jakby polowa mouli próbowała się dziabnąć w głowę.

* * *

Dwie szarże później do mouli dotarło, że bitwa nie przebiega tak, jak powinna. Zrobili więc przerwę i przegrupowali się na skraju włości. Pole zasłane było trupami tak ich, jak i snargów, ale wciąż było ich zdecydowanie za dużo.

- Moga sobie tak walczyć cały dzień! - ocenił pogardliwie Brocando.

- Oni moga, my nie - odparł Bane.

- A to dlaczego? Strat prawie nie poniesliśmy!

- W sile żywej, gorzej ze sprzętem. Chcesz się tam przespacerować i poprosić moule, żeby nam oddały

strzaly? - spytal zgryzliwie Bane. - Tych, które mamy, wystarczy na jedna szarże. A potem będzie walka wręcz, oni zaś mają znacznie więcej rak niż my. Jest ich więcej i będą mieli lepszą broń, gdy skończą się nam strzaly.

- Doskonale! - ucieszył się Brocando. - Lubie wyzwania!

- Chyba zaczynają następny atak! - stwierdził Snibril, obserwując przedpole. - Nie, tylko paru tu jedzie...

W ich kierunku dreptało niespiesznie pół tuzina snargów z jeźdźcami. Moule zatrzymały się w połowie drogi do ruin Ware.

- Chca pogadać - ocenił Bane.

- Można im zaufać? - zaniepokoił się Glurk.

- Nie.

- To dobrze. Nienawidzę ufać takim jak oni.

- Ale porozmawiać można - dodał Pismire. - Rozmowa przeważnie daje korzyści.

Tak więc rada w radę wyjechali moulom na spotkanie.

Przywódca mouli był Jornameesh, tyle że w koronie z kryształu soli. Wyglądał i zachowywał się znacznie bardziej władczo niż poprzednio. Bane jednak zainteresowany był innym członkiem delegacji - Gormaleeshem.

- No? - zagaił Bane bez ceregieli. - Co macie do powiedzenia?

- Nazywam się Jornameesh - oznajmił prawie cesarskim tonem dowódca mouli. - Oferuję wam pokój. Nie możecie wygrać, a czas pracuje dla nas.

- Mamy masę ludzi i broni, więc nie widzę powodu, byśmy nie mieli wygrać.

- A jedzenia też macie masę?

Bane zignorował pytanie i spytał:

- Jaki rodzaj pokoju proponujesz?

- Rzucicie broń, a potem ustalimy detale.

- Najpierw mam rzucić miecz, tak? - upewnił się Bane, zupełnie jakby poważnie rozważał propozycję.

- Tak! - Jornameesh przyjrzał im się po kolei z lekką pogardą. - Ani ty, ani pozostali nie macie wyboru: albo przyjmiecie moje warunki, albo zginiecie. Wy zaraz, reszta wkrótce.

- Bzdury! - warknął Snibril. - I kłamstwa! Tak samo jak w Karkolomie i Wysoczyźnie.

- Rzucić miecz... - powtórzył Bane. - Całkiem atrakcyjny pomysł... - Powoli wyjął miecz z pochwy,

trzymając go tuż przy jelcu za ostrze. - Gormaleesh?! - zawołał, po czym błyskawicznym ruchem uniósł ramię i cisnął. Miecz ze swistem przeciał powietrze i wbił się w szyję moula. Gormaleesh zwałił się bezgłośnie z siodła. - Taak... - Bane popatrzył z zadowoleniem na swoje rekodzielo. - Tak rzucamy bron w Ware. Ostrzegalem go, że jak się następnym razem spotkamy, to go zabije. Widac nie miał instynktu samozachowawczego.

Po czym zawrócił konia i pognął w stronę miasta, a pozostali za nim.

Na placu pozostało pięć mouli. Jornameeshowi nie drgnęła nawet powieka.

- Zaskoczyłeś mnie - przyznał Pismire. - Dumii z zasady się tak nie zachowują.

- Jego też zaskoczyłem. Poza tym wy byliście tylko zaskoczeni, a Gormaleesh wyciągał miecz. Zauważył to któryś?

- Przygotowujecie się do następnej szarży - oznajmił Glurk.

- Az dziw bierze, że nie spróbowali ataku z Podspodzia - zauważył Pismire.

- Spróbowali - w głosie Glurka była czysta satysfakcja. - Wyszli pod kompania Mealy'ego. - Drugi raz nie spróbowali.

- No cóż, postaramy się, by zapamiętali te szarże. - Bane zsiadł z konia przy okopach. - Powiedźcie Wielgozorowi, aby przygotował swoich. Tym razem użyjemy wszystkiego, co mamy!

- Wszystkiego?! - ucieszył się Brocando bez wyraźnego powodu i odjechał na tyły.

Teraz mogli jedynie czekać.

- A tak w ogóle - przypomniał sobie Snibril - to ile mamy żywności?

- Na cztery do pięciu posiłków - odruchowo odparł zamysłony Bane.

- Faktycznie niewiele.

- Może się okazać, że będzie jej aż za dużo.

- Czekanie zawsze jest najgorsze - westchnął Pismire po dłuższej chwili.

- Nie jest - sprzeciwił się Slepowron, któremu profilaktycznie nie dano miecza, żeby kogoś nie skaleczył. - Najgorsze to zostać posiekany albo skłuty dzidami. Czekanie jest tylko nudne. Mówiac „nudne”...

- Ruszyli! - przerwał mu Glurk, łapiąc włócznię.

- Przegrupowali się, żeby przełamać obronę w jednym miejscu - stwierdził rzeczowo Bane. - Panowie, mamy pecha: przełamują tutaj! Ma może ktoś zapasowy miecz?

* * *

Pismire twierdził, że bitwa to zwaly trupów i ogólny zamet. I tak też to wyglądało, gdy lucznikom zabrakło strzał. Walka wręcz, szarże, kontrataki i przeciwuderzenia. Historycy później porysowali eleganckie mapki, zaznaczając szczególnie istotne epizody: tu Zwinnowie zaskoczyli wycieczający odwód mouli i wyrzneli go do nogi, tu zbieranina Mealy'ego została okraszona i spotkałby ją ten sam los, gdyby nie desperacka szarża Munrungów i stada pod dowództwem Wielgozora, tu Bane załatwił zastępcę Jornameesha, likwidując wylom, a tu Slepowron ubił snarga posłanca (przypadkiem), dzięki czemu nie nastąpiło przegrupowanie i kolejny atak mouli się załamał.

Mapy narysowane po fakcie - jak to mapy - oddają przebieg bitwy, ale nie są w stanie oddać strachu, podniecenia czy bohaterstwa, które często od tchórzostwa dzieli ledwie krok. Potem zawsze jest milczenie. W dodatku w trakcie walki większość jej uczestników i tak nie wie, co się dzieje dalej, niż są w stanie zobaczyć. O tym, kto wygrał, dowiadują się przeważnie, gdy opadnie kurz i podliczy się, kto przeżył i gdzie...

Snibril zrobił unik i pchnął. Moul zwałił się bezgłośnie z rozplataną szyją. Co i tak niewiele zmieniło, mouli bowiem było wokół pełno. Ciało następnego przez brzuch, przeskoczył przez drgające ciało i niespodziewanie znalazł się na kawałku otwartej przestrzeni. Otaczały go moule z uniesionymi mieczami...

- Stac! - Jornameesh uniósł dłoń. - Jeszcze nie. Dopilnujcie, żeby nam nikt nie przeszkadzał... To ty próbowałeś uratować to miasto zwane cesarzem. Jestem ciekaw, dlaczego wciąż walczyacie. Wasze miasto zostało zniszczone. Wygrać nie możecie, a nawet gdyby wam się udało, to nie macie do czego wrócić.

- Ware będzie naprawdę zniszczone, kiedy przestaniemy walczyć. A ruiny można odbudować.

- Odbudować, powiadasz? Hm... no, niech będzie. A to pierwsze? Jak to możliwe?

- Bo Ware jest wszędzie. Ono jest... wewnątrz ludzi!

- Aha! - ucieszył się moul. - A to zaraz sprawdzimy dokładnie gdzie.

Za nim nagle coś zatrabiło i grupa rozprysła się, gdy przegalopował pone. Snibril otrząsnął się i dołączył do walki.

Przegrywali - na miejsce każdego zabitego moula zjawiało się dwóch następnych. Było ich po prostu zbyt wielu. Snibril stoczył się w dół i wstał. W pobliżu Bane odcinał się dwóm przeciwnikom, a raczej kończył się odcinać - jeden moul właśnie walił się na ziemię, a drugi już był martwy, tylko jeszcze o tym nie wiedział. Dotarło to don, gdy nogi się pod nim ugięły - stał w kałuży własnej krwi.

- Przegrywamy - wychrypiał Snibril. - Potrzebujemy cudu!

- Cudami nie wygrywa się wojen - oświecił go Bane, widząc trójkę nowych przeciwników wylaniających się zza zrujnowanego budynku. - Wojnę wygrywa się zaskoczeniem albo przewagą liczebną...

Za nimi zabrzmiała trabka, niezbyt składnie, za to radośnie. Moule wrosły w ziemię, a Snibril i Bane odwrócili się zaskoczeni. Spomiędzy ruin wylonila się dumnie armia. Nie była oszalamiająco wielka, za to zdeterminowana. Na jej czele maszerował Brocando wykrzykujący ostatnie instrukcje:

- Madame! Proszę łaskawie trzymać za drugi koniec! Drogie panie, nie pchajcie się tak: mouli starczy

dla wszystkich! Ostrożnie z tą włócznią, bo kogoś pani uszkodzi...

- Przecież o to chyba chodzi, młody człowieku? - zdziwiła się starsza i elegancka niewiasta, która nie powinna znaleźć się bliżej jak mile od pola walki.

- Chodzi, droga pani, ale dokładniej o to, żeby uszkodzić przeciwnika, nie siebie, a pani jest łaskawa trzymać tę dzidę drzewcem do przodu. Proszę ją uprzejmie odwrócić. O, ten ostry koniec to jest grot. Teraz dobrze.

- W takim razie proszę się odsunąć, młodzieńcze, żeby wreszcie mogła go użyć!

Moule spoglądały na to w zupełnym osłupieniu, dzięki czemu obrońcy zdolali nieco wyrównać dysproporcję sił. Gdy się ocknęły, było już za późno - damski odwód dotarł już do pierwszej linii.

Kobiety nie były dobrze wyszkolone - bądź co bądź Brocando nie miał na to zbyt wiele czasu i nawet pomoc Mealy'ego nie mogła tu wiele pomóc, ale to właśnie, po entuzjazmie, było ich głównym atutem. Żołnierze walczyli w określony sposób. Sposób był skuteczny, ale przewidywalny, gdyż armia nie popierała nowinek. A te właśnie improwizowały niewiasty. Otóż można sparować cios włócznią, ale mając uprzednio do czynienia z Dumii, nikt się nie spodziewa, że dostanie drzewcem po łydkach, a jak będzie padał, to go przysypła do ziemi. A tak właśnie walczyły podopieczne Brocanda. Walczyły brzydko, ale skutecznie.

Tyle, że na dłuższą metę i to okazało się niewystarczające - kolejny atak zepchnął obrońców w ruiny miasta.

* * *

Ukryta w gestwinie Culaina obserwowała to z ponurą miną. Przemieszczając się bez poruszania, mijając przeszłość za przyszłością, a wszystkie były takie same: moule zwyciężyły, wyrzynając obrońców. Ostatnia szansa cywilizacji Dywanu przepadła. Nagle znalazła jedną, w której tak się nie stało. Zazwyczaj przyszłości chadzały stadnie (a już co najmniej parami), a ta była pojedyncza. Sierota. Prawde mówiąc, w ogóle nie miała prawa istnieć. Była to ta jedna szansa na milion, że moule jednak przegrają.

Dumii byli dziwnym narodem - przekonani o swej rzeczowości i przeciętni, praktyczni jak szpadel, o wyobraźni na poziomie młotki, a mimo to w świecie pełnym chaosu i rzeczy, których nawet nie próbowali zrozumieć, zachowywali się, jakby naprawdę wierzyli we własne wynalazki. Jakby takie rzeczy jak „prawo” czy „sprawiedliwość” faktycznie mogły istnieć i działać. A mieli zbyt mało wyobraźni, by zdać sobie sprawę, jak naprawdę urządzony jest ten świat. Najbardziej zaskakującym było to, że mieli w ogóle jakąś szansę na przyszłość.

Culaina uśmiechnęła się, sprawdzając, jak ta szansa wygląda.

Gdyż to, czego jest się świadkiem, można zmienić...

* * *

Moule wycofały się po raz kolejny.

Nikt nie miał wątpliwości, że jedynie w celu przegrupowania. Obroncy i tak nie mieli żadnej drogi odwrotu. A Jornameesh należał do osobników, którym oczekiwanie przy pewności zwycięstwa sprawia przyjemność.

Snibril odnalazł Glurka i Bane'a siedzących w cieniu jakiejś ruiny. Widac było, że obaj mają dość. Starsza, dystygowana dama opatrywała ramię Glurka czymś, co do niedawna musiało być elegancka halka.

- No, cóż... - westchnął, opadając przy nich na ziemię. - Przynajmniej skończymy, walczyć... Historia powinna to docenić.

- Siedz spokojnie! - fuknęła dama.

- Wątpię, by moule interesowały się historią. - Bane otworzył jedno oko. - A to oznacza koniec ksiąg i koniec historii...

- Jakos tak właśnie to jest najgorsze - przyznał Snibril.

- Przepraszam - odezwała się dama. - Jestem lady Cerilin Vortex, wdowa po majorze Vorteksie...

- Pamiętam go. - Bane otworzył drugie oko. - Doskonały żołnierz.

- Dziękuję. Chciałam tylko powiedzieć, że brak historycznych ksiąg nie jest najgorszy, najgorsze jest prawdopodobnie umieranie. Historia potrafi zadbać o siebie.

- Jesteśmy ogromnie... wdzięczni... za waszą pomoc, madame - wykrztusił Bane.

- Nie pomogliśmy! - poprawiła go lady Vortex. - Wzięliśmy udział!

Snibril rozejrzał się dokoła. W zewnętrznym pasie ruin wszędzie praktycznie siedziały mniejsze lub większe grupy obrońców, opatrując rany i wypoczywając. Nigdzie natomiast nie było widac Pismire'a czy Brocanda.

Wśród mouli zapanowało lekkie poruszenie.

- Znow leża! - obwiesił Snibril z westchnieniem.

- Historia, co? - parsknął Glurk. - To się chyba nazywa ostatnia reduta.

Lady Vortex rzeczowo złapała za miecz.

- Zobaczymy, czy ostatnia! - warknęła tonem jasno wskazującym, że pierwszy moul, który ją spotka, będzie pechowym moulem, i dodała, patrząc na Bane'a: - Kiedy skończy się to szalenstwo, młody człowieku, będziemy musieli poważnie porozmawiać! Też byśmy miały ochotę mieć jakąś przyszłość...

Moule z wrzaskiem ruszyły do ataku.

Tyle że jakos tak na pół gwizdka - ci z przodu nadal biegli, wrzeszcząc, ale coraz więcej tych z tyłu zwalniało i wrzeszczało jeden do drugiego, oglądając się za siebie. W efekcie po parunastu sekundach

zamiast ataku przedpole pełne było krecących się bez sensu mouli.

Obroncy przyglądali się temu w osłupieniu.

- Co im się stało? - zdumiał się Glurk.

- Coś jest we włosach... - odparł Snibril, wytezając wzrok.

- Więcej mouli.

- Watpie... chyba się biją... czekajcie... to Wightowie! Cała masa Wightów! Właśnie zaatakowali moule!

- No to mamy jedną szansę. - Bane nabrał powietrza w płuca i ryknął: - Do ataku!

Moule, zaskoczone i zdeprymowane nagłym atakiem Wightów, straciły ducha do walki. Gdy zobaczyły atak obrońców, których uważały za praktycznie pokonanych, poszły w rozsypkę. Wightowie walczyli, jakby niczym innym w życiu się nie zajmowali, a do tego najlepsza broń, jaką zdołali stworzyć. Cieli z chirurgiczną wręcz precyzją albo jak ktoś, kto właśnie znalazł nowy cel w życiu. Moule po prostu nie miały żadnych szans.

I wiedziały o tym.

* * *

Po wszystkim okazało się, że zginął Athan. Ale przynajmniej zginął, nie wiedząc o tym, a dzięki niemu na polu bitwy pojawili się Wightowie z całego Dywanu i przeważyli szale zwycięstwa. Świadomość, że Przeznaczenie nie jest czymś stałym, a przyszłość można zmienić, spodobała im się wręcz niesamowicie.

Głównie dlatego, że nigdy dotąd nie przyszła żadnemu z nich do głowy.

* * *

Było po bitwie.

Cesarza nie udało się znaleźć, ale też nikt specjalnie się o to nie starał. Nikt też nikogo nie pytał, ale wszyscy uznali, że powinien rządzić Bane. Wygrana bynajmniej nie oznaczała końca problemów, lecz raczej ich początek. Najpilniejsza była kwestia wyżywienia kilku tysięcy ludzi pozbawionych dachu nad głową i w znacznej części rannych. Naturalnie nie wybito wszystkich mouli - niedobitki pierzchnęły we wszystkie strony, a obrońcy byli zbyt zmęczeni, by daleko ich gonić. Imperium praktycznie leżało może nie w gruzach, ale w kawałkach. No i pozostała jeszcze kwestia Wysoczyzny.

Problem żywności rozwiązał Glurk. Jedzenia starczyłoby na jeden posiłek, lecz Glurk słusznie zauważył, że jak okiem sięgnąć, leżały zabite snargi, stanowiące doskonały półprodukt spożywczy, i bez sensu byłoby pozwolić mu się zmarnować.

Bane spędził cały dzień - a raczej to, co z niego zostało - w nieco mniej zrujnowanym fragmencie palacu, wysłuchując nie kończących się list problemów i z rzadka wydając zwieszle rozkazy. Jednym z pierwszych było wysłanie kompanii do Karkolomu po wozy Munrungów.

A potem przyprowadzono Jornarileesha.

Miał rane od pchnięcia włócznią, ale nie był umierający. A znaleźli go oprawiający snargi na pobojuwisku i rada w radę, zamiast ubić od reki, przywlekli do Bane'a.

- Zgodnie ze starym zwyczajem powinniśmy go uczciwie osadzić - oświadczył Pismire.

- A potem sprawiedliwie obwiesić - dodał Glurk.

- Nie mamy czasu na rozrywki. Jornarileesh?

- Pokażę wam, jak potrafi umierać moul - oznajmił dumnie zapytany.

- To już widzieliśmy, lecz po pierwszym tysiącu nas znudziło - osadził go Bane. - Nie o to mi chodzi. Chcę wiedzieć, po co wyszliście na nas napadli? Dlaczego to wszystko?

- Służymy Tapnieciu! Tapniecie nienawidzi życia na Dywanie!

- Kto ci takich głupot naopowiadał?! - zdumiał się Pismire. - Tapniecie to zjawisko naturalne, choć właściwiej byłoby je zwąc kataklizmem. Mało zbadane, prawda, ale w końcu podda się naukowej obserwacji i dedukcji.

Jornarileesh warknął na niego w odpowiedzi.

- Znajdźcie jakiś cały loch i wrzucie go tam - polecił Bane. - Jak będę miał czas, to z nim pogadam.

- Watpie, by został jakiś cały loch - zauważył Glurk.

- To niech go zbuduje, a potem go tam wsadźcie.

- Powinniśmy go zabić - upierał się Glurk.

- Nie powinniśmy. Jesteśmy pod zbytnim wpływem Brocanda.

- A dlaczego nie powinniśmy?! - rozindyczył się Brocando. - On by nas...

- Bo nieważne, co on by i czym on jest! Ważne, kim my jesteśmy!

Wszyscy się odwrócili i dopiero wówczas do Snibrila dotarło, że to on tak wrzeszczy.

- Dlatego zbudowano Ware - dodał ciszej. - Bo ludzie mieli dość ciągłych walk i obaw o przyszłość. Tak powstało Imperium i dlatego było potrzebne.

- Myszmy nigdy nie należeli do Imperium! - napuścił się jeszcze bardziej Brocando.

- Tak? A jak przyszło wybierać, to po czyjej stronie walczyliście? - zdziwił się złośliwie Snibril. - Poza

tym bylicie częścią Imperium w praktyce, a teoria do spółki z dumą przesłaniała wam tylko fakt, że tak jest. Co byście zrobili, gdyby Imperium przestało istnieć? Wrócili do zrzucania winnych ze skały?

- Ja tam nikogo z niczego od dawna nie zrzuciłem. Ale mogę to zmienić!

Jornarileesh przyglądał się to jednemu, to drugiemu.

- A dlaczego przestałeś zrzucac? - spytał Snibril.

- No... bo to nie było... zresztą coś taki dociekliwy?! Przestałem i już!

- I to oni? - w głosie moula było autentyczne zaskoczenie. - To oni mnie pokonali? Głupi, słabi, bez przerwy klóćący się ludzie?

- Niespodzianka, prawda? - Bane uśmiechnął się. - Zabierajcie go wreszcie do tego lochu!

- Domagam się honorowej śmierci!

- Słuchaj mnie! - w głosie Bane'a zabrzmiał metal. - Gormaleesha zabiłem, bo tacy jak on nie powinni w ogóle plugawic Dywanu. Co do ciebie, to nie jestem do końca pewien, ale jak mnie jeszcze raz zdenerwujesz opowiadaniem bzdur, to utłukę tam, gdzie stoisz. Zabrac go wreszcie!

Jornarileesh otworzył paszczę, chcąc coś powiedzieć, i po paru sekundach ciszy zamknął ją z trzaskiem. Obserwujący zajął się Snibril nie miał nawet cienia wątpliwości: Bane dotrzymałby słowa, i to nie dlatego, że się wściekł, tylko by rozwiązać następny problem. Zdecydowanie lepiej było mieć do czynienia z wściekłym moulem niż ze spokojnym Bane'em.

- Snibril ma rację - odezwał się Pismire, gdy wyprowadzono milczącego moula. - Wszyscy przyzwyczaili się postępować po staremu, a my teraz musimy znaleźć nowy sposób życia. Bo inaczej nie będzie ani cywilizacji, ani postępu. Klótnie do niczego rozsądnego nie prowadzi. Imperium musi...

- Nie jestem pewien, czy będzie jakieś Imperium - przerwał mu Bane.

- Co proszę?! Imperium musi być! - sprzeciwił się Pismire.

- I kto tu mówi o postępie?! Chyba może być coś lepszego od Imperium... jeszcze się przez to do końca nie przegryzłem... - wyznał Bane. - Wiele mniejszych państw i miast połączonych i sprzymierzonych w jeden duży związek powinno być czymś lepszym od wielkiego, pojedynczego Cesarstwa. Tak mi się wydaje...

- I kobiety powinny mieć coś do powiedzenia - dobiegło z tłumu.

Była to naturalnie lady Vortex.

- Być to może - zgodził się Bane. - Rzecz powinna być atrakcyjna dla wszystkich.

W tylnej części tłumu widac było kilkudziesięciu Wightów, którzy dotychczas nie odezwali się słowem.

- Coś dla każdego... - powtórzył Bane. - Powinnismy dokładniej przedyskutować...

Śród słuchaczy wystąpił Wight i odrzucił kaptur, dzięki czemu okazało się, że w rzeczywistości on

jest nia.

- Musze z toba porozmawiac - oswiadczyla dziewczyna, na co wszyscy Wightowie zdjeli kaptury. - Jestem Tarillion, sztygar. Teraz odchodzimy. Sadzimy... myslimy, ze znów potrafimy widziec przyszosc. Znowu ja pamietam.

- Przepraszam, nie rozumiem... - Widac bylo, ze Bane faktycznie nic nie rozumie.

- Wybralismy nowa Nic i znów stalismy sie wlasciwymi Wightami. Sadzimy, ze zaczynamy pamietac nowa przyszosc. Dlatego chcielibysmy wrócić do naszego trybu zycia. - Usmiechnela sie nagle. - Pamietam, ze to powiedzialam.

- Aha... - Bane wygladal na zazenowanego, nie mogac w zaden sposob zrozumiec, co rozmówczyni ma na mysli. - Cóż... miło mi, ze sie cieszyicie. Jesli mozemy wam w czymś pomóc...

- Spotkamy sie. Jesteśmy... pewni.

- Cóż, w takim razie dziekujemy za pomoc.

Wightowie kolejno zaczeli wychodzic, a Snibril podazyl za nimi.

Z tylu rozpoczela sie kolejna dyskusja, która wlasciwie nalezalboby nazwac klótnia.

Wightowie jakos dziwnie sie spieszyli, totez Snibril zwiekszyl tempo, by nie zgubic ich w ruinach.

- Tarillon!

- Tak? - Odwróciła glowe, przygladajac mu sie z ciekawoscia.

- Dlaczego odchodzicie?

- Próbowalismy tego... wybierania, tak jak mówil Athan. To jest okropne! Jak wy to potraficie robic i nie oszalejecie? Zycie bez znajomosci przyszlosci, bez pewnosci, co za chwile nastapi, jest straszne! Moze dla was nie, ale dla nas nie moze byc nic gorszego. Pomogliśmy stworzyc nowa historie, a teraz wydaje sie nam, ze zaczynamy ja pamietac. Jesli tak, to wszystko wróci do normy. Jak wy wytrzymujecie te niepewnosc?

- Dla nas to wlasnie jest normalne.

- Dziwne. To wymaga prawdziwej odwagi... Do widzenia. Zdecydowales sie opuscic Ware.

- Tak. Ale... skad wiesz?

- Mówilam ci, ze znowu zaczynamy pamietac przyszosc! - Prawie sie rozesmiala.

I odeszla.

* * *

Snibril odnalazł Rolanda tam, gdzie go zostawił po bitwie.

Do zabrania miał niewiele - kawałek kurzu noszony na szczycie gdzieś zginał, groty do strzał zostały zużyte, a zapasowe buty miał na nogach. Został mu koc, nóż, kawałek linki i woreczek z monetami. No i naturalnie włócznia i miecz. Czyli praktycznie wszystko, czego potrzebował.

- Odjeżdżasz? - rozległ się głos Pismire'a, gdy dociągał popreg.

- Nie słyszałem cie...

- Wiele czasu z wami spędziłem, a Munrungowie wiedza, jak się skradac.

- Fakt - przyznał Snibril. - Jestem pewien, że poradzicie sobie beze mnie.

- Jeśli nie przestaniemy się spierac, to na pewno. Wychodzi na to, że klótnie stanowią nieodłączną część postępu.

- Chce się dowiedzieć wielu rzeczy o Dywanie - wyznał Snibril. - Co to jest Tapniecie, na przykład... Zawsze mówiłeś, że pytania są kluczem do wiedzy.

- Podobnie jak ciekawość - przypomniał Pismire.

- Myślisz, że pomysł Bane'a ma sens?

- Kto wie? To jednak prawda, że najwyższy czas spróbować czegoś nowego.

- Wiesz, że Wightowie uważają nas za bardzo odważnych, bo ciągle podejmujemy decyzje? - spytał Snibril, dosiadając Rolanda. - Oni sobie z tym nie mogą poradzić. A my zawsze uważaliśmy, że to oni są wyjątkowi! Czego to się człowiek nie dowiaduje...

- Zawsze tak uważałem.

- Uważałeś. A ja chcę się dowiedzieć o wielu sprawach; jeśli nie odjade, nigdy się nie dowiem. Chcę zobaczyć Stolonogę, Brzeg, i Podlogę.

- To mi opowiesz, jak one wyglądają. Ja tylko o nich czytałem.

- Jak to?! - zdumiał się Snibril. - Przecież opowiadałeś mi o nich?! To wszystko, te historie o Dywanie, to nie była prawda?!

- Och, była. Gdyby nie były prawdziwe, nikt by się nie trudził ich opisywaniem - uspokoił go Pismire. - Zawsze chciałem podróżować i jakos nigdy nie miałem czasu. Gdybyś tak znalazł chwilę czasu, by spisać co ciekawsze spostrzeżenia...

- Wiem, bardzo byś się ucieszył. Jak znajdzie chwilę, to spisze. Cóż... w takim razie do zobaczenia!

- Do zobaczenia!

- I pożegnaj ode mnie...

- Pożegnaj.

- Wiesz, jak to jest: rozstania sa najgorsze.

- Teoretycznie wiem. Bedziemy na ciebie czekali!

Ostatnie zdanie wykrzyczal, gdyz Snibril juz wyruszył.

Pismire odczekal, az zniknie w oddali, i powoli wrócił do ruin palacu i do klótni.

* * *

Snibril zatrzymal konia kawalek za Ware i wciagnal gleboko w pluca aromat Dywanu. Bylo mu troche smutno, ale wiedzial, ze ma dokad wrócić. A to znaczylo bardzo wiele. Usmiechnal sie i poklepal Rolanda po szyi.

A potem z nadzieja - i rozwianym wlosem - pognal galopem i zniknal w gestwinie wlosów.

Spis tresci

[Prolog](#)

[Rozdzial pierwszy](#)

[Rozdzial drugi](#)

[Rozdzial trzeci](#)

[Rozdzial czwarty](#)

[Rozdzial piaty](#)

[Rozdzial szósty](#)

[Rozdzial siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)